

Śliczni

Scott Westerfeld



ŚLICZNI

Scott Westerfeld

Tłumaczenie
Paulina Braiter

Część I

ŚPIĄCA KRÓLEWNA

*Pamiętajcie, że najpiękniejsze rzeczy na tym świecie
są też najmniej użyteczne.*

John Ruskin

Wybór stroju zawsze stanowił najtrudniejszą część popołudnia.

Na zaproszeniach do rezydencji Valentino widniało zastrzeżenie: „półoficjalne”. I właśnie słówko „pół” nastęczało najwięcej problemów. Podobnie jak wieczór bez imprezy, „pół” otwierało zbyt wiele możliwości. Już chłopcy mieli ciężko, to „pół” mogło bowiem oznaczać marynarkę i krawat (pewne typy kołnierzyków — bez krawata), biel i koszule (tylko w letnie popołudnia) albo też najróżniejsze odmiany surdutów, kamizelek, fraków, kiltów bądź nawet eleganckich swetrów. Jednak w przypadku dziewcząt definicja praktycznie nie miała granic, jak to często bywało z definicjami w Mieście Nowych Ślicznych.

Tally właściwie wołała oficjalne stroje wieczorowe bądź superwieczorowe. Ubrania były mniej wygodne, a imprezy nudne do czasu, aż wszyscy się upili, lecz przynajmniej wcześniej nie trzeba było łamać sobie głowy nad wyborem ciuchów.

— Półoficjalne, półoficjalne — wymamrotała, przebiegając wzrokiem otwartą przestronną szafę.

*

* *

Tworzące karuzelę wieszaki przeskakiwały, posłuszne chaotycznym kliknięciom ocznej myszki Tally. Na nich kołysały się ubrania. Tak, „pół” to niewątpliwie przecięte słowo.

— Czy to w ogóle słowo? — spytała głośno Tally. — Pół? — W ustach czuła dziwny suchy smak, prawdopodobnie pozostałość poprzedniego wieczoru.

— Tylko połówka — odparł pokój, uważając to zapewne za dowcipne.

— Jasne — mruknęła Tally.

Z powrotem padła na łóżko i leżała, wbijając wzrok w sufit. Miała wrażenie, że pokój lada chwila zacznie się obracać. To nieuczciwe tak się nakręcać z powodu połówki jednego słowa.

— Pozbądź się go — mruknęła.

Pokój źle zrozumiał i cofnął wieszak, zamykając szafę. Tally nie miała siły wyjaśniać, że tak naprawdę chodziło jej o kaca, który umościł się w jej głowie niczym tłusty kocur, ciężki, nadąsany i niemający ochoty ruszyć się z miejsca.

Poprzedniego wieczoru wraz z Perisem wybrali się na łyżwy w towarzystwie innych Krimów na nowe lodowisko unoszące się nad stadionem Nefretete. Tafla lodu podtrzymywana przez sieć lotek była cienka i przejrzysta. Tę przejrzystość utrzymywało całe stado małych automatów, zamboni, śmigających pomiędzy

łyżwiarzami niczym nerwowe pająki nartniki. Fajerwerki rozbłyskające w dole nad stadionem sprawiały, że tafla lśniła niczym obłąkańczy witraż, co parę sekund zmieniający kolory.

— Zapomnij o półoficjalce, zmienili koncepcję. Musimy wymyślić kostiumy.

Tally zerknęła na zegarek — dochodziła piąta po południu.

— W trzy godziny?

— Tak, wiem, sama też jestem w lesie. Straszny wstyd. Mogę wpaść?

— Proszę.

— Za pięć minut?

— Jasne. Przynieś śniadanie. Pa.

Tally pozwoliła głowie opaść na poduszkę. Łóżko wirowało niczym lotodeska. Dzień dopiero się zaczynał, a już dobiegał końca.

Wsunęła na palec obrączkę interfejsową i wysłuchiwała ze złością pinga informującego, że nikt nie zostanie wpuszczony za próg, jeśli nie będzie miał na sobie naprawdę pysznego kostiumu. Trzy godziny na to, by wymyślić coś porządnego, a pozostali mieli spore wyprzedzenie.

Czasami odnosiła wrażenie, że bycie prawdziwą kryminalistką było znacznie, znacznie prostsze.

*

* *

Shay zjawiała się wraz ze śniadaniem — zamówiła omlety z homarem, tosty, placuszki ziemniaczane, ciasteczka kukurydziane, winogrona, czekoladowe babeczki i krwawe Mary, więcej jedzenia, niż mogło skasować całe opakowanie znikacza kalorii. Przeciążona taca chybotwała lekko w powietrzu, jej lotki drżały niczym maluchy po raz pierwszy wchodzące do szkoły.

— Uhm, Shay, wybieramy się jako para kul czy co?

Shay zachichotała.

— Nie, ale brzmiałaś kiepsko, a dziś musisz być w pysznym nastroju. Wszyscy Krimowie przyjdą, by przegłosować twoje przyjęcie.

— Super, pysznie. — Tally westchnęła i wzięła z tacy krwawą Mary. Pociągnęła łyk i zmarszczyła brwi. — Nie dość słona.

— Nie ma sprawy. — Shay łyżeczką zdrapała z omletu warstewkę kawioru i wmieszała do drinka.

— Błę, śmierdzi rybą.

— Kawior pasuje do wszystkiego.

Shay nabrała porządną łyżeczkę i wsunęła do ust. Zamknęła oczy, przeżuując rybnie jajeczka. Przekręciła obrączkę, by włączyć muzykę.

Tally przełknęła i wypła jeszcze trochę krwawej Mary. Przynajmniej pokój przestał wreszcie wirować. Czekoladowe babeczki zapachniały zachęcająco. Następnie przeszła do placuszków, potem wzięła się do omleta, myśląc, że może nawet skosztuje kawioru. To właśnie podczas śniadań Tally czuła, że musi nadrobić czas stracony w głuszy. Dzięki porządному śniadaniowemu obżarstwu czuła, że panuje nad sytuacją — jakby burza miejskich smaków mogła zatrzeć w pamięci miesiące gulaszu i SpagBoli.

Muzyka była nowa i sprawiła, że szybciej zabiło jej serce.

— Dzięki, Shay-la, ratujesz mi życie.

— Nie ma sprawy, Tally-wa.

— Gdzie się wczoraj podziewałaś?

Shay uśmiechnęła się, jakby coś spociała.

— No co, nowy chłopak?

Przyjaciółka pokręciła głową, zatrzepotała rzęsami.

— Chyba się znów nie opnęłaś? — spytała Tally. Shay zachichotała. — Opnęłaś się! Nie powinnaś tego robić częściej niż raz w tygodniu. Jesteś okropnie nie na czasie.

— W porządku, Tally-wa, tylko miejscowo.

— Gdzie?

Twarz Shay wyglądała tak samo jak przedtem. Czyżby operacja kryła się pod piżamą?

— Przyjrzyj się. — Shay znów zatrzepotała długimi rzęsami.

Tally pochyliła się naprzód, patrząc wprost w wielkie, doskonałe, miedzianobrazowe oczy, pokryte drobinami lśniącego pyłu. Serce zabiło jej jeszcze szybciej. Choć już od miesiąca mieszkała w Mieście Nowych Ślicznych, wciąż zachwycaly ją oczy innych. Były takie wielkie i przyjazne, jaśniały zainteresowaniem. Barwne tęczówki Shay zdawały się szeptać: słucham cię, fascynujesz mnie. Z całego świata wybrały właśnie Tally, która samotnie pławała się w blasku uwagi przyjaciółki.

W przypadku Shay czuła się jeszcze dziwniej, bo znała ją z czasów brzydkich, sprzed operacji.

— Blżej.

Tally odetchnęła, próbując się uspokoić. Pokój znów wirował, lecz tym razem przyjemnie. Posłuszne jej gestowi szyby rozjaśniły się i w blasku słońca dostrzegła nowe dodatki.

— Ooo, dośliczniają.

Wokół tęczówek Shay jaśniało dwanaście maleńkich rubinów, wyraźniejszych niż pozostałe wszczepione klejnociki. Ciemna czerwień odcinała się od szmaragdowych źrenic.

— Pyszne, co?

— Tak, ale chwileczkę. Czy dolne różnią się od reszty?

Tally wyteżyła wzrok. Pojedyncze klejnoty w obu oczach zdawały się migotać niczym maleńkie białe płomyki w miedzianej głębinie.

— Jest piąta! — zawołała Shay. — Chwytasz?

Tally potrzebowała sekundy, by przypomnieć sobie, jak odczytuje się godziny z wielkiego zegara na wieży w centrum miasta.

— No tak, ale przecież pokazują siódmą. Czy dolna prawa to nie piąta?

Przyjaciółka prychnęła.

— Biegną w przeciwnym kierunku, z prawej do lewej, głuptasie. Inaczej byłoby strasznie nudno.

W głębi gardła Tally wezbrał śmiech.

— Zaczekaj, dobrze zrozumiałam? Masz w oczach klejnoty? Które wskazują czas? Tyle że w drugą stronę? Czy to nie o jedną rzecz za wiele, Shay?

Natychmiast pożałowała swoich słów. Twarz Shay pociemniała, przybierając tragiczny wyraz. Promienna radość sprzed zaledwie minuty zniknęła bez śladu. Przyjaciółka wyglądała, jakby miała się rozplakać, tyle że bez opuchniętych oczu i czerwonego nosa. Nowe opki zawsze stanowiły drażliwy temat, prawie jak nowe fryzury.

— — Nie podobają ci się — rzuciła oskarżycielsko Shay.

— Oczywiście, że mi się podobają. Jak mówiłam, totalnie dośliczniające.

— Poważnie?

— Jasne. I dobrze, że poruszają się w drugą stronę.

Uśmiech Shay powrócił i Tally odetchnęła z ulgą. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Tylko zupełnie nowi śliczni popełniali podobne błędy, a ona przeszła operację ponad miesiąc temu. Czemu wciąż mówiła przegięte rzeczy? Gdyby dziś wieczór rzuciła podobny tekst, któryś z Krimów mógłby zagłosować przeciw niej. Jedno weto wystarczyło, by kandydat nie został dopuszczony.

A wtedy zostałyby sama, zupełnie jakby znów uciekła.

— Może przeberzemy się dziś za wieże zegarowe, by uczcić moje nowe oczy? — zaproponowała Shay.

Tally roześmiała się, wiedząc, że ten kiepski dowcip oznacza, iż przyjaciółka jej wybaczyła. W końcu wiele razem przeszły.

— Rozmawiałś z Perisem i Faustem?

Shay pokiwała głową.

— Powiedzieli, że wszyscy mamy się przebrać za kryminalistów. Mają już pomysł, ale nie chcieli nic zdradzić.

— Co za przegięcie; jakby sami byli tacy źli. W swoich brzydkich czasach co najwyżej wymykali się z sypialni i parę razy zakradali za rzekę. Nie dotarli nawet do Dymu.

W tym momencie piosenka dobiegła końca i ostatnie słowa Tally rozległy się głośno w nagłej ciszy. Zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć, lecz rozmowa po prostu wygasła niczym fajerwerki na ciemnym niebie. Tally miała wrażenie, iż upłynęły wieki, nim muzyka zabrzmiała ponownie.

Dopiero wówczas odetchnęła z ulgą.

— Kostiumy Krimów to będzie łatwizna, Shay-la. W końcu jesteśmy dwiema największymi kryminalistkami w mieście.

Shay i Tally przez dwie godziny szukały kostiumów, zamawiając w dziurze w ścianie kolejne stroje i mierząc je. Najpierw myślały o bandytach, nie wiedziały jednak, jak naprawdę wyglądali — we wszystkich starych filmach wyświetlanych na ściennych ekranach bandyci wydawali się bardziej kretyńscy niż krim. Piraci ubierali się znacznie lepiej, lecz Shay nie chciała zasłaniać przepaską jednego z nowych oczu. Kolejny pomysł — myśliwi — odpadł, bo dziura w ścianie miała opory przed produkcją broni, nawet takiej na niby. Tally zastanawiała się nad słynnymi dyktatorami, ale większość z nich to byli mężczyźni, i to zerostylowi.

— Może powinniśmy przebrać się za Rdzawców? — zaproponowała Shay. — W szkole zawsze uważaliśmy ich za czarne charaktery.

— Ale zdawało mi się, że wyglądali zupełnie jak my, tyle że byli brzydzy.

— No nie wiem. Mogłybyśmy ścinać drzewa, palić ropę czy coś takiego.

Tally roześmiała się.

— To kostium, Shay-la, nie styl życia.

Shay rozłożyła szeroko ręce i nie ustępowała, starając się zachowywać pysznie.

— Może paliłybyśmy tytoń albo jeździły samochodami.

Lecz dziura w ścianie nie zgodziła się dać im papierosów ani samochodów.

Mimo wszystko jednak fajnie było wygłupiać się z Shay i mierzyć kolejne stroje, po czym parskać śmiechem, chichotać i wrzucać kostiumy do recyklera. Tally uwielbiała oglądać siebie w nowych ubraniach, nawet tych niemądrych. Jakaś jej część wciąż pamiętała dawne czasy, gdy cierpiała, patrząc w lustro na swoje zbyt blisko osadzone oczy, za mały nos i nieustannie napuszone włosy. Teraz miała wrażenie, że naprzeciwko stoi ktoś niewiarygodnie piękny, naśladujący każdy jej ruch — ktoś o idealnie harmonijnej twarzy, z cerą jaśniejącą nawet podczas potwornego kaca, ktoś o ciele niezwykle proporcjonalnym i umięśnionym. Ktoś, czyje srebrzyste oczy pasowały do każdego stroju. Ale ów ktoś miał wyjątkowo przegięty gust co do kostiumów.

Po dwóch godzinach padły na łóżko, które znów zaczęło wirować.

— Wszystko jest do kitu, Shay-la. Czemu wszystko jest do kitu? Nigdy mnie nie przyjmą. Nie potrafię nawet wymyślić nieprzeiętego kostiumu.

Shay pokręciła głową.

— Nie martw się, Tally-wa, już jesteś sławna. Nie masz się co denerwować.

— Łatwo ci mówić.

Choć urodziły się tego samego dnia, Shay stała się śliczna kilka tygodni przed Tally. Już prawie miesiąc była pełnoprawną członkinią Krimów.

— Pójdzie jak z płatka — oznajmiła Shay — Ktoś, kto zadawał się z Wyjątkowymi Okolicznościami, to urodzony Krim.

Gdy Shay wymówiła tę nazwę, Tally poczuła coś dziwnego. To było jak ping, tyle że bardziej bolesne.

— Mimo wszystko nie lubię nie czuć się pysznie.

— To wina Perisa i Fausta. Nie powiedzieli nam, co włożą.

— Zaczekajmy na nich i skopiujemy ich stroje.

— Zasłużyli sobie — przytaknęła Shay. — Napijesz się?

— Chyba tak.

Tally była zbyt nakręcona, by gdziekolwiek iść, Shay odesłała więc tacę śniadaniową i zamówiła szampana.

*

* *

Gdy Peris i Fausto stanęli w drzwiach, obaj płonęli.

Tak naprawdę były to zimne ognie wplecione we włosy i przychepione do ubrań, tryskające wokół bezpiecznymi płomieniami. Fausto zaśmiewał się, bo płomyki go łaskotały. Obaj mieli na sobie kamizelki bungee — przebrali się za ludzi, którzy zeskoczyli z dachu płonącego budynku.

— Fantastyczne! — wykrzyknęła Shay.

— Przechabawne ~ zgodziła się Tally, potem jednak zapytała: ~ Ale czemu to ma być krim?

— Nie pamiętasz — zdziwił się Peris — kiedy zeszłego lata wprosiłaś się na imprezę i uciekłaś, kradnąc kamizelkę i zeskakując z dachu? Najlepszy numer brzydkich w dziejach.

— Jasne. Ale po co ten ogień? Jeśli budynek naprawdę się pali, to już nie krim.

Shay zerknęła na Tally, jakby ta znów powiedziała coś przegiętego.

— Nie mogliśmy tak po prostu założyć kamizelek — tłumaczył Fausto. — Ogień jest znacznie pyszniejszy.

— Tak — mruknął Peris, lecz Tally widziała, że zrozumiał, co miała na myśli, i to go zasmuciło.

Pożałowała, że w ogóle o tym wspomniała. Głupia Tally. Kostiumy naprawdę były pyszne.

Zgasili ogień, oszczędzając je na imprezę, i Tally poleciała dziurze w ścianie dostarczyć jeszcze dwie kamizelki.

— Hej, to plagiat! — zaprotestował Fausto, ale nie miało to już znaczenia.

Dziura nie zgodziła się wyprodukować kostiumowych kamizelek w obawie, że ktoś mógłby się zapomnieć, zeskoczyć z wysoka i zginąć. Nie mogła też zrobić prawdziwych. O rzeczy trwałe i skomplikowane trzeba było zwracać się do Zamówień, a Zamówienia nie przesyłałyby kamizelek, bo nie było pożaru.

Shay parsknęła gniewnie.

— Dom zachowuje się dziś okropnie przegięcie.

— A skąd wzięliście swoje? — spytała Tally.

— Są prawdziwe — Peris uśmiechnął się i pogładził kamizelkę. — Ukradliśmy je z dachu.

— Czyli są krim! — Tally zeskoczyła z łóżka i uściśnęła go mocno.

Kiedy trzymała w ramionach Perisa, nie obawiała się, że impreza będzie do kitu i że ktokolwiek zagłosuje przeciw niej. Patrzył na nią czule wielkimi piwnymi oczami, a potem uniósł ją do góry i uściśnął. W dawnych czasach, gdy oboje byli brzydcy i gdy robili różne numery, zawsze czuła się bardzo bliska Perisowi. Pysznie było znów się tak poczuć.

Przez wszystkie tygodnie spędzone w głuszy Tally pragnęła jedynie wrócić tu, do Perisa, i zostać śliczną w Mieście Nowych Ślicznych. To głupota czuć się nieszczęśliwie, nie tylko dziś. To pewnie przez szampana.

— Przyjaciele na zawsze — wyszeptła, kiedy postawił ją na ziemi.

— Hej, a to co? — Shay grzebała w szafie Tally w poszukiwaniu pomysłów. Uniosła bezkształtną masę wełny.

— A, to. — Tally wypuściła Perisa z objęć. — To mój sweter z Dymu, pamiętasz?

Sweter wyglądał dziwnie, zupełnie nie tak, jakim go zapamiętała. Był prymitywny i niekształtny. Wyraźnie widziała miejsca, w których ludzkie ręce połączyły poszczególne fragmenty. Mieszkańcy Dymu nie mieli dziur w ścianach — wszystko musieli robić sami, a jak się okazało, ludzie nie radzą sobie z tym najlepiej.

— Nie zrecyklingowałaś go?

— Nie, chyba jest zrobiony z czegoś dziwnego. Dziura go nie łyknęła.

Shay podniosła sweter do nosa i głęboko wciągnęła powietrze.

— Rany, wciąż pachnie jak Dym, ogniskami i tym gulaszem, którym ciągle nas karmili. Pamiętasz?

Peris i Fausto podeszli, żeby też powąchać. Nigdy nie opuszczali miasta, poza kilkoma szkolnymi wycieczkami do Rdzawych Ruin, i nie dotarli do Dymu, gdzie wszyscy musieli całymi dniami pracować, produkować różne rzeczy, hodować żywność dla siebie (a nawet ją zabijać) i wszyscy pozostawali brzydcy po swoich szesnastych urodzinach, brzydcy aż do śmierci.

Oczywiście Dym już nie istniał, dzięki Tally i Wyjątkowym Okolicznościom.

— Hej, Tally, wiem! — zawołała Shay. — Przebierzmy się dziś za Dymiarzy.

— Niesamowicie kryminalny pomysł. — Fausto spojrzał na nią z podziwem.

Cała trójka odwróciła się do Tally, zachwycona pomysłem. I choć Tally poczuła kolejne bolesne ukłucie, wiedziała, że przegięłaby, nie zgadzając się z przyjaciółmi. A poza tym, jeśli włoży superpyszny kostium, prawdziwy dymiarski sweter, nie ma mowy, by ktokolwiek zagłosował przeciw niej. Bo Tally Youngblood to urodzona Krimka.

Impreza odbywała się w apartamentowcu Valentino, najstarszym budynku Miasta Nowych Ślicznych. Przycupnął nad rzeką, wysoki zaledwie na parę pięter, lecz zwieńczony masztem transmisyjnym, widocznym z niemal całej wyspy. Ściany wewnętrzne zbudowano z prawdziwego kamienia, dlatego pokoje nie mówiły, lecz rezydencja słynęła z wystawnych i bajecznych balang. Trzeba było czekać wieki, by stać się mieszkańcem Valentino.

Peris, Fausto, Shay i Tally maszerowali przez ogrody rozkoszy, w których roilo się już od ludzi zmierzających na imprezę. Tally dostrzegła anioła o pięknych, upierzonych skrzydłach, które musiały zostać zamówione kilka miesięcy wcześniej, co było paskudnym przejęciem, oraz grupkę nowych ślicznych przebranych w kostiumy grubasów i maski z potrójnymi podbródkami. Prawie naga ekipa Balangersów udawała przedrdzawców rozpalających ogniska i walących w bębny. Jak zawsze urządzili sobie własną satelicką imprezę.

Peris i Fausto klócili się, kiedy znów powinni się podpalić — chcieli mieć mocne wejście, ale też oszczędzić ognie naspotkanie z innymi Krimami. Gdy znaleźli się bliżej świateł i odgłosów apartamentowca, Tally znów zaczęła się denerwować. Kostiumy Dymiarzy nie wyglądały zbyt imponująco. Włożyła stary sweter, a Shay jego kopię. Do tego prymitywne spodnie, plecaki i buty, które wyglądały jak zrobione ręcznie. Tally przypomniła sobie, że ktoś w Dymie nosił coś takiego, i dokładnie opisała to dziurze w ścianie. By wyglądać bardziej autentycznie, ubrudziły sobie ubrania i twarze. Początkowo wydawało się to pysznym pomysłem, ale teraz czuła się po prostu brudna.

Przy drzwiach czekało dwóch Valentińczyków przebranych za opiekunów. Pilnowali, by do środka nie dostał się nikt bez kostiumu. Z początku zatrzymali Fausta i Perisa, gdy jednak tamci się podpaliли, wybuchnęli śmiechem i wpuścili ich. Na widok Shay i Tally jedynie wzruszyli ramionami, ale ich nie zatrzymali.

— Zaczekaj, aż zobaczą nas pozostali Krimowie — powiedziała Shay. — Oni zrozumieją.

Cała czwórka zaczęła przeciskać się przez tłum. Po sekundzie otoczył ich istny kalejdoskop kostiumów. Tally widziała bałwany, żołnierzy, postaci z minigier i całą Radę Urody: naukowców niosących w dłoniach wykresy i projekty twarzy. Wszędzie roilo się od postaci historycznych w szalonych strojach z całego świata i Tally przypomniła sobie, że kiedyś, gdy ludzi było dużo, dużo więcej, wszyscy bardzo różnili się od siebie. Sporo starszych nowych ślicznych przebrało się w kostiumy współczesne: lekarzy, opiekunów, budowniczych albo polityków — przedstawiciele

zawodów, do których mieli nadzieję się dostać po operacji zmiany w średnich ślicznych. Grupka strażaków ze śmiechem próbowała ugasić płomień na Perisie i Fauście, udało im się jednak tylko ich wkurzyć.

— Gdzie oni są? — pytała co chwila Shay, lecz kamienne ściany nie odpowiadały. — To takie nefajne. Jak ludzie mogą tu żyć?

— Mam wrażenie, że stale noszą przy sobie telefony — odparł Fausto. — Trzeba było zamówić kilka.

Problem polegał na tym, że w apartamentowcu Valentino pomieszczenia były stare i głupie, nie można było zadzwonić do kogoś, po prostu mówiąc do ściany, zupełnie jakby znajdowali się na dworze. Przechodząc Tally przyłożyła dłoń do muru, spodobał jej się chłodny dotyk starego kamienia. Przez moment skojarzył jej się z dawnymi czasami w głuszy — szorstki, milczący, niezmienny. Tak naprawdę wcale nie miała ochoty spotykać się z resztą Krimów: wszyscy będą się jej przyglądać i zastanawiać się, jak zagłosować.

Krażyli po zatłoczonych korytarzach, zaglądając do pokoi pełnych dawnych astronautów i badaczy. Tally naliczyła pięć Kleopatry i dwie Lillian Russell. Zauważyła nawet kilku Rudolphów Valentino. Okazało się, że apartamentowiec ochrzczono nazwiskiem naturalnego ślicznego z czasów Rdzawców.

Inne ekipy zorganizowały sobie kostiumy tematyczne — zespoły Mięśniaków chwiejących się na lotołyżwach, z kijami hokejowymi w dłoniach, Twisterów udających chore szczenięta, w wielkich, stożkowatych plastikowych obrożach. No i oczywiście wszędzie wałęsali się członkowie Roju, gadający do siebie za pomocą obrączek interfejsowych. Rojowcy wszczepiali sobie anteny skórne, by móc rozmawiać ze sobą w każdym miejscu, nawet wewnątrz głuchego apartamentowca Valentino. Pozostałe ekipy zawsze naśmiewały się z Roju, którego członkowie bali się chodzić sami i wszędzie poruszali się w wielkich grupach. Dziś przebrali się za muchy o ogromnych owadzych oczach. To przynajmniej miało sens.

W korowodzie kostiumów nie dostrzegli żadnych Kri— mów i Tally zaczęła się już zastanawiać, czy aby nie odpuścili imprezy, nie chcąc na nią głosować. Zaczęły ją dręczyć pa— ranoidalne myśli, miała wrażenie, że kątem oka dostrzega kogoś skrywającego się wśród tłumu, kto wciąż im towarzyszy. Za każdym razem gdy się odwracała, szary jedwabny kostium natychmiast zniknął jej z oczu.

Nie potrafiła powiedzieć, czy to chłopak, czy dziewczyna. Postać miała na twarzy maskę, groźną, lecz jednocześnie piękną. Jej okrutne wilcze oczy lśniły w blasku przygaszonych, migotliwych imprezowych lamp. Widok plastikowej twarzy poruszył coś w Tally, jakieś bolesne wspomnienie. Potrzebowała chwili, by zrozumieć jakie.

W końcu pojęła, kogo miał przedstawiać kostium: agenta Wyjątkowych Okoliczności.

Tally oparła się o jedną z zimnych kamiennych ścian i zadrżała. Przypomniała sobie szare jedwabne kombinezony.

Wyjątkowych i okrutne, śliczne twarze, jakimi ich obdarzono. To wspomnienie sprawiło, że zakręciło jej się w głowie; zawsze się tak czuła, gdy powracała myślą do czasów w głuszy.

Ten kostium tu, w Mieście Nowych Ślicznych, kompletnie nie miał sensu. Prócz Tally i Shay nikt inny nie widział przecież Wyjątkowych. Większość ludzi uważała ich za mit, legendę, za kogoś, kogo obwinia się, gdy dzieje się coś dziwnego. Wyjątkowi pozostawali w ukryciu. Mieli chronić miasto przed zagrożeniami z zewnątrz, jak żołnierze i szpiedzy w czasach Rdzawców. Tylko prawdziwi kryminaliści, tacy jak Tally Youngblood, spotykali ich osobiście.

Niemniej jednak ktoś całkiem udatnie przygotował sobie kostium. Musiał (albo musiała) widzieć kiedyś prawdziwego Wyjątkowego. Ale czemu śledził Tally? Za każdym razem gdy obracała głowę, dostrzegała znajomą postać, poruszającą się ze straszliwą, drapiezną gracją. Pamiętała ją doskonale z owego okropnego dnia, gdy ścigali ją w ruinach Dymu, aby zabrać z powrotem do miasta.

Pokręciła głową. Kiedy wracała myślami do tamtych dni, w jej mózgu zawsze pojawiały się fałszywe, niepasujące do niczego wspomnienia. Oczywiście Wyjątkowi nie ścigali Tally. Bo niby dlaczego? Oni ją ratowali, chcieli zabrać do domu po tym, jak uciekła z miasta, żeby odnaleźć Shay. Myśli o Wyjątkowych zawsze sprawiały, że kręciło jej się w głowie, ale wyłącznie dlatego, że ich okrutne twarze zaprojektowano tak, by straszły ludzi, podobnie jak oblicza zwykłych ślicznych miały budzić sympatię.

Może owa tajemnicza postać wcale jej nie śledziła? Może to więcej niż jedna osoba, jakaś ekipa przebrana w takie same kostiumy i kręcąca się w tłumie, by sprawiać wrażenie jednego człowieka? Taka myśl brzmiała znacznie mniej wariacko.

Tally dogoniła pozostałych i żartując dołączyła do poszukiwań reszty Krimów. Wypatrywała ukradkiem tej postaci wśród cieni, powoli dochodząc do przekonania, że to nie grupa, tylko jedna osoba, która nie rozmawiała z nikim, przyczajona. A jej ruchy, pełne wdzięku...

Tally starała się zachować spokój. Przecież Wyjątkowe Okoliczności nie miały powodów, by ją śledzić, poza tym żaden z ich agentów nie przyszedłby na bal maskowy przebrany za Wyjątkowego.

Zaśmiała się sztucznie. Pewnie to któryś z Krimów robi jej dowcip, ktoś, kto sto razy słuchał historii Shay i Tally i wiedział o Wyjątkowych Okolicznościach. A jeśli

tak, strasznie by przegięła, pozwalając, żeby odwalilo jej na oczach wszystkich. Lepiej w ogóle zignorować fałszywego Wyjątkowego.

Zerknęła na własny kostium, zastanawiając się, czy dy— miarskie ubranie nie podsyciło jej niepokoju. Shay miała rację: woń starego, ręcznie robionego swetra przywoływała wizję czasu spędzonego poza miastem, dni morderczej pracy i wieczorów przy ciepłe ogniska, ale i obrazy starzejących się brzydkich twarzy, które sprawiały, że wciąż jeszcze czasami budziła się z krzykiem.

Zycie w Dymie ostro namieszało jej w głowie.

Nikt inny nie wspomniał o tajemniczej postaci. Czyżby uczestniczyli w dowcipie? Fausto martwił się, że zimne ognie zgasną, nim zobaczą je pozostali Krimowie.

— Sprawdźmy, czy nie ma ich na którejś z wież — zaproponował.

— Z prawdziwego budynku przynajmniej będziemy mogli zadzwonić — zgodził się Peris.

Shay prychnęła i bez namysłu skierowała się w stronę najbliższych drzwi.

— Wszystko, byle tylko wydostać się z tej przegiętej sterty kamieni.

Przyjęcie i tak rozlewało się na zewnątrz, poza stare kamienne mury. Shay poprowadziła ich w stronę losowo wybranej wieży imprez. Minęli grupkę Fryzów wystrojonych w wysokie peruki-ułe, każdą otoczoną własnym rojem trzmieli — odgrywały je mikroliftery pomalowane na żółto i zielono, wiszące w pogotowiu wokół głów.

— Brzęczenie mało przypomina prawdziwe — zauważył Fausto, lecz Tally widziała, że kostiumy mu zaimponowały.

Wplecione w jego włosy zimne ognie przygasały, ludzie patrzyli na niego zdziwieni.

Z wnętrza wieży Peris zadzwonił do Zane'a, który oznajmił, że Krimowie faktycznie zebrawi się na górze.

— Dobrze zgadłaś, Shay.

Cała czwórka wcisnęła się do windy wraz z chirurgiem, trylobitem i dwoma pijanymi hokeistami, z trudem trzymającymi się na lotołyżwach.

— Przestań się denerwować i uśmiechnij się, Tally-wa — Shay ścisnęła ją za jej ramię. — Przyjmą cię bez problemów. Zane cię lubi.

Tally zdołała zmusić się do uśmiechu, ale zastanawiała się, czy to prawda. Zane ciągle wypytywał ją o czasy, gdy była brzydka, ale robił to ze wszystkimi, spijając opowieści z ust Krimów swoimi cętkowanymi na złoto oczami. Naprawdę uważał, że Tally Youngblood jest kimś wyjątkowym?

Wyraźnie jednak ktoś tak sądził — przez zasuwające się drzwi windy Tally dostrzegła postać w szarym jedwabiu, przemykającą wdzięcznie w tłumie.

Większość Krimów przebrała się za drwali w kraciastych strojach, z groteskowymi sztucznymi muskułami. W dłoniach trzymali wielkie sztuczne piły łańcuchowe i kieliszki szampana. Znaleźli się wśród nich także rzeźnicy, paru palaczy, którzy przynieśli własne niby-papierosy, i kobieta kat z długim stryczkiem przerzuconym przez ramię. Zane, świetnie znający historię, wybrał kostium adiutanta dawnego dyktatora i wyglądał całkiem modnie w obcisłej czerni, z pyszną czerwoną przepaską na ręce. Poddał się jednorazowej opce i wąskie wargi oraz zapadnięte policzki upodobniły go do jednego z Wyjątkowych.

Wszyscy z entuzjazmem przyjęli kostium Perisa i próbowali ponownie podpalić Fausta, zdołali jednak tylko spalić parę kosmyków jego włosów, które okropnie przegięcie śmierdziały. Dopiero po pełnej napięcia chwili zrozumieli, za kogo przebrały się Tally i Shaw. Krimowie stłoczyli się wokół, dotykając szorstkich włókien ręcznie robionego swetra i wypytujac, czy gryzie. (Owszem, gryzł, lecz Tally kręciła przecząco głową).

Shay stanęła obok Zane'a i pokazała mu swoje nowe oczy.

— Myślisz, że mnie dośliczniają? — spytała.

— Daję im pięćdziesiąt milihelen — odparł.

Słowa te do nikogo nie trafiły.

— Milihelena to dość urody, by posłać w morze dokładnie jeden okręt — wyjaśnił Zane i starsi Krimowie wybuchnęli śmiechem. — Pięćdziesiąt to nieźle.

Shay uśmiechnęła się, pochwała Zane'a rozświetliła jej twarz niczym szampan.

Tally starała się utrzymać pyszny humor, lecz myśl o śledzącym ją przebrany Wyjątkowym była zbyt pojechana. Po paru minutach wymknęła się na balkon odetchnąć świeżym zimnym powietrzem.

Do szczytu iglicy przywiązano kilka balonów na gorące powietrze, które wyglądały na tle nieba jak wielkie czarne księżyce. Powietrznicy siedzący w jednej z gondoli wystrzelili świece rzymskie, zaśmiewając się, gdy bezpieczne ognie rozjaśniały ciemność. A potem jeden z balonów zaczął się wznosić; nawet w hałasie przyjęcia słyszała ryk jego palnika. Lina opadła z trzaskiem, uderzając o ścianę wieży. Tally widziała małeńki palec ognia, unoszący w górę balon, który w końcu zniknął w dali. Tally przypuszczała, że gdyby Shay nie przedstawiła jej Krimom, zapewne zostałaby Powietrznikiem. Wciąż tylko odlatywali w mrok i lądowali w najdziwniejszych miejscach, wzywając lotowóz, by zabrał ich z odległego przedmieścia, a nawet spoza granic miasta.

I kiedy tak patrzyła ponad rzeką w ciemność spowijającą Brzydalowo, jej umysł nagle się uspokoił. Dziwne, lecz okres spędzony w głuszy wydawał jej się niewyraźny, mglisty. Dokładnie natomiast pamiętała czasy, gdy była młodą brzydką, wpatrującą się w światła Miasta Nowych Ślicznych z okna sypialni i marzącą o dniu, gdy skończy szesnaście lat. Zawsze wyobrażała sobie siebie po tej stronie, na jednej z wysokich wież, otoczoną rozbłyskającymi fajerwerkami, pośród ślicznych, śliczną. Oczywiście w tych marzeniach Tally widziała siebie w sukni balowej — nie w wełnianym swetrze i roboczych spodniach, z wybrudzoną twarzą. Musnęła palcami nitkę wymykającą się ze ściegu i pożałowała, że Shay znalazła dziś ten sweter. Tally chciała zostawić za sobą Dym, wyprzeć płataninę wspomnień o ucieczce, ukrywaniu się i o uczuciu, że jest zdrajczynią. Nie chciała zerkać co minutę na drzwi windy i zastanawiać się, czy Wyjątkowy w przebraniu podaży za nią aż tutaj. Pragnęła znów gdzieś należeć, nie czekać na następną katastrofę.

Może jednak Shay miała rację i dzisiejsze głosowanie wszystko naprawi. Krimowie stanowili jedną z najbardziej zamkniętych ekip w Mieście Nowych Ślicznych. Głosowali nad każdą kandydaturą, a gdy człowiek raz został Krimem, zawsze mógł polegać na przyjaciółach, imprezach i pysznych rozmowach. Nie będzie już musiała uciekać.

Istniał tylko jeden haczyk: nie przyjmowano nikogo, kto w swych brzydkich czasach nie wycinał mnóstwa numerów i nie miał na podorędziu świetnych historii o wymykaniu się, całonocnym lataniu na desce i ucieczkach. Krimowie byli ślicznymi, którzy nie zapomnieli o swym dawnym życiu, którzy wciąż uwielbiali dowcipy i przestępcze sztuczki sprawiające, że na swój sposób Brzydalowo także było pyszne.

— Ile byś dała temu widokowi?

Zane nagle stanął obok niej. W starożytnym czarnym mundurze wydawał się jeszcze wyższy niż jego maksymalnie dopuszczalne dla ślicznych dwa metry wzrostu.

— Ile bym dała?

— Sto milihelen? Pięćset? Może całą helenę?

Tally odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić, i spojrzała na mroczną rzekę.

— Nic bym mu nie dała. W końcu to Brzydalowo.

Zane zachichotał.

— Ależ Tally-wa, nie ma powodu wyzłośliwiać się nad naszymi brzydkimi młodszymi braćmi i siostrami. To nie ich wina, że nie są tak śliczni jak ty. — Ujął zbłąkane pasemko włosów Tally i założył jej za ucho.

— Nie chodzi o nich, tylko o miejsce. Brzydalowo to więzienie. — Słowa te zabrzmiały w jej własnych uszach niewłaściwie, zbyt poważnie jak na balangę.

Lecz Zane'owi jakoś to nie przeszkadzało.

— Tobie przecież udało się uciec. — Poglądził szorstkie włókna swetra, tak jak to czynili pozostali. — Czy w Dymie było lepiej?

Tally zastanawiała się, czy chciałby usłyszeć prawdziwą odpowiedź; bała się, że powie coś przegiętego. Gdyby Zane uznał, że jest zerowa, posypałyby się weta, bez względu na to, co jej obiecywali Shay i Peris.

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Były metaliczno— złociste, niczym maleńkie lusterka odbijały fajerwerki, a coś za nimi zdawało się przyciągać Tally. Nie tylko zwykła magia ślicznych — wyczuwała w nich coś poważnego, jakby otaczająca ich impreza nagle zniknęła. Zane zawsze słuchał uważnie jej opowieści z Dymu. Do tej pory poznał już wszystkie, ale może chciał wiedzieć coś jeszcze.

— Uciekłam nocą przed moimi szesnastymi urodzinami — rzekła. — Tak naprawdę nie uciekałam z Brzydalowa.

— Zgadza się. — Zane uwolnił ją spod swego spojrzenia i popatrzył za rzekę. — Uciekałaś przed operacją.

— Poszłam za Shay. Musiałam zostać brzydką, żeby ją znaleźć.

— I uratować — dodał, po czym znów skierował ku niej swoje złote oczy. — Naprawdę o to chodziło?

Tally przytaknęła ostrożnie. Wciąż czuła w głowie wczorajszego szampana. A może dzisiejszego. Zerknęła na pusty kieliszek w dłoni, zastanawiając się, ile wypila.

— Po prostu musiałam to zrobić. — Wymawiając te słowa poczuła, że brzmią przegięcie.

— To były wyjątkowe okoliczności? — Zane uśmiechnął się cierpko.

Tally uniosła brwi. Zastanawiała się, jakie numery organizował Zane, gdy był brzydki. Rzadko opowiadał swoje historie. Choć nie był od niej dużo starszy, nigdy nie musiał dowodzić, że zasłużył na miano prawdziwego Krima. Po prostu nim był.

Nawet z wargami odchudzonymi, by pasowały do kostiumu, wyglądał pięknie. Jego twarzy nadano bardziej radykalny wygląd niż większości innych, jakby lekarze chcieli zbadać granice limitów narzuconych przez Radę Urody. Pod skórą rysowały się kości policzkowe ostre jak groty strzał, a gdy coś go rozbawiło, brwi Zane'a wyginały się absurdalnie wysoko. Tally w nagłym przeblysku pojęła, że gdyby jego rysy przesunąć choćby o parę milimetrów, wyglądałby okropnie. A przecież jednocześnie nie potrafiła wyobrazić sobie, by kiedykolwiek był brzydki.

— Wybrałeś się kiedyś do Rdzawych Ruin? — spytała. — Kiedy jeszcze byłeś... młody?

— Zeszłej zimy, niemal co noc.

— Zimą?

— Uwielbiam ośnieżone ruiny — oznajmił. — Śnieg łagodzi ostre kanty, dodaje widokowi kilka megahelen.

— Och! — Tally przypomniała sobie podróż przez głuszę wczesną jesienią i to, jak bardzo marzła. — Brzmi strasznie... zimno.

— Nigdy nie zdołałem nikogo namówić, żeby poleciał ze mną. — Jego oczy się zwężyły. — Gdy mówisz o ruinach, nie wspominasz, byś kogoś tam spotkała.

— Spotkała? — Tally przymknęła oczy i odkryła, że nagle brakuje jej równowagi. Oparła się o poręcz i odetchnęła głęboko.

— Tak — powiedział. — A spotkałaś?

Pusty kieliszek wysliznął jej się z palców i wirując, poleciał w mrok.

— Uważajcie tam na dole — wymamrotał Zane, a na jego wargach zatańczył uśmiech.

Z ciemności dobiegł ich melodyjny brzęk. Fala zaskoczonych śmiechów rozeszła się wokół niczym kręgi na wodzie od rzuconego kamienia. Zdawała się odległa o tysiące kilometrów.

Tally jeszcze kilka razy odetchnęła zimnym nocnym powietrzem, próbując nad sobą zapanować. Żołądek podszedł jej do gardła. Co za okropny wstyd, lada moment wymiotuje śniadanie, po kilku marnych kieliszkach szampana.

— W porządku, Tally — wyszeptał Zane. — Spróbuj poczuć się pysznie.

Tally natychmiast zrozumiała, jakie to przegięte: musiał jej kazać, by pozostała pyszna. Lecz mimo jednodniowej opki twarz Zane'a złagodniała, jakby naprawdę życzył jej jak najlepiej.

Odwróciła się plecami do ziejącej w dole pustki i obie dłonie zacisnęła za sobą na poręczach. Shay i Peris także wyszli na balkon. Otaczali ją nowi przyjaciele, Krimowie. Chronili ją, była częścią grupy. Ale też uważnie ją obserwowali. Może wszyscy spodziewali się, że dziś wieczór zrobi coś niezwykłego.

— Nigdy nie widziałam tam nikogo — powiedziała. — Ktoś miał przyjść, ale się nie zjawił.

Nie usłyszała odpowiedzi Zane'a.

Tajemniczy gość znów się objawił — po drugiej stronie zatłoczonej sali na szczycie wieży. Stał bez ruchu, patrząc wprost na nią. Błyszczące oczy maski zdawały się ją pozdrawiać. A potem postać odwróciła się i przemknęła pomiędzy odzianymi w białe fartuchy członkami imprezowej Rady Urody, znikając za wielkimi płachtami wykresów twarzy, przedstawiającymi wszystkie główne typy ślicznych. I choć Tally wiedziała, że przegina, ruszyła naprzód, przeciskając się przez tłum i zostawiając za sobą Zane'a. Zrozumiała, że w żaden sposób nie zdoła się pozbiierać, póki nie dowie się, kim jest ta osoba. Czy to jeden z Krimów, Wyjątkowych, czy może

przypadkowy nowy śliczny? Musiała wiedzieć, czemu ktoś przypomina jej o Wyjątkowych Okolicznościach.

Uskoczywszy, przemknęła między białymi fartuchami i niczym kula bilardowa przetoczyła się przez grupkę odzianą w kostiumy grubasów, odbijając się od miękkich sztucznych brzuchów i wirując.

Wywróciła niemal całą drużynę hokejową, której członkowie chybotali się na śliskich lotolóżwach jak malcy. Przed sobą wciąż widziała drwiące przebłyski szarego jedwabiu, lecz otaczał ją gęsty tłum, który poruszał się bezustannie, i nim dotarła do głównej kolumny iglicy, postać zniknęła.

Zerknąwszy na światelka nad drzwiami windy, Tally przekonała się, że jedzie w górę, nie w dół. Fałszywy Wyjątkowy wciąż był gdzieś w wieży.

Nagle dostrzegła drzwi prowadzące na awaryjną klatkę schodową. Na jaskrawoczerwonej powierzchni wisiały tabliczki ostrzegające, że w razie otwarcia odezwie się alarm. Znow się rozejrzała — nadal nie widziała szarej postaci/Ktokolwiek to był, musiał uciec po schodach. Alarm można wyłączyć; sama jako brzydka milion razy robiła coś podobnego.

Tally drżącą ręką sięgnęła do klamki. Jeśli zawyje syrena, wszyscy zaczną się na nią gapić i szeptać, czekając, aż zjawią się opiekunowie i ewakuują wieżę. Byłby to naprawdę pyszny koniec jej kariery Krimki.

„Niezła Krimka” — pomyślała. Co z niej za kryminalistka, jeśli nie może od czasu do czasu odpalić jakiegoś alarmu.

Mocno pchnęła drzwi. Nic się nie stało. Tally weszła na schody, drzwi zamknęły się za nią, odcinając ją od odgłosów przyjęcia. W ciszy słyszała ciężkie bicie własnego serca i swój oddech, wciąż przyspieszony po pościgu. Rytm muzyki zdawał się przesączać pod drzwiami, czuła pod stopami wibrowanie cementowej podłogi.

Postać siedziała na schodach parę stopni wyżej.

— Udało ci się. — To był głos chłopaka przytłumiony przez maskę.

— Co się udało? Dotrzeć na imprezę?

— Nie, Tally, przejść przez drzwi.

— Przecież nie były zamknięte. — Próbowwała przeniknąć wzrokiem lśniące jak klejnoty oczy maski. — Kim jesteś?

— Nie poznajesz mnie? — W jego głosie zabrzmiało autentyczne zdumienie, jakby był starym przyjacielem, kimś, kto cały czas nosił maskę. — A na kogo wyglądam?

Tally przełknęła ślinę.

— Na Wyjątkowe Okoliczności — rzekła cicho.

— Świetnie, pamiętasz.

Usłyszała uśmiech w jego głosie. Mówił wolno i ostrożnie, jakby zwracał się do kogoś przygłupiego.

— Oczywiście że pamiętam. Jesteś jednym z nich? Czy ja cię znam?

Tally nie przypominała sobie żadnego z Wyjątkowych, w jej wspomnieniach ich twarze zlewały się w jedną okrutną, niewyraźną plamę.

— Może sama sprawdzisz? — Postać nawet nie drgnęła. — No, dalej, Tally.

Nagle Tally zrozumiała, co się dzieje. Rozpoznanie znaczenia kostiumu, pościg przez tłum, otwarcie wyposażonych w alarm drzwi — wszystko to stanowiło próbę. Rekrutację. Teraz siedział, zastanawiając się, czy ośmieli się zerwać mu maskę.

Tally miała dosyć prób.

— Trzymaj się ode mnie z daleka — rzuciła.

— Tally...

— Nie chcę pracować dla Wyjątkowych Okoliczności. Chcę po prostu mieszkać w Mieście Nowych Ślicznych.

— Ja nie...

— Daj mi spokój! — krzyknęła, zaciskając pięści.

Jej krzyk odbił się echem od betonowych ścian i rozplątał w ciszy, zaskakując ich oboje. Muzyka z przyjęcia rozbrzmiewała słabo na klatce schodowej, stłumiona, niewyraźna.

W końcu zza maski dobiegło westchnienie. Nieznajomy uniósł w rękę prymitywną skórzaną sakiewkę.

— Mam coś dla ciebie. Jeśli jesteś gotowa. Chcesz to dostać, Tally?

— Nie chcę nic od... — Tally urwała.

Gdzieś z dołu dobiegało miękkie szuranie i tupot. To nie były odgłosy przyjęcia, ktoś wchodził po schodach.

Oboje zareagowali jednocześnie, spoglądając przez poręcz w dół wąskiej klatki schodowej. Tally ujrzała błyski szarego jedwabiu i dłonie ściskające poręcz. Kilka osób wspinało się niewiarygodnie szybko, ledwie słyszała dźwięk ich kroków.

— Zobaczmy się później — oznajmił nieznajomy i wstał.

Tally zamrugała. Mężczyzna odepchnął ją, wyraźnie spłoszony widokiem prawdziwych Wyjątkowych. Kim zatem był? Nim zdążył sięgnąć palcami klamki, Tally zerwała mu maskę.

Był brzydki. Naprawdę brzydki.

Jego twarz zupełnie nie przypominała kostiumowych modyfikacji przygotowanych na bal — dużych nosów, zmrużonych oczu. Nie tylko przesadne rysy różniły go od innych. Po prostu się różnił, jakby stworzono go z zupełnie innej materii. W ułamku sekundy bystre oczy Tally dostrzegły każdy rozszerzony por, nieporządnie splecione

włosy, rażący brak harmonii w jego twarzy. Na widok tylu niedoskonałości, kępek młodej brody, naturalnych, niepoprawionych zębów, wykwitów na czole znamionujących chorobę, poczuła dreszcz. Nade wszystko pragnęła odskoczyć, nie zbliżać się do tego nieszczęsnego, nieczystego, niezdrowego okazu brzydoty.

A przecież jakimś cudem znała jego imię.

— Croy? — rzuciła.

— Później, Tally.

Croy wyrwał jej maskę, szarpnięciem otworzył drzwi i klatkę schodową zalała fala dźwięków. Pomknął naprzód, szary jedwabny kostium rozpląnął się w tłumie.

Tally stała bez ruchu, oszołomiona, patrząc na zatraskujące się drzwi. Tak samo jak stary sweter, jej wspomnienia brzydoty okazały się błędne — twarz Croya wyglądała znacznie gorzej niż przechowywany w myślach obraz Dymiarzy. Jego krzywy uśmiech, mętne oczy, ogniście czerwone odciski maski na spoconej skórze...

Drzwi jednak zatrzasnęły się i wśród echa usłyszała tupot stóp wciąż wspinających się ku niej prawdziwych Wyjątkowych. I po raz pierwszy tego dnia w głowie Tally pojawiła się wyraźna myśl.

Uciekać.

Szarpnęła drzwi i rzuciła się w tłum.

Winda właśnie się otwierała i Tally, potykając się, wpadła w sam środek ekipy Naturalnych oblepionych kruchymi, zeszlými liśćmi, niczym ucieleśnienie ostatnich dni jesieni, sypiących wokół żółcia i czerwienia, gdy przepychała się między nimi. Zdołała utrzymać równowagę — podłoga lepiła się od rozlanego szampana — i znów dostrzegła przeblysk szarego jedwabiu.

Croy kierował się w stronę balkonu i Krimów.

Popędziła za nim — nie życzyła sobie, by ktoś ją śledził, panicznie płoszył podczas imprez, poruszał wspomnienia, kiedy chciała zachować pyszny nastrój. Musiała dogonić Croya i powiedzieć mu, by już nigdy jej nie szukał.

To nie było Brzydalowo ani Dym — nie miał prawa tu przebywać. Nie wolno mu powracać z jej brzydkiej przeszłości.

Istniał też jeszcze jeden powód, dla którego biegła: Wyjątkowi. Wystarczyło jedno spojrzenie na nich, a każda komórka jej ciała spięła się do działania. Ich nieudzka szybkość budziła odrazę, niczym widok karalucha mknącego po talerzu. Owszem, ruchy Croya wydawały się niezwykle, dymiarska pewność siebie wyróżniała go spośród tłumu nowych ślicznych, lecz Wyjątkowi stanowili zupełnie inną ligę.

Tally wypadła na balkon akurat w chwili, gdy Croy wskoczył na poręcz. Przez sekundę machał gwałtownie rękami, potem odzyskał równowagę, ugiął kolana i wyprysnął w noc.

Podbiegła na to miejsce i wyjrzała. Croy leciał w dół, niknąc jej z oczu w zalegającej niżej ciemności. Po krótkiej, przerażającej chwili znów się pojawił, wirując

w powietrzu. Szary jedwab zajaśniał w blasku fajerwerków, gdy chłopak odbijając się, poleciał w stronę rzeki.

Zane stanął obok Tally, patrząc w dół.

— Hm, na zaproszeniu nie wspomniano o obowiązkowych kamizelkach bungee — mruknął. — Kto to był, Tally?

Otworzyła usta, w tym momencie jednak zawył alarm.

Tally obróciła się na pięcie i ujrzała rozstępujący się tłum. Grupa Wyjątkowych wychodziła zza drzwi i niczym ostrze noża wnikała pomiędzy oszołomionych nowych ślicznych. Okrutne twarze nie były kostiumami, tak samo jak brzydota Croya, i ich widok szokował wszystkich. Patrząc na wilcze oczy, Tally poczuła chłód, a ruchy Wyjątkowych, niebezpieczne, wyważone i celowe jak u polującego kota, sprawiły, że jej ciało znów zapragnęło uciec.

Po drugiej stronie balkonu dostrzegła Perisa. Stał jak sparaliżowany obok balustrady, oszołomiony widowiskiem. Jego zimne ognie w końcu przygasły, lecz lampka na kołnierzu kamizelki bungee płonęła jasną zielenią.

Tally przepchnęła się ku niemu pomiędzy innymi Krima— mi, dokładnie planując, kiedy skoczyć. Przez moment świat stał się osobliwie wyraźny, jak gdyby widok brzydoty Croya i okrutnej urody Wyjątkowych usunął barierę odgradzającą ją od otoczenia. Wszystko było jasne i ostre, szczegóły tak wyraźne, że Tally zmrużyła oczy, jakby biegła pod porywisty, mroźny wiatr.

Wpadła na Perisa dokładnie tak, jak zamierzała, oplatając ramionami jego ramiona. Siła rozpędu wystarczyła, by oboje unieśli się i przelecieli nad balustradą. Runęli ze światła w mrok. Kostium Perisa zajaśniał, podsycony powiewem, na twarzy poczuła zimne iskry podobne płatkom śniegu.

Peris krzyczał, zanosząc się śmiechem, jakby padł ofiarą irytującego, lecz zabawnego dowcipu i wpadł do zimnej wody. W połowie drogi Tally przyszło nagle do głowy, że kamizelka bungee może nie wyhamować ich obojga. ; Mocniej objęła Perisa i poczuła jego sapnięcie, gdy liftesy zareagowały. Kamizelka szarpnęła go prosto w górę, niemal wrywając Tally ręce ze stawów. Po tygodniach ciężkiej fizycznej pracy w Dymie wciąż miała silne mięśnie — operacja dodatkowo je wzmocniła — a jednak z trudem utrzymała Uchwyt, kiedy kamizelka gwałtownie wyhamowała upadek. Ręce zsunęły jej się niżej i zatrzymały wokół talii Perisa, palcami ścisnęła boleśnie paski kamizelki.

Gdy zatrzymali się, drząc, musnęła stopami trawę i puściła.

Peris wystrzelił z powrotem w górę, uderzając Tally kolanem w brew i odtrącając w ciemność. Straciła równowagę i z głośnym szelestem wylądowała na stercie zeschniętych liści.

Przez moment leżała bez ruchu. Liście pachniały ziemią i zgnilizną, niczym coś starego, zużytego. Zamrugła, czując, że coś wpływa jej do oka. Może to deszcz?

Spojrzała w górę, na wieżę imprez i odległe balony na gorące powietrze. Zamrugła jeszcze kilka razy, głośno chwytnając oddech. Dostrzegła parę postaci przechylonych przez jasną balustradę dziesięć pięter wyżej. Zastanawiała się, czy są wśród nich Wyjątkowi.

Nigdzie nie widziała Perisa. Przypomniała sobie podobny skok z czasów, gdy była brzydka, i to, jak daleko poniosła ją kamizelka. Odbijając się, musiał polecieć w kierunku rzeki, w ślad za Croyem.

Croy. Chciała mu coś powiedzieć...

Tally z trudem dźwignęła się z ziemi i odwróciła w stronę rzeki. Czowała bolesne pulsowanie w głowie, lecz jasność, która opadła na nią po skoku z balkonu, nie zniknęła. Serce zabiło jej gwałtownie, gdy eksplozja fajerwerków rozjaśniła niebo, zalewając różowym blaskiem drzewa, które przez moment rzuciły cienie. W świetle wyraźnie widziała każde źdźbło trawy.

Wszystko wydawało się niezwykle rzeczywiste: jej gwałtowna odraza na widok brzydkiej twarzy Croya, strach przed Wyjątkowymi, otaczające ją kształty i zapachy. Zupełnie jakby ktoś zerwał jej z oczu cienką przejrzystą folię i świat nabrał ostrych jak brzytwa konturów.

Pobiegła wzdłuż zbocza w stronę zwierciadlanej wstęgi rzeki i ciemności Brzydalowa.

— Croy! — zawołała.

Różowy kwiat na niebie zaczął gasnąć i Tally potknęła się o węzlaste korzenie starego drzewa. Zachwiała się i zatrzymała nagle.

Coś płynęło ku niej w ciemności.

— Croy? — Po rozbłysku wciąż migotały jej przed oczami zielone plamki.

— Nie poddajesz się, co?

Leciał na desce metr nad ziemią, ze stopami rozstawionymi dla równowagi, zgrabnie i pewnie. Szary jedwabny kostium zastąpił kruczą czernią, zrzucił też maskę okrutnego ślicznego. Za Croyem pojawiły się dwie kolejne odziane pr czerń postacie: młodszy brzydcy w strojach domów, bez pwątpienia podenerwowani. — Chciałam... — urwała.

Pobiegła za nim, by powiedzieć: „Idź sobie, zostaw mnie w spokoju i nigdy nie wracaj”, wykrzyknąć mu to w twarz, teraz wszystko stało się takie wyraźne i intensywne... i teraz pragnęła tylko zachować tę jasność, która wszystko odmienia. Jakimś cudem Tally wiedziała, że wtargnięcie Croya w jej świat jest częścią tej jasności.

— Croy, nadchodzą — rzucił jeden z młodszych brzydkich.

— Czego chciałaś, Tally? — spytał spokojnie Croy.

Zamrugła niepewna, wystraszona, że jeśli odpowie niewłaściwie, jasność zniknie i znów otoczy ją bariera. Przypomniała sobie, co zaproponował jej na klatce schodowej.

— Masz coś dla mnie?

Uśmiechnął się i wyciągnął zza pasa starą skórzaną sakiewkę.

— To? Owszem, myślę, że jesteś gotowa. Ale mamy problem: lepiej, żebyś teraz tego nie brała. Zbliżają się opiekunowie. Może też Wyjątkowi.

— Zgadza się, będą za jakieś dziesięć sekund — poskarżył się zdenerwowany brzydki.

Croy puścił jego słowa mimo uszu.

— Ale zostawimy to dla ciebie w Valentino 317. Zapamiętasz? Valentino 317.

Przytaknęła i znów zamrugła, kręciło jej się w głowie.

Croy zmarszczył brwi.

— Mam nadzieję. — Jednym zgrabnym ruchem zawrócił deskę, jego brzydki towarzysze uczynili to samo. — Do zobaczenia później! I przykro mi z powodu twojego oka.

Pomknęli w kierunku rzeki, skręcając w trzy różne strony. Po sekundzie pochłonęła ich ciemność.

— Przykro z powodu czego? — spytała cicho.

Nagle odkryła, że znowu mruga oczami, a otaczający ją świat rozmazał się. Uniosła dłoń do czoła i poczuła lepkość. Gdy tak patrzyła oszołomiona, na jej dłoni pojawiły się kolejne ciemne plamy. W końcu poczuła ból, głowa pulsowała jej w rytm serca. Zderzenie z kolanem Perisa musiało uszkodzić jej czoło. Przesunęła palcami wzdłuż strużki krwi ściekającej wokół brwi i po policzku, gorącej jak łyż.

Tally usiadła na trawie. Nagle zaczęła dygotać.

Fajerwerki znów rozświetliły niebo. W ich blasku krew na jej rękach zajaśniała jaskrawą czerwienią, każda kropla zmieniła się w małe lusterko, odbijające dalekie eksplozje. Po niebie poruszały się lotowozы, całe mnóstwo.

I gdy tak krwawiła, Tally poczuła, że coś jej umyka, coś, co bardzo pragnęła zatrzymać.

— Tally!

Uniosła wzrok i ujrzała Perisa, ze śmiechem wspinającego się na wzgórze.

— To nie był pyszny numer, Tally-wa, o mało nie wylądowałem w rzece. — Zaczął gestykulować, udając tonącego, który szamocze się w wodzie i osuwa na dno.

Tally odkryła, że chichocze. Teraz, gdy zjawił się Peris, jej dziwna nerwowość zmieniała się w pyszny nastrój.

— A co, nie umiesz pływać?

Zaśmiał się i opadł na trawę obok niej, walcząc z paskami kamizelki bungee.

— Nie jestem odpowiednio ubrany. — Potarł ramię. — A poza tym... au, co za uścisk.

Tally próbowała sobie przypomnieć, czemu skok z wieży wydał jej się tak dobrym pomysłem, lecz na widok jej własnej krwi mózg jakby przestał funkcjonować i chciała tylko zasnąć. Wszystko było ostre i błyszczące.

— Przepraszam.

— Następnym razem po prostu mnie uprzedź. — Nad ich głowami eksplodowały sztuczne ognie i Peris przyjrzał się im, mrużąc oczy, z wyrazem zdumienia na pięknej twarzy. — Skąd ta krew?

— A, tak. Gdy się odbiłeś, trafiłeś mnie kolaniem. Przegięte, prawda?

— Niezbyt dośliczniające. — Wyciągnął rękę i lekko uścisnął jej ramię. — Nie martw się, Tally, pingnę wóz opiekunów. Jest ich tu na kopy.

Jeden z nich właśnie się zbliżał. Przeleciał bezszelestnie nad ich głowami, w jego światłach trawa wokół nabrała odcienia czerwieni. Padła na nich plama światła z reflektora. Tally westchnęła, pozwalając, by nieprzyjemna ostrość ustąpiła. Dopiero teraz uświadomiła sobie, dlaczego to był tak przegięty dzień. Stanowczo za mocno się starała, martwiła tym, jak zagłosują Krimowie i w co ma się ubrać. Nie miała nastroju pysznego, lecz poważny. Nic dziwnego, że intruzi na balandze sprawili, że znalazła się na krawędzi.

Zachichotała. Faktycznie, na krawędzi. I to nie tylko nerwowej.

Ale teraz wszystko było już w porządku, brzydcy i okrutni śliczni zniknęli. Miała też Perisa, który się nią zaopiekuje. Poczowała, jak ogarnia ją spokój. Zabawne, kopniak w głowę na moment zupełnie ją odmóżdżył. I pomyśleć, że rozmawiała z tymi brzydkimi, jakby mieli jakiegokolwiek znaczenie!

Lotowóz wylądował w pobliżu, ze środka wyskoczyło dwoje opiekunów i ruszyło ku nim. Jeden z nich niósł apteczkę. „Może kiedy naprawią mi głowę, pomyślała Tally, mogłabym zafundować sobie opkę oczu, taką jak Shay. No, nie do końca taką samą, to byłoby przegięcie. Ale coś pasującego”.

Spojrzała w spokojne, mądre, pewne siebie twarze średnich ślicznych, patrzące z widocznym wyrazem troski. Nagle świadomość, że cała jest umorusana krwią, wydała jej się mniej wstydliva.

Powoli poprowadzili ją do wozu i spryskali ranę nową skórą. Dali też Tally pigułkę powstrzymującą opuchliznę. Gdy spytała o siniaki, roześmieli się i odparli, że to załatwiła operacja. Już nigdy nie będzie miała sińców.

Ponieważ została ranna w głowę, przeprowadzili również niezbędne badanie neurologiczne, przesuwając kilkakrotnie lśniącym, czerwonym wskaźnikiem i

sprawdzając poru szenia ocznej myszy. Badanie wydało jej się dość kretyńskie, ale opiekunowie wyjaśnili, że dowiodło, iż nie ma wstrząs— nienia ani uszkodzenia mózgu. Peris opowiedział historię o tym, jak wszedł w szklane drzwi apartamentowca Lillian Russell i musiał zachować przytomność bądź umrzeć. Wszyscy się roześmieli.

Potem opiekunowie zadali kilka pytań o brzydkich, którzy tej nocy przekroczyli rzekę i narobili zamieszania.

— Znałaś kogoś z nich?

Tally westchnęła. Nie miała ochoty o tym mówić. Strasznie się wstydziła, że stała się przyczyną inwazji brzydkich na imprezę. Ale pytanie zadali średni śliczni, a ich nie można było zbyć ot tak. Zawsze wiedzieli, co robią, i kłamanie prosto w ich spokojne, piękne oczy byłoby ostrym przegięciem.

— Tak. Tak jakby pamiętam jednego z nich. Croya.

— Był z Dymu? Prawda, Tally?

Przytaknęła. Czowała się głupio w swoim dymiarskim swetrze wybrudzonym ziemią i krwią. To wina ekipy z Valentino. Czemu zmienili zasady przyjęcia? Nie ma niczego bardziej przegiętego niż pozostanie w kostiumie po wyjściu z balangi.

— Wiesz, czego chciał, Tally? Po co się tu zjawiał?

Spojrzała na Perisa, szukając pomocy. Spijał z jej ust każde słowo, szeroko otwierając lśniące oczy. Nagle poczuła się ważna.

Wzruszyła ramionami.

— To zwykle numery brzydkich, nic więcej. Pewnie popisował się przed przyjaciółmi.

Zabrzmiało to dość przegięcie. Przecież Croy nie mieszkał w Brzydaluwie, był Dymiarzem z dziczy między miastami. Dwójka jego towarzyszy mogła pochodzić z miasta i kombinować, jak to brzydacy, ale Croy z pewnością miał jakiś plan.

Lecz opiekunowie jedynie uśmiechnęli się i pokiwali głowami. Widać jej uwierzyli.

— Nie martw się, to się nie powtórzy, dopilnujemy tego. Będziemy mieć na ciebie oko.

Ona także się uśmiechnęła i zabrali ją do domu.

*

* *

Gdy Tally dotarła do swojego pokoju, czekał już na nią ping od Perisa, który wrócił na imprezę.

— Zgadnij, co się stało? — krzyknął.

Wokół jego słów pulsowały głosy tłumów i muzyka i Tally pożałowała, że nie wróciła na balangę, nawet z czołem spryskanym sztuczną skórą. Zmarszczyła brwi i ciężko klapnęła na łóżko, słuchając dalszego ciągu wiadomości.

— Kiedy wróciłem, Krimowie zdążyli już zagłosować. Uznali, że zjawienie się na imprezie prawdziwych Wyjątkowych to totalnie pyszna sprawa. A nasz skok z wieży dostał od Zane’a sześćset milihelen! Jesteś prawdziwą Krimką! Do zobaczenia jutro. I nie kasuj tej blizny, póki wszyscy jej nie obejrzą. Przyjaciele na zawsze!

Wiadomość dobiegła końca. Tally miała wrażenie, że łóżko pod jej plecami wiruje. Zamknęła oczy i wydała z siebie przeciągłe, powolne westchnienie ulgi. Wreszcie była prawdziwą, pełnoprawną Krimką. W końcu dostała wszystko, czego pragnęła. Była piękna, mieszkała w Mieście Nowych Ślicznych z Perisem, Shay i gromadą nowych przyjaciół. Wszystkie strachy i klęski zeszłego roku — ucieczka do Dymu, życie w prymitywnych, przedrdzawych warunkach, podróż do miasta przez głuszę — minęły i w jakiś sposób wszystko się ułożyło.

To było takie cudowne, a sama Tally tak bardzo się zmęczyła, że potrzebowała nieco czasu, by w końcu uwierzyć, że wreszcie jej się udało. Parę razy odtworzyła wiadomość Perisa, a potem trzęsącymi się rękami ściągnęła cuchnący dy— miarski sweter i cisnęła go w kąt. Jutro zmusi dziurę w ścianie, żeby go połknęła.

Położyła się z powrotem, wbijając wzrok w sufit. Nadszedł ping od Shay, Tally jednak zignorowała go, przedstawiając obrączkę interfejsową na sen. Wszystko było tak doskonałe, że aż nierealne. Rzeczywistość wydała jej się nagle tak krucha, jakby najłżejsza choćby ingerencja mogła zagrozić całej jej ślicznej przyszłości. Łóżko pod jej plecami, apartamentowiec Komachi, a nawet otaczające ją miasto — wszystko wydawało jej się zwiewne niczym bańka mydlana, skurczone i puste.

Pewnie to uderzenie w głowę wywołało ów dziwaczny nastrój, zakłócający jej radość. Potrzeba jej porządnego snu — oby tylko jutro nie miała kaca — i znów wszystko będzie solidne, namacalne, doskonałe, takie jak powinno być.

Kilka minut później zasnęła, szczęśliwa, że wreszcie stała się Krimką.

Lecz jej sny były totalnie przegięte.

Była w nich piękna księżniczka.

Siedziała zamknięta w wysokiej wieży o kamiennych ścianach i zimnych, pustych pokojach, które nie umiały mówić. Nie było tam windy ani nawet schodów przeciwpożarowych, Tally zastanawiała się więc, jak księżniczka dostała się na górę.

Ale przecież tam była, na samym szczycie. Spała smacznie, nie miała nawet kamizelki bungee.

Wieży strzegł smok. Miał oczy z klejnotów i okrutne, głodne spojrzenie; poruszał się z brutalną, gwałtowną szybkością, aż Tally ścisnęła się żołądek. Nawet we śnie rozpoznała go natychmiast: to był okrutny śliczny, agent Wyjątkowych Okoliczności. Czy może cała ich grupa, złączona w jednego szarego węża o jedwabnych łuskach.

I oczywiście taki sen nie mógł się obyć bez księcia.

Przedostał się obok smoka, nie zabijając go, lecz skradając się ostrożnie. Wykorzystywał szczeliny w pradawnym kamiennym murze, w które mógł wsunąć palce, bo wieża była stara i zaczynała się rozsypywać. Z łatwością wspiął się onieśmielająco wysoko, od czasu do czasu zerkając z rozbawieniem na smoka zajętego bez reszty stadkiem rozbrykanych szcurków, przemykających mu między szponami.

Książę wskoczył do środka przez wysokie, kamienne okno, porwał księżniczkę w ramiona i złożył na jej ustach pocałunek, który przebudził ją ze snu. I to już cała historia. Powrót na dół, ucieczka przed smokiem nie stanowiły problemu, bo nie był to film ani nawet baśń, ale sen. I dobiegł końca wraz z pocałunkiem, prawdziwy happy end.

Oprócz jednego szczegółu.

Książę był totalnie brzydki.

*

* *

Tally obudziła się z boleśnie pulsującą głową.

Na widok odbicia w lustrze przypomniała sobie, że ów ból głowy to nie tylko kac, i odkryła, że kopniak w czoło nie należy do rzeczy dośliczniających. Wczorajsze ostrzeżenia opiekunów okazały się prawdziwe i sztuczna skóra nad jej okiem ogniście poczerwieniała. Będzie musiała zafundować sobie opkę, by się jej pozbyć.

Postanowiła jednak na razie jej nie naprawiać; tak jak mówił Peris, wyglądała z nią naprawdę kryminalnie. Tally uśmiechnęła się na myśl o swoim nowym statusie. Blizna pasowała do niego idealnie.

Dostała całą masę pingów od Krimów, pijackich gratulacji i opowieści o innych szalonych numerach na przyjęciu (choć żaden nie dorównywał pysznemu skokowi z wieży z Perisem). Tally słuchała wiadomości z zamkniętymi oczami, chłonąc dobiegające odgłosy tłumu, zachwycona tym, jak bardzo pozostaje związana z innymi, mimo że wcześniej wróciła do domu. To właśnie oznaczało przyjęcie do ekipy: nieważne, co zrobisz, wciąż masz przyjaciół.

Zane zostawił jej trzy wiadomości. W ostatniej pytał, czy Taily ma ochotę zjeść rano śniadanie. Nie wydawał się równie pijany jak reszta, może zatem już wstał.

Kiedy go pingnęła, odpowiedział natychmiast.

— Jak się czujesz?

— Nietwarzowo — odparła. — Peris ci mówił, jak dostałam w głowę?

— Tak. Naprawdę krwawiłaś?

— Bardzo.

— Rany! — W głosie Zane'a zabrzmiało podniecenie, jego zwykły chłód zniknął.

— Mimo wszystko to był naprawdę niezły skok. Cieszę się, że, no wiesz... że się nie zabiłaś.

Tally uśmiechnęła się.

— Dzięki.

— Słyszałaś już o dziwnym numerze z imprezą?

Wśród wiadomości Tally był też oficjalny ping, ale na razie nie miała ochoty go czytać.

— Jakim numerze?

— Wczoraj ktoś włamał się do systemu pocztowego i wysłał nowe zaproszenie, zmieniające stroje na kostiumy. Każdy w komitecie imprezowym Valentino myślał, że zrobił to ktoś inny, i nikt nie protestował. Ale nikt nie wie, kto tak naprawdę wysłał wiadomość. Pojechane, co?

Tally zamrugała. Otaczający ją pokój nagle jakby się rozplynął. Pojechane, nie ma co. Świat zdawał się kręcić wokół niej, jakby znalazła się w brzuchu czegoś wielkiego i nieopanowanego. Włamanie do poczty? Tylko brzydcy robili takie rzeczy. A Tally przychodziła do głowy tylko jedna osoba, której mogło zależeć na zamianie przyjęcia w Valentino w imprezę kostiumową: Croy w masce okrutnego ślicznego, Croy i jego dziwaczna propozycja.

Co oznaczało, że wszystko to wiązało się z Tally Youngblood.

— To srogo przegięte, Zane.

— Totalnie. Głodna?

Przytaknęła i znów poczuła pulsowanie w głowie. Za oknem wystrzelały w górę wieże imprez apartamentowca Garbo, wysokie i smukłe. Tally wpatrywała się w nie,

jakby skupienie wzroku w jednym punkcie miało powstrzymać świat przed wirowaniem. Na pewno przesadzała. Z całą pewnością nie wszystko wiązało się z jej osobą. Może chodziło o zwykłe, bezsensowne numery brzydkich? A może kogoś z komitetu balangowego Valentino akurat odmózdżyło?

Lecz nawet jeśli ktoś popełnił zwykły błąd, Croy musiał mieć pod ręką gotowy kostium. W Rdzawych Ruinach i głuszy, gdzie ukrywali się Dymiarze, nie ma dziur w ścianach; wszystko trzeba robić samemu, a to wymaga czasu i wysiłku. Poza tym Croy nie wybrał byle jakiego kostiumu... Tally przypomniała sobie zimne oczy z klejnotów i zrobiło jej się słabo.

Może jedzenie w czymś pomoże?

— Tak, srogo głodna. Zjedzmy śniadanie.

*

* *

Spotkali się w parku Denzela, ogrodzie rozkoszy ciągnącym się od centrum Miasta Nowych Ślicznych do aparta— mentowca Valentino. Sama budowla kryła się za drzewami, lecz w górze widać było maszt transmisyjny z łopoczącą na zimnym wietrze staroświecką flagą Valentino. W ogrodzie uprzątnięto już większość szkód poczynionych poprzedniej nocy. Pozostało tylko kilka poczerniałych plam, śladów po ogniskach Balangersów. Robot techniczny wisiał nad jednym z kręgów popiołów, starannymi ruchami szponów przewracając wypaloną ziemię i wtryskując w nią nasiona.

Słyszając z ust Zane'a propozycję pikniku, Tally uniosła brwi (który to ruch wywołał natychmiast głośnie „au”). Lecz spacer na świeżym powietrzu istotnie oczyścił jej umysł. Pigułki podane przez opiekunów przytłumiły ból rany, nie podziałały jednak na ogólnie złe samopoczucie. W Mieście Nowych Ślicznych krążyła plotka, że lekarze znali lekarstwo na kaca, lecz ukrywali je — dla zasady.

Zane zjawił się punktualnie. Tuż za nim unosiła się taca ze śniadaniem, kołysząc się lekko w powiewach chłodnego wietrzyku. Gdy się zbliżył, jego oczy otworzyły się szeroko na widok blizny na czole Tally. Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć.

— Nieźle przegięta, co? — spytała.

— Totalnie kryminalna — odparł, wciąż zaskoczony.

— Ale nie przyznasz jej zbyt wielu milihelen?

Przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Nie mierzyłbym jej w helenach. Sam nie wiem, jakiej miary mógłbym użyć; czegoś bardziej pysznego.

Tally uśmiechnęła się: Peris miał rację, mówiąc, by nie naprawiała twarzy od razu. Zafascynowany blizną Zane wyglądał jeszcze piękniej, a wyraz jego oczu sprawił, że

poczuła mrowienie — zupełnie jakby znów znalazła się w centrum wszystkiego, tyle że świat przestał wirować.

Kostiumowa opka Zane'a już się wchłonęła, jego wargi odzyskały zwykłą pulchność. Jednak w świetle dziennym nadal wyglądał ekstremalnie, jak zawsze. Jego twarz składała się z samych kontrastów: ostrego podbródka i kości policzkowych, wysokiego czoła. Skóra miała ten sam oliwkowy odcień jak u wszystkich, lecz w słońcu, okolona ciemnymi włosami, wydawała się blada. Wskazówki operacyjne nie pozwalały wybrać kruczoczarnych włosów, które rada uznała za przesadzone, lecz Zane farbował swoje tuszem do kaligrafii. Do tego nie jadł zbyt wiele, twarz więc miał wychudzoną, a spojrzenie wyjątkowo przenikliwe. Ze wszystkich ślicznych, których Tally poznała od czasu operacji, tylko on naprawdę się wyróżniał.

Może właśnie dlatego przewodził grupie Krimów — aby zostać prawdziwym kryminalistą, trzeba różnić się od innych. Jego złociste oczy załśniły, poszukując odpowiedniego miejsca. W końcu zdecydował się na rozjaśniony plamkami światła półcień pod rozłożystym dębem.

Usiedli na trawie i liściach i Tally wciągnęła w płuca zapach rosy i ziemi. Śniadanie opadło między nich, promieniując ciepłem elementów grzejnych, które nie pozwalały jajecznicy i placuszkom ostygnąć i stężeć.

Tally nałożyła sobie na ogrzewany talerz jajka, ser i plastry awokado, do ust wsunęła babeczkę. Patrząc na Zane'a, przekonała się, że trzyma w dłoni jedynie filiżankę kawy i na moment przestraszyła się, czy objadanie się nie jest przypadkiem przegięciem. Ale jakie to miało znaczenie? Teraz była już Krimką, przegłosowaną i przyjętą. A poza tym to właśnie Zane ją tu zaprosił. Chciał się z nią spotkać. Czas przestać się martwić o akceptację i zacząć dobrą zabawę. Istniały gorsze rzeczy niż siedzenie w idealnym parku i pozostawanie obiektem uwagi pięknego chłopaka.

Szybko dokończyła babeczkę, wciąż gorącą w środku i lepką od na wpół stopionej czekolady, i uniosła widelec, szykując się do ataku na jajka. Miała nadzieję, że na tacy znajdują się też znikacze kalorii. Działają lepiej zażywane od razu po jedzeniu, a zamierzała zjeść naprawdę dużo. Może utrata krwi wzmacnia apetyt.

— Powiedz, kim był ten gość wczoraj wieczorem? — spytał Zane.

Tally, wciąż przeżuując, wzruszyła tylko ramionami, on jednak czekał cierpliwie, aż przełknie.

— Jakiś intruz, brzydki — odparła w końcu.

— Domyśliłem się. Kogo innego ścigaliby Wyjątkowi? Chodziło mi o to, czy może go znałaś?

Tally odwróciła wzrok. Wstydziła się, że brzydkie życie podążyło za nią na drugą stronę rzeki. Ale Peris słyszał, jak wczoraj mówiła o tym opiekunom, nie mogła więc okłamać Zane'a, to by było przegięcie.

— Tak, chyba faktycznie kiedyś go znałam. Z Dymu. Nazywał się Croy.

Po twarzy Zane'a przebiegł dziwny grymas, jego złote oczy spojrzały w dal, jakby czegoś szukały. Po chwili pokiwał głową.

— Ja też go znałem.

Tally zamarła z widelcem w połowie drogi do ust.

— Żartujesz.

Zane pokręcił głową.

— Ale myślałam, że ty nie uciekłeś.

— Bo nie uciekłem. — Podwinął nogi i objął kolana jedną ręką. Pociągnął łyk kawy. — W każdym razie nie dalej niż do Rdzawych Ruin. Ale kumpłowaliśmy się z Croyem, kiedy byliśmy maluchami i mieszkaliśmy w tym samym domu.

— To... zabawne. — Tally w końcu skosztowała jajek. Zaczęła powoli przeżuwać. W mieście żyło milion ludzi, a Zane znał Croya. — Jakie jest prawdopodobieństwo? — spytała cicho.

Zane ponownie pokręcił głową.

— To nie jest przypadek, Tally-wa.

Tally przestała żuć, w ustach czuła dziwny smak jajek. Miała wrażenie, że wszystko znów zaczyna wirować. Ostatnio w świecie wyraźnie brakowało przypadków.

— To znaczy?

Zane nachylił się ku niej.

— Tally, wiesz, że Shay mieszkała w moim domu, prawda? W czasach, kiedy byliśmy brzydzy?

— Jasne — odparła. — Dlatego właśnie skumała się z wami, kiedy tu przybyła. — Tally na moment zawiesiła głos i powoli zaczęła rozumieć. Wspomnienia z Dymu zawsze powracały we wkurzająco powolnym tempie, niczym bąble unoszące się w gęstej, lepkiej cieczy. — W Dymie — rzekła ostrożnie — Shay przedstawiła mnie Croyowi. Byli starymi przyjaciółmi. Znaliście się we troje.

— Owszem. — Zane skrzywił się, jak gdyby do jego kawy wpadło coś zgniłego.

Tally z nieszczęśliwą miną spojrzała na swoje jedzenie. Kiedy Zane tak mówił, czuła się zupełnie jak poprzedniego wieczoru. Cała przegięta historia zeszłego lata powracała jej do głowy.

— W naszym domu było nas sześcioro — oznajmił. — Wtedy także nazywaliśmy się Krimami. Robiliśmy wszystkie zwykłe numery brzydkich — wykradaliśmy się

nocą, hakowa— liśmy systemy ochrony domów, zakradaliśmy się za rzekę, by szpiegować nowych ślicznych.

Tally przytaknęła; przypomniała sobie historie Shay z czasów, nim się poznały.

— I odwiedzaliście Rdzawe Ruiny?

— Tak, po tym, jak starsi brzydcy pokazali nam drogę. — Spojrzał na wzgórze w strzelistym sercu Miasta Nowych Ślicznych. — Gdy tam jesteś, uświadamiasz sobie, jaki wielki S' jest świat. Kiedyś w tym starym mieście Rdzawców mieszkało dwadzieścia milionów ludzi. W porównaniu z nim nasze miasto jest maleńkie.

Tally przymknęła oczy i odłożyła widelec na talerz. Straciła apetyt. Po tym, co stało się zeszłej nocy, śniadanie z Za— ne'em może nie było zbyt dobrym pomysłem. Czasami zdawał się sądzić, że wciąż jest brzydki, i starał się pozostać pyszny; nie wystarczały mu zwykle, łatwe zabawy ślicznych. Dlatego świetnie się sprawdzał jako przywódca Krimów. Ale w kontakcie sam na sam był strasznie pojechany.

— Tak, ale wszyscy Rdzawcy wymarli — odparła cicho. — Było ich zbyt wielu i byli totalnie głupi.

— Wiem, wiem, o mało nie zniszczyli świata — wyrecytował, po czym westchnął. — Lecz wykradanie się do ruin było najbardziej podniecającą rzeczą w moim życiu.

Gdy to mówił, jego oczy rozbłyły i Tally przypomniała sobie swoje własne wyprawy do ruin, ten pusty majestat miasta duchów, który pobudzał wszystkie nerwy jej ciała. Kryło się tam uczucie prawdziwego zagrożenia, jakże inne od nieszkodliwej podniety wzlatywania na prądach gorącego powietrza albo skoku bungee.

Zadrżała, wspominając dawne zabawy. Zane nie spuszczał z niej oka.

— Wiem, co masz na myśli.

— Zdawałem sobie sprawę, że po operacji już tam nie wrócę, nowi śliczni nie robią podobnych numerów. Kiedy zatem się zbliżały moje szesnaste urodziny, zacząłem myśleć o opuszczeniu miasta, ucieczce w głąsę. Przynajmniej na jakiś czas.

Tally powoli pokiwała głową. Pamiętała, że Shay mówiła to samo, kiedy się spotkały. I właśnie te słowa doprowadziły ją na drogę wiodącą do Dymu.

— I namówiłeś Shay, Croya i pozostałych, żeby poszli z tobą.

— Próbowałem — roześmiał się. — Z początku uważali, że zwariowałem. Bo nie da się mieszkać na pustkowiach. Ale potem spotkaliśmy gościa, który...

— Stop — rzuciła Tally.

Nagle serce zabiło jej mocniej, jak wtedy gdy zażywa się znikająca i metabolizm przyspiesza, żeby spalić kalorie. Poczowała wilgoć na twarzy, wietrzyk stał się nagle zimny. Policzki miała mokre, ale twarze ślicznych się nie pociły...

Zamrugnęła, zaciskając pięści tak mocno, aż paznokcie wbiły jej się w dłonie. Świat uległ dziwnej przemianie, pro— myczki słońca odcinały się ostro od sklepienia liści nad

jej głową. Próbowwała oddychać powoli, głęboko. Przypomniała sobie teraz, że to samo zdarzyło się zeszłego wieczoru, gdy ujrzała Croya.

— Tally? — spytał Zane.

Pokręciła głową, nie chcąc, by cokolwiek mówił, a już na pewno nie o spotkaniu z kimś w Rdzawych Ruinach. Odkryła, że sama zaczyna trajkotać, bardzo szybko, nie dopuszczając go do głosu, że powtarza to, co usłyszała od Shay.

— Dowiedziałeś się o istnieniu Dymu, tak? Miejscu, gdzie ludzie żyją jak przedrdzawcy i pozostają brzydzy do końca życia. I wszyscy postanowiliście tam uciec. Ale gdy nadszedł czas, większość z was stchórzyła. Shay opowiadała mi o tamtej nocy: była spakowana i gotowa, ale w końcu nie poszła, zbyt się bała.

Zane przytaknął, wbijając wzrok w swoją filiżankę.

— Czyli ty też odpadłeś? — naciskała Tally. — Miałeś wtedy uciec?

— Tak — odparł beznamiętnie. — I nie poszedłem, choć to był mój pomysł. A potem, zgodnie z rozpiską, stałem się śliczny.

Tally odwróciła głowę, niezdolna do powstrzymania wspomnień owego lata. Przyjaciele Shay uciekli do Dymu albo stali się śliczni, pozostawiając ją samą w Brzydalu. Wtedy właśnie poznały się z Tally i zaprzyjaźniły. I gdy druga próba ucieczki Shay się powiodła, Tally została wciągnięta w całe to bagno.

Powoli wypuściła powietrze, próbując się uspokoić. Owszem, ubiegłe lato to był koszmar, ale także dzięki niemu stała się teraz Krimką, a nie zwykłą nudną nową śliczną, próbującą dostać się do lamerskiej, małopysznej ekipy. Może jednak warto było cierpieć po to, by trafić tutaj, być śliczną i popularną.

Spojrzała na Zane'a, jego piękne oczy wciąż wpatrywały się w kawowe fusy. Poczula, że się odprężyła. Uśmiechnęła się. Wyglądał tak tragicznie — ciemne brwi wygięte w rozpacz, wciąż cierpiące na myśl, że stchórzył i nie uciekł do Dymu. Wzięła go za rękę.

— Hej, to nic wielkiego, wcale nie było tam super. Ciągle tylko piekliśmy się na słońcu i gryzły nas robale.

Uniósł wzrok, patrząc wprost na nią.

— Ale przynajmniej zaryzykowałeś, Tally. Miałaś dość odwagi, by samej się przekonać.

— Tak naprawdę nie miałam wyboru. Musiałam znaleźć Shay. — Zadrzała i cofnęła rękę. — Mam szczęście, że udało mi się wrócić.

Zane przysunął się bliżej i pogładził delikatnymi palcami sztuczną skórę pokrywającą jej bliznę. Przyglądał się jej szeroko otwartymi złotymi oczami.

— Cieszę się, że wróciłaś.

Uśmiechnęła się, muskając grzbiet jego dłoni.

— Ja także.

Jego palce wsunęły się w jej włosy, delikatnie przyciągnął ją bliżej. Zamknęła oczy, pozwalając, by ich usta się zetknęły; pod palcami czuła gładką, nieskazitelną skórę jego policzka.

Serce Tally znów biło bardzo mocno, w głowie jej wirowało. Powoli ich usta rozłączyły się. Rzeczywistość wokół niej znowu ulegała zmianie, ale tym razem to jej się podobało...

Kiedy przybyła do Miasta Nowych Ślicznych, Peris ostrzegał ją przed seksem. Zbliżenie z innymi ślicznymi mogło być oszalamiające, zwłaszcza dla kogoś nowego. Trzeba czasu, aby przywyknąć do tych cudownych twarzy, doskonałych ciał, świetlistych oczu. Kiedy wszyscy są piękni, można zakochać się w pierwszym pocałowanym ślicznym.

Ale może nadszedł już czas? Mieszkała w mieście od miesiąca, a Zane był kimś wyjątkowym. Nie tylko dlatego, że przewodził Krimom i wyglądał inaczej niż wszyscy, ale cały czas próbował pozostać pyszny, nagiąć zasady. To sprawiało, że wydawał się jeszcze ładniejszy.

Po wszystkich niespodziewanych wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin to było najprzyjemniejsze. Całowanie się z Zane'em to odlot, ale nie czuła się, jakby spadała w ciemność. Usta miał ciepłe, miękkie i doskonałe, a ona czuła się bezpieczna.

Po długiej chwili odsunęli się lekko, Tally wciąż nie otwierała oczu. Jego oddech omiatał jej twarz, dłoń, ciepła i miękka, gładziła kark.

— David — szepnęła.

Zane cofnął się, jego oczy się zwężyły.

— Och, strasznie przepraszam — wykrztusiła Tally. — Nie wiem dlaczego... — Urwała, a Zane powoli pokiwał głową.

— Nie, nic się nie stało.

— Ja nie chciałam... — znów zaczęła Tally, lecz Zane uciszył ją gestem. Jego piękna twarz spoważniała w namyśle. Wpatrywał się w ziemię, powoli wrywając palcami długie źdźbła trawy.

— Teraz pamiętam — rzekł.

— Co pamiętasz?

— Tak miał na imię.

— Kto?

Zane mówił cicho, spokojnie, jakby nie chciał obudzić kogoś śpiącego w pobliżu.

— To on miał nas zaprowadzić do Dymu. David.

Tally usłyszała własne ciche sapnięcie. Mrużyła oczy, jakby słońce nagle zaczęło świecić jaśniej. Wciąż czuła na swoich wargach cień ust Zane'a, ciepło w miejscach, gdzie dotknęły jej jego dłonie. Lecz nagle zaczęła dygotać.

Wzięła go za rękę.

— Nie chciałam tego powiedzieć.

— Wiem. Ale czasami pewne wspomnienia wracają. — Uniósł wzrok. Jego złote oczy rozbłysły. — Opowiedz mi o Davidzie.

Taily przełknęła ślinę i odwróciła głowę. David. Nagle ujrzała go w myślach: zabawny duży nos, wysokie czoło. Ręcznie robione buty na nogach i kurtka uszyta ze skóry. David dorastał w Dymie. Nigdy nie odwiedził miasta. Twarz miał brzydką od góry do dołu, niedoskonale opaloną w promieniach słońca, z blizną przecinającą brew... To wspomnienie coś w Tally poruszyło.

Zdumiona pokręciła głową. W jakiś sposób zapomniała o Davidzie.

— Spotkałaś go w Rdzawych Ruinach, zgadza się? — naciskał Zane.

— Nie — odparła. — Usłyszałam o nim od Shay. Raz próbowała go wezwać, ale się nie zjawiał. To on zaprowadził Shay do Dymu.

— Mnie też miał tam zabrać. — Zane westchnął. — Ale ty udałaś się do Dymu sama?

— Tak. Kiedy tam dotarłam, on i ja...

Teraz Tally już pamiętała. Zdawało się, że od tego czasu minęło milion lat, lecz widziała siebie, brzydką, jak całuje Davida. Całymi tygodniami podróżuje z nim przez

głuszę. Przez jej mózg przyplęnęła osobliwa fala pamięci. Jakże ważne i wieczne wydawało wtedy to, co ich łączyło.

A potem jakimś cudem zniknął.

— Gdzie jest teraz? — spytał Zane. — Czy Wyjątkowi złapali go, kiedy zniszczyli Dym?

Pokręciła głową. Inne wspomnienia o Davidzie były mgliste i niewyraźne, lecz chwila ich rozstania... zniknęła.

— Nie wiem.

Nagle Tally poczuła się słabo. Po raz setny tego dnia otaczający ją świat zaczął wirować. Sięgnęła do tacy ze śniadaniem, lecz Zane złapał ją za rękę.

— Nie, nie jedz.

— Co?

— Nie jedz nic więcej. Właściwie możesz zażyć kilka znika— czy kalorii. — Wyciągnął z kieszeni paczkę. Cztery tabletki zdążył już połknąć. — Szybsze bicie serca pomaga. — Wycisnął dwie kolejne tabletki i zażył, popijając kawą.

— Pomaga? W czym?

Zane wskazał palcem własną głowę.

— W myśleniu. Głód skupia umysł. Podobnie działa każde podniecenie. — Uśmiechnął się szeroko i wcisnął jej paczuszkę do ręki. — Jak całowanie kogoś nowego. Działa naprawdę świetnie.

Tally oszołomiona przyjrzała się znikalom. Błyszcząca folia lśniła boleśnie w promieniach słońca. Jej krawędzie były ostre niczym brzytwy.

— Ale ja prawie nic nie zjadłam. Za mało, żeby przytyć.

— Nie chodzi o chudnięcie. Muszę z tobą porozmawiać, Tally. Posiedź ze mną jeszcze chwilę. Od bardzo dawna czekałem na kogoś takiego jak ty. Musisz pozostać... pyszna.

— Znikale mają sprawiać, że będę się czuła pysznie?

— Pomagają. Później ci to wyjaśnię. Zaufaj mi, Tally-wa.

Wciąż czuła na sobie jego spojrzenie, niemal szaleńczo intensywne, zupełnie jak wtedy gdy tłumaczył Krimom jakiś nowy numer. Trudno było oprzeć się Zane'owi, gdy wpadał w taki nastrój, nawet jeśli to, co mówił, nie miało sensu.

— No dobrze.

Niezgrabnie naddusiła dwie pastylki i uniosła je do ust. W ostatniej chwili zawahała się jednak. Instrukcja zakazywała ich zażywania bez jedzenia. To mogło być niebezpieczne, lecz w czasach Rdzawców, przed operacją, kiedy wszyscy byli brzydcy, istniała choroba sprawiająca, że ludzie nic nie jedli. Tak bardzo bali się utyć, że stawiali

się zbyt chudzi, czasami nawet umierali z głodu w świecie pełnym żywności. To tylko jedna ze strasznych rzeczy, którym zapobiegła operacja.

Ale przecież parę znikali jej nie zabije. Gdy Zane podał jej kubek z kawą, popiła je i skrzywiła się, czując kwaśny smak w ustach.

— Mocna, co? — uśmiechnął się szeroko.

Po chwili jej serce zabiło mocniej. Metabolizm gwałtownie przyspieszył. Wszystko nabrało ostrości. Tak jak poprzedniej nocy miała wrażenie, jakby ktoś zerwał plastikową zasłonę oddzielającą ją od reszty świata. Zmrużyła oczy w jasnym blasku słońca.

— W porządku — rzekł Zane. — Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie o Davidzie?

Tally próbowała jakoś uspokoić trzęsące się ręce. Wysiliła umysł, walcząc z mgłą okrywającą wspomnienia z okresu brzydoty.

— Byliśmy wszyscy w Ruinach — zaczęła. — Pamiętasz historię Shay o tym, jak ją porwaliśmy?

Zane przytaknął, chociaż Shay nieraz zmieniała swoją historię. W niektórych wersjach Tally i Dymiarze porywali Shay wprost z kwatery Wyjątkowych Okoliczności. W innych opuszczali miasto, by uratować Tally przed Dymiarzami, i obie razem uciekały do miasta. Oczywiście nie tylko historie Shay się zmieniały. Krimowie mieli w zwyczaju przesadzać, relacjonując swoje dawne przygody, bo chodziło przecież o to, by historie zabrzmiały pysznie. Ale Tally miała wrażenie, że Zane chce usłyszeć prawdę.

— Wyjątkowi zniszczyli Dym — podjęła. — Lecz kilkoro z nas ukrywało się w Ruinach.

— Nowy Dym — tak nazywali was brzydocy.

— Zgadza się. Ale skąd o tym wiesz? Przecież wtedy byłeś już śliczny.

Zane uśmiechnął się szeroko.

~ Myślisz, że jesteś jedyną nową śliczną, która opowiedziała mi swoją historię, Tally-wa?

Tally przypomniała sobie pocałunek sprzed paru chwil i przez moment zastanowiła się, jak Zane przekonał innych do przypomnienia sobie dawnych brzydkich czasów.

— Ale dlaczego wróciłaś do miasta? — spytał. — Nie mów, że Shay naprawdę cię uratowała.

Tally pokręciła głową.

— Nie wydaje mi się.

— Czy Wyjątkowi cię załapali? Może schwytali również jpayida?

— Nie — odparła bez wahania.

Choć wspomnienia wciąż były niewyraźne, wiedziała, że ^ David nadal przebywa gdzieś poza miastem. W myślach ujrzała go wyraźnie, ukrywającego się w ruinach. , — Powiedz mi, Tally, dlaczego tu wróciłaś i się poddałaś?

Zane nadal trzymał ją za rękę. Ścisnął mocno, czekając na odpowiedź. Jego twarz znalazła się blisko, złote oczy lśniły w rozświetlonym cieniu, spijając każde słowo z jej warg. Niestety, z niewiadomych przyczyn wspomnienia nie chciały powrócić. Myślenie o tamtych dniach przypominało walenie głową w mur.

Zagryzła wargę.

— Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć? Co jest ze mną nie tak, Zane?

— To dobre pytanie, ale cokolwiek to jest, dotyczy nas wszystkich.

— Kogo? Krimów?

Pokręcił głową, zerkając na wieże imprez wznoszące się nad nimi.

— Nie tylko nas. Wszystkich. A przynajmniej wszystkich w Mieście Nowych Ślicznych. Większość ludzi nie rozmawia o swej brzydkiej przeszłości. Mówią, że nie mają ochoty dyskutować o nudnych wspomnieniach z dzieciństwa.

Tally przytaknęła. Bardzo szybko zorientowała się, że w Mieście Nowych Ślicznych poza kręgiem Krimów rozmowy o brzydkim dzieciństwie były totalnie zeromodne.

— Ale kiedy naciskasz, okazuje się, że większość nie pamięta.

Zmarszczyła brwi.

— Przecież my, Krimowie, bez przerwy gadamy o dawnych czasach.

— Wszyscy lubiliśmy psocić, pakować się w kłopoty — wyjaśnił Zane. — Przechowujemy zatem w głowach mnóstwo podniecających wspomnień. Ale wciąż trzeba je opowiadać, słuchać i łamać zasady. Musisz pozostać pyszna, inaczej stopniowo zapomnisz dawne czasy. Na zawsze.

Patrząc w jego skupione oczy, Tally nagle coś sobie uświadomiła.

— Do tego właśnie służą Krimowie, prawda?

— Zgadza się — przytaknął Zane. — Są po to, byśmy nie zapominali. Mają nam pomóc odkryć, co jest z nami nie tak.

— Jak ty... Czemu jesteś inny od reszty?

— Kolejne dobre pytanie. Może się taki urodziłem, a może dlatego, że złożyłem sobie obietnicę, kiedy stchórzyłem tamtej nocy, zeszłej wiosny: pewnego dnia opuszczę miasto i nieważne, czy będę śliczny. — Ostatnie słowa Zane wypowiedział bardzo cicho. Odetchnął przez zaciśnięte zęby. — Tyle że okazało się to znacznie trudniejsze, niż przypuszczałem. Na jakiś czas zrobiło się całkiem nudno i zaczynałem już zapominać. — Rozpromienił się. — Ale wtedy zjawiłaś się ze swoimi pokręconymi historiami, które nie miały sensu. I teraz znów jest pysznie.

Chyba faktycznie, Tally spojrzała na ich złączone ręce.

— Jeszcze jedno pytanie, Zane-la.

— Jasne — uśmiechnął się. — Podobają mi się twoje pytania. v* Odwróciła wzrok.

— Kiedy niedawno mnie pocałowałeś, czy to miało pomóc ci utrzymać pyszny nastrój, a mnie przypomnieć sobie? Czy może... — Urwała, patrząc mu nerwowo w oczy.

Zane uśmiechnął się.

— A jak myślisz?

Nie dał jej jednak szansy na odpowiedź. Złapał ją za ramiona, znów przyciągnął do siebie i pocałował — tym razem głębiej, mocniej. Ciepło jego ust łączyło się z siłą dłoni na jej ciele, smakiem kawy, zapachem jego włosów.

Kiedy skończył, Tally odchyliła się, oddychając ciężko, bo pocałunek zupełnie pozbawił ją tlenu, ale zarazem poczuła się pysznie — bardziej niż po pigułkach znikająca albo wczorajszym skoku z wieży — i przypomniała sobie o czymś, o czym powinna była wspomnieć od razu, ale jakoś nie wspomniała. Wiedziała, że Zane bardzo się ucieszy.

— Zeszłej nocy Croy powiedział mi, że mają coś dla mnie, ale nie mówił co. Miał to zostawić tu, w Mieście Nowych Ślicznych, ukryte tak, by opiekunowie tego nie znaleźli.

— Coś z Nowego Dymu? — oczy Zane'a rozszerzyły się. — Gdzie?

— Valentino 317.

— Zaczekaj chwilkę. — Zane zdjął jej obrączkę interfejsową, a potem własną, i ruszył dalej w głąb ogrodu rozkoszy. — Lepiej zostawmy je. Nie chcemy, by poszli za nami.

— No tak, jasne. — Tally przypomniała sobie własną przeszłość i to, jak łatwo przychodziło jej oszukiwać starszych w domu. — Opiekunowie zeszłej nocy mówili, że będą mieć na mnie oko.

Zane zachichotał.

— Na mnie zawsze mają oko.

Nawłókł obrączki na dwie wysokie trzciny, które ugięły się pod ciężarem pierścionków.

— Od czasu do czasu wiatr nimi poruszy — wyjaśnił. — W ten sposób nie domyślą się, że je zdjęliśmy.

— Ale czy nie uznają tego za dziwne, że tak długo siedzimy w jednym miejscu?

— To przecież ogród rozkoszy. — Zane roześmiał się. — Spędziłem tu wiele czasu. Tally poczuła bolesne ukłucie, ale nie pokazała tego po sobie.

— Ale jak je potem znajdziemy?

— Znam to miejsce. Przestań się martwić.

— No tak, przepraszam.

Odwrócił się do niej ze śmiechem.

— Nie ma za co przepraszać. To najlepsze śniadanie, jakie Ijadłem od wieków.

*

* *

Zostawili obrączki i ruszyli w stronę rzeki i apartamentowca Valentino. Tally zastanawiała się, co znajdą w pokoju 317. W większości apartamentowców każdy pokój miał swoją nazwę. Jej własny w Komachi nazywał się Etcetera, Shay mieszkała w Błękitnym Niebie, lecz budynek Valentino zbudowano tak dawno, że pomieszczenia w nim były ponumerowane. Mieszkańcy Valentino pysznili się tym, wychwalając starożytne tradycje swojego rozsypującego się domostwa,

— Ciekawe miejsce na ukrycie czegoś — zauważył Zane, gdy zbliżyli się do wielkiego budynku. — Łatwiej zachować j sekret, gdy ściany nie mówią.

— Pewnie dlatego włamali się na imprezę w Valentino, a nie f w jakimś innym apartamentowcu — dodała Tally.

— Tyle że ja musiałem wszystko schrzanić — mruknął Zane. Spojrzała na niego.

— Ty?

— Spotkaliśmy się na dole, w kamiennym budynku, ale was tam nie było. Zaproponowałem wówczas, byśmy weszli na jedną z nowych wież imprez, żeby inteligentne ściany was znalazły.

— Mieliśmy ten sam pomysł — mruknęła Tally.

Zane pokręcił głową.

— No tak, ale gdybyśmy zostali na dole w Valentino, Wyjątkowi nie od razu zauważyliby Croya. Miałby czas z tobą pogadać.

— To oni mogą słuchać przez ściany?

— Jasne. — Zane uśmiechnął się. — Jak myślisz, czemu zaproponowałem piknik w tak cholernie zimny dzień?

Tally przytaknęła, myśląc gorączkowo. Interfejs miejski dostarczał pingi, odpowiadał na pytania, przypominał o spotkaniach, a nawet gasił i zapalał światło w pokoju. Gdyby Wyjątkowe Okoliczności zechciały kogoś obserwować, znałyby wszystkie ruchy tej osoby i co najmniej połowę jej myśli. Przypomniała sobie rozmowę z Croyem na wieży, obrączkę interfejsową na palcu, ściany wyłapujące każde słowo...

— Czy oni śledzą wszystkich?

— Nie daliby rady, zresztą większości ludzi nie warto śledzić. Ale niektórych z nas traktują wyjątkowo, jak na Wyjątkowe Okoliczności przystało.

Tally zaklęła. Tej nocy Wyjątkowi zjawili się bardzo szybko. Miała tylko parę minut z Croyem, zupełnie jakby czekali w pobliżu. Może już się zorientowali, że ktoś włamał się na imprezę? A może nigdy nie oddalali się zaudto od Tally Youngblood...

Zerknęła w kierunku drzew. Cienie tańczyły na wietrze, a wśród nich trzepotały wymyślone szare postacie.

— Nie sędzę, byś cokolwiek zepsuł zeszłej nocy, Zane. To była moja wina. ! — Niby czemu?

— To zawsze moja wina

— Przekinasz, Tally — rzekł cicho Zane. — Nie ma nic złe— Igo w byciu kimś wyjątkowym

Jego głos ucichł, gdy przeszli pod głównym łukiem wejścia apartamentowca Valentino. Pośród grubych kamiennych ścian panowała grobowa cisza.

— Kiedy wychodziliśmy, wciąż jeszcze trwała impreza. Pewnie wszyscy nadal leżą w łózkach.

Tally przytaknęła. Nawet roboty z obsługi nie zabrały się jeszcze do pracy. Korytarze zaścielały podarte fragmenty kostiumów. W powietrzu wisiała ciężka, słodkomdląca woń rozlanych drinków. Podłoga lepila się do stóp. Czar przyjęcia rozproszył się jak szampański nastrój, po którym następuje kac.

Palec pozbawiony obrączki wydawał jej się nagi. Przywodził wspomnienia z dzieciństwa, gdy jako brzydka zakradała się za rzekę, przerażona, że ktoś ją złapie, lecz strach wyostrzał jej zmysły. Wciąż czuła się pysznie — do tego stopnia, że słyszała szeleszczące w przeciągu śmieci. Umiała odróżnić rodzynkowy zapach rozlanego szampana od odoru starego piwa. W kamiennym budynku słyhać było tylko ich kroki.

— Ktokolwiek mieszka w 317, pewnie jeszcze śpi — wyszeptała Tally.

— No to go obudzimy — odparł cicho Zane.

Jego oczy błysnęły w półmroku.

Pokoje na parterze miały numery zaczynające się od stu, zaczęli zatem szukać drogi na górę. W przeszłości architekci wyposażyli stary apartamentowiec w nowe windy, ale bez obrączek interfejsowych nie zdołaliby otworzyć drzwi. Kamienne stopnie doprowadziły Tally i Zane'a na drugie piętro, naprzeciwko pokoju 301. W głąb korytarza numery rosły: parzyste po jednej stronie, nieparzyste po drugiej. Gdy dotarli do 315, Zane uścisnął jej dłoń.

Następne drzwi miały numer 319.

Cofnęli się, sprawdzając drugą stronę korytarza, lecz znaleźli jedynie drzwi numer 316, 318 i 320. Po przeszukaniu całego piętra natrafili na 320 i 330, parzyste i nieparzyste, ale ani śladu Valentino 317.

— Co za pyszna zagadka. — Zane zachichotał pod nosem.

Tally westchnęła.

— Może to tylko dowcip?

— Myślisz, że Nowodymiarze włamaliby się do sieci, zmienili treść zaproszenia, przekradli się przez rzekę i wprosilili na imprezę tylko po to, by tracić nasz czas?

— Pewnie nie — przyznała Tally. Poczwała, jak coś wewnątrz niej zaczyna gasnąć. Nagle zwątpiła, czy cała ta eskapada nie jest wybitnie lamerska. W końcu szukali sekretu pozostawionego przez brzydkich. Skradanie się po cudzym aparta— mentowcu to straszne przegięcie. — Myślisz, że śniadanie jeszcze nie wystygło? — spytała.

Zane spojrział na nią z napięciem. Drżącymi rękami odgarnął jej włosy za uszy.

— Zostań ze mną.

— Jestem tutaj — przypomniała.

Podszedł bliżej i pochylił się, niemal muskając ustami jej wargi.

— To znaczy zostań pyszna.

Tally pocałowała go i wraz z zetknięciem się ich ust świat znów się wyostrzył. Odepchnęła myśl o głodzie.

— W porządku. A winda?

— Która?

Poprowadziła go z powrotem w miejsce pomiędzy Valen— tino 315 a 319. Pośrodku długiej kamiennej ściany widać było drzwi windy.

— Kiedyś był tu pokój — rzekła. — Ale zlikwidowali go, gdy zamontowali windy. Zane roześmiał się.

— Leniwi śliczni. Nie chce im się wchodzić dwa piętra po schodach.

— Może zatem 317 to teraz winda.

— Ale przegięcie — mruknął Zane. — Nie przywołamy jej bez obrączek.

— Moglibyśmy poczekać tutaj, aż ktoś inny zawoła windę, i wśliznąć się za nim.

Zane rozejrzył się po korytarzu pełnym plastikowych kubków i podartych papierowych dekoracji.

— Minęłoby kilka godzin — rzekł z westchnieniem — a my nie byłibyśmy już pyszni.

— Niepyszni.

Wzrok Tally powoli zaczynał tracić ostrość. W brzuchu zaburczało i w jej myślach pojawił się obraz ciepłej czekoladowej babeczki. Potrząsnęła głową, by go przegonić, i zamiast tego wyobraziła sobie mundur Wyjątkowych Okoliczności. Zeszłej nocy sam widok szarego jedwabiu wyostrzył jej myśli. Pchnął ją w ślad za Croyem na schody przeciwpożarowe. Całe to spotkanie stanowiło próbę sprawdzającą, jak dobrze działa jej mózg. Może teraz mieli przejść kolejną próbę. Pyszną zagadkę, jak ją nazwał Zane.

Zapatrzyła się w drzwi windy. Musiało istnieć rozwiązanie.

Powoli w jej umyśle pojawiło się wspomnienie. Pochodziło z czasów, gdy była brzydka, ale nie z tak bardzo odległych. Przypomniała sobie, jak spada w głąb pozbawionego światła szybu. Była to część historii, o którą zawsze prosiła ją Shay, historii o tym, jak Tally i David zakradli się do kwatery głównej Wyjątkowych Okoliczności...

— Dach! — rzuciła.

— Co?

— Z dachu da się zejść w głąb szybu windy. Robiłam to już.

— Poważnie?

Zamiast odpowiedzi Tally znów go pocałowała. Nie pamiętała dokładnie, jak to zrobiła, lecz wiedziała, że jeśli dalej zostanie pyszna, w końcu wspomnienie powróci.

*

* *

Wydostanie się na dach nie było tak proste, jak początkowo sądziła — schody kończyły się na drugim piętrze. Tally zmarszczyła brwi. Frustracja sprawiła, że świat znów stracił ostrość. W apartamentowcu Komachi bez trudu mogła dostać się na samą górę.

— Przejęcie. Co robią w czasie pożaru?

— Kamień się nie pali. — Zane wskazał małe okienko na końcu korytarza; przez witrażowe szybki wlewały się do gródka potoki światła. — Oto nasze wyjście, Ruszył ku niemu.

— Co takiego? Chcesz się wdrapać po zewnętrznej ścianie? — zdziwiła się Tally. Zane wystawił głowę na zewnątrz i spojrzał w dół. Zagwizdał przeciągle.

— Nie ma to jak wysokość, by pozostać pysznym.

Tally zmarszczyła brwi, niepewna, czy ma ochotę być aż tak pyszna.

Zane usiadł na parapecie i wychylił się, chwytając górną framugę. Powoli wstał, podnosząc się coraz wyżej, aż w końcu Tally widziała już tylko jego buty, stojące na kamiennej półce na zewnątrz. Serce znów zabiło jej mocniej. W koniuszkach palców czuła pulsowanie krwi. Świat stał się ostry jak sopte lodu.

Przez długą chwilę stopy Zane'a trwały bez ruchu, potem przesunął się bliżej krawędzi, aż w końcu pozostały na niej jedynie palce, utrzymujące go w chwiejnej równowadze.

— Co tam robisz?

W odpowiedzi jego buty uniosły się w powietrze, a potem Tally usłyszała stłumiony szelest podeszew drapiących o kamień. Wystawiła głowę za okno i spojrzała w górę.

Nad nią Zane zwisał z krawędzi dachu. Jego stopy kołysały się, szukając oparcia. A potem jeden z butów natrafił na szczelinę między kamieniami. Zane dźwignął się w górę, znikając Tally z oczu.

Po chwili ponad krawędzią pojawiła się jego twarz, uśmiechnięta od ucha do ucha.

— Chodź tu!

Tally cofnęła głowę i odetchnęła głęboko, kładąc dłonie na gzymsie. Kamień był szorstki i zimny. Wpadający przez okno wiatr sprawił, że włoski na jej rękach się zjeżyły.

— Zostań pyszna — rzekła do siebie cicho.

Usiadła na oknie, czując pod udami zimny kamień, i szybko zerknęła na ziemię. Od liści i korzeni drzew dzieliła ją bardzo długa droga. Wiatr przybierał na sile. Pobliskie gałęzie kołysały się, Tally widziała każdą igłę. Jej nozdrza wypełnił ostry sosnowy zapach. Wiedziała, że pozostanie pyszną nie będzie problemem.

Przesunęła jedną stopę na gzyms, potem drugą.

Najtrudniejsze okazało się wstanie; zaciskając dłoń na framudze, podniosła się powoli, drugą szukając uchwytu na ścianie zewnętrznej. Nie odważyła się znów spojrzeć w dół. W zimnym kamieniu wymacała mnóstwo szczelin i otworów, lecz żaden z nich nie wydawał się dość głęboki, by zmieścić w nim coś więcej niż koniuszek palca.

Stojąc na wyprostowanych nogach, na chwilę zamarła, sparaliżowana. Zakołysała się lekko w podmuchu wiatru niczym pozbawiona podpór, zbyt wysoka wieża.

— Nieźle upysznia, co? — zawołał z góry Zane. — Złap się gzymsu.

Oderwała wzrok od ściany przed sobą i spojrzała w górę. Krawędź dachu pozostawała poza jej zasięgiem.

— Hej, to nie fair! Jesteś wyższy ode mnie.

— Nie ma sprawy. — Wyciągnął do niej rękę.

— Na pewno dasz radę mnie utrzymać?

— Daj spokój, Tally-wa. Po coś w końcu mamy nowiutkie śliczne mięśnie. Powinniśmy z nich korzystać.

— Na przykład po to, by dać się zabić — wymamrotała pod nosem, lecz sięgnęła w górę, chwytając jego dłoń.

Jej własne nowe mięśnie okazały się silniejsze, niż sądziła. Zaciskając palce wokół przegubu Zane'a, Tally z łatwością podciągnęła się w górę. Wolną ręką chwyciła się dachu. Jedną ze stóp znalazła oparcie w pęknięciu ściany. Z głuchym sapnięciem Tally dźwignęła się i przeturlała na dach. Przez chwilę leżała bez ruchu, czując pod sobą dodający otuchy twardy, solidny kamień. Zaśmiała się z głęboką ulgą.

Zane uśmiechnął się.

— Wiesz, wcześniej mówiłem prawdę.

Spojrzała na niego pytająco.

— Faktycznie czekałem na kogoś takiego jak ty.

Śliczni nie rumienili się, a przynajmniej nie w dobrzydza— jący sposób, lecz Tally obróciła się i wstała szybko, by ukryć swoją reakcję. W pysznym nastroju po śmiertelnie niebezpiecznej wspinaczce spojrzenie Zane'a wydało się jej zbyt intensywne. Rozejrzała się wokół.

Z dachu widziała iglice Miasta Nowych Ślicznych, wciąż wznoszące się ponad nimi. Stoki wyrastającego w środku miasta wzgórza pokrywały zielone pasma ogrodów rozkoszy. Po drugiej stronie rzeki Brzydalowo budziło się już do życia. Na boisku gromada nowych brzydkich tłoczyła się wokół czarno-białej piłki. Wiatr niósł ku niej głośne dźwięki gwizdka. Wszystko wydawało się niesamowicie bliskie i wyraźne. Po tym jak wisiała w powietrzu, trzymając się ręki Zane'a, jej układ nerwowy wciąż wibrował jak naciągnięta struna.

Monotonie kamiennego dachu przerywały trzy wirujące wiatraki zamontowane w szybach wentylacyjnych, wysoki maszt transmisyjny i metalowa szopa, nie większa niż szafa brzydkich. Tally wskazała ją palcem.

— Jest dokładnie nad windą.

Przeszli przez dach. Na starych drzwiach szopy, w pokrytym grubą warstwą rdzy metalu, podobnym do tego zaścielającego ruiny, ktoś starannie wy drapał litery: Valentino 317.

— Zdecydowanie nie przegięłaś, Tally. — Zane uśmiechnął się. Szarpnął drzwi, te jednak nie ustąpiły: błyszczący nowy łańcuch napiął się, zgrzytając o metal. — Hmm.

Tally przyjrzała się urządzeniu przytrzymującemu łańcuch. Wysiliła swój wciąż oszołomiony mózg.

— To się nazywa kłódka. Chyba tak. — Obmacała gładki, stalowy przedmiot, próbując sobie przypomnieć, jak działa. — Mieli takie w Dymie; zabezpieczały przedmioty, które ktoś mógł ukraść.

— No super. Po tym wszystkim wciąż potrzebujemy obrączek.

Tally pokręciła głową.

— Dymiarze nie używają obrączek interfejsowych, Zane.

Żeby otworzyć kłódkę, trzeba... — Zaczęła szukać w pamięci kolejnego starego słowa i w końcu je znalazła. — Gdzieś tu jkmsi być klucz.

— Klucz? Coś jak hasło?

— Nie. Ten klucz to mały metalowy przedmiot. Wtyka się lfo, przekręca i zamek się otwiera.

— Jak wygląda?

— Płaski kawałek stali, długi, mniej więcej jak twój kciuk. Z ząbkami.

Zane wyobraził to sobie i zachichotał, ale zaczął szukać.

Tally uważnie przyglądała się drzwiom. Szopa wydawała się starsza niż zamykający ją łańcuch. Tally zastanawiała się, do czego służyła. Pochyliła się do szczeliny w drzwiach i osłaniając oburącz oczy, zajrzała przez nią. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, dostrzegła ukryte wewnątrz niewyraźne kształty.

Wyglądały jak bardzo duży blok i prymitywny silnik mechaniczny, podobny do tych używanych w Dymie. W dawnych czasach winda unosiła się i opadała na łańcuchu. Szopa była stara, zapewne przestano jej używać po wynalezieniu lotek, całe wieki temu. Współczesne windy działały na tej samej zasadzie co lotodeski i kamizelki bungee (znacznie bezpieczniejszej niż wiszenie na łańcuchu — Tally zadrżała na tę myśl). Gdy zamontowano lotki, po prostu pozostawiono stary mechanizm na dachu własnemu losowi.

Ponownie szarpnęła kłódkę — ta jednak nie ustąpiła. Ciężka i prymitywna, wydawała się całkiem nie na miejscu tu, w Mieście Nowych Ślicznych. Kiedy opiekunowie chcieli coś zabezpieczyć, przyczepiali do tego czujnik, uprzedzający, by niczego nie dotykać. Tylko Nowodymiarze mogli użyć kłódky zrobionej z metalu.

Croy kazał jej tu przyjść, gdzieś w pobliżu musiał więc zostawić klucz.

— Kolejna durna próba — wymamrotała.

— Co takiego? — spytał Zane, który w poszukiwaniu klucza wdrapał się na dach szopy.

— Tak jak Croy przebrany za Wyjątkowego — wyjaśniła. — I poszukiwania Valentino 317. Nie będzie łatwo znaleźć klucz, bo to wszystko próba. Chodzi o to, by znalezienie tego, co zostawił dla mnie Croy, nie było łatwe. Nie chcą, żebyśmy to znaleźli, jeśli nie będziemy pyszni.

— A może — Zane przycupnął na dachu szopy — chcą, by poszukiwania pomogły nam pozostać pysznymi, żebyśmy myśleli jasno, gdy już to znajdziemy.

— Nieważne.

Tally westchnęła. Czowała narastającą irytację. Wydawało jej się, że próba ta nigdy się nie skończy, że każde rozwiązanie doprowadzi ich na następny poziom zagadki, zupełnie jak w durnej grze. Może najsmardziej byłoby sobie odpuścić i zjeść śniadanie. Dlaczego w ogóle miała czegokolwiek dowodzić Nowodymiarzom? Oni się nie liczyli. Ona była piękna, a oni [brzydzy.

Lecz umysł Zane'a pracował wciąż na podwyższonych obrotach.

— Czyli ukryli klucz w miejscu, do którego wyjątkowo trudno się dostać. Ale co może być jeszcze trudniejsze niż dotarcie tutaj?

Tally przebiegła wzrokiem po dachu i skupiła się na smukłym maszcie transmisyjnym. Na jego szczycie, dwadzieścia pięter wyżej, łopotała flaga Valentino. Na jej widok świat znów się wyostrzył i Tally się uśmiechnęła.

— Dotarcie tam.

Maszt transmisyjny był najnowszym elementem apartamentowca Valentino. Stalową konstrukcję pokrywała warstwa białych polimerów chroniących przed rdzą. Maszt należał do systemu śledzącego obrączki interfejsowe mieszkańców miasta; teoretycznie miało to pomagać każdemu, kto się zgubił bądź zranił poza murami inteligentnego budynku.

Białe wsporniki wznosiły się nad głowami Tally i Zane'a, krzyżując się niczym sznurki kociej kołyski, połyskując w promieniach słońca jak porcelana. Maszt nie wyglądał na trudny do pokonania, tyle że był pięć razy wyższy od kamiennego apartamentowca, wyższy nawet niż wieża zabaw. Zapatrzona w górę Tally poczuła nagle, jak żołądek ściska jej się lekko — i raczej nie sprawił tego głód.

— Przynajmniej nie strzeże go smok — rzekła.

Zane oderwał niespokojne spojrzenie od masztu.

— Słucham?

Tally pokręciła głową.

— To tylko obraz ze snu.

— Naprawdę sądzisz, że klucz jest na górze?

— Niestety tak.

— Nowodymiarze wspięli się tak wysoko?

Dawne wspomnienia powróciły.

— Nie, mogli podlecieć tam na deskach. W sąsiedztwie dużych kawałków metalu lotodeska potrafi wznieść się bardzo wysoko.

— Wiesz chyba, że moglibyśmy zamówić deskę? — powiedział cicho Zane. Tally spojrzała na niego zaskoczona. — Oczywiście to nie byłoby zbyt pyszne — wymamrotał.

— Fakt. A poza tym wszystko, co lata, ma wbudowane czujniki. Umiałbyś oszukać zabezpieczenia desek?

— Kiedyś owszem, ale już nie pamiętam jak.

— Ja też nie. No to w porządku, wspinamy się.

— Dobra — mruknął. — Ale najpierw... — Chwytał Tally za rękę, przyciągnął do siebie i znów się pocałowali.

Zamrugła raz jeden i poczuła, jak jej usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

— To po to, byśmy pozostali pyszni.

*

* *

Pierwsza połowa okazała się łatwizną.

Tally i Zane dotrzymywali sobie kroku, wspinając się po dwóch przeciwnych stronach masztu. Wiatr wiał coraz mocniej, szarpał ubraniem Tally w bardzo denerwujący sposób. Wystarczyło jednak szybkie zerknięcie w dół, by z powrotem skupić myśli.

W połowie drogi widziała już pod sobą cały kompleks apartamentowca Yalentino, ciągnące się na wszystkie strony ogrody rozkoszy, nawet lądowisko lotowozów na dachu centralnego szpitala, gdzie przeprowadzano operacje. Rzeka lśniła w promieniach słońca wznoszącego się ku południowi. Na drugim brzegu, w Brzydaluwie, Tally dostrzegła swój stary dom przycupnięty między drzewami. Kilkoro brzydkich bawiących się na boisku obserwowało ich i pokazywało sobie palcami. Pewnie zastanawiali się, kto się wspina na maszt.

Tally była ciekawa, jak długo potrwa, nim ktoś na tym brzegu zauważy ich wspinaczkę i wezwie opiekunów.

Dzięki nowym mięśniom wspinaczka nie była zbyt wyczerpująca fizycznie, lecz w miarę jak oboje zbliżali się do szczytu, maszt stawał się coraz węższy, uchwyty mniej pewne. Na śliskiej polimerowej powłoce wciąż perlily się resztki rosy, których nie zdążyło osuszyć poranne słońce. Podpory pokrywały anteny mikrofalowe i grube żyły splecionych kabli. W umyśle Tally zaczęły pojawiać się wątpliwości. Czy klucz rzeczywiście był na górze? Po co Nowodymiarze mieliby zmuszać ją do ryzykowania życia tylko dlatego, by przeszła próbę? Wraz ze wzrostem wysokości wspinaczka stawała się coraz trudniejsza, a myśli Tally coraz bardziej niespokojne. Zaczęła się zastanawiać, jak w ogóle znalazła się na tej niebosiężnej, wietrznej iglicy.

Poprzedniej nocy chodziło jej tylko o to, by w końcu zostać Krimką, śliczną i popularną, otoczoną przez grupę młodych przyjaciół. I zdołała zdobyć wszystko, czego pragnęła — co więcej, Zane ją pocałował. Pyszna sprawa, jeszcze dziś rano nawet nie wyobrażała sobie czegoś podobnego.

Oczywiście spełnienie pragnień nigdy nie okazuje się takie, jak się sądziło. Bycie Krimką wcale jej nie zadowoliło, a spotkanie się z Zane'em najwyraźniej wiązało się z narażaniem życia i niejedzeniem śniadania. Zaledwie poprzedniego wieczoru przegłosowano jej kandydaturę, a już znów musiała coś udowodniać.

I po co? Czy naprawdę chciała otworzyć zardzewiałą szopę na dachu? Cokolwiek tam było, z pewnością jeszcze bardziej namiesza jej w głowie i przypomni o Davidzie, Dymie oraz o tym, co zostawiła za sobą. Miała wrażenie, że za każdym razem gdy stawia krok na drodze nowego życia, coś ściąga ją z powrotem w dawne brzydkie czasy.

Zmagając się z tymi pytaniami, Tally źle postawiła stopę.

Podeszwa buta ześliznęła się z grubego kabla pokrytego gładkim plastikiem. Nagle jej wierzgające nogi znalazły się w powietrzu; szarpnięcie sprawiło, że ręce zsunęły się ze wspornika, wciąż mokrego od rosy. Tally zaczęła spadać. Ogarnęło ją znajome uczucie. Ileż to razy zlatywała z deski bądź rzucała się z dachu budynku? Instynkt nakazywał jej się odprężyć, jednak nagle uświadomiła sobie wielką różnicę pomiędzy tym upadkiem a wszystkimi poprzednimi: teraz nie miała bransolet ani kamizelki bungee. Teraz naprawdę spadała. Nic nie zatrzyma upadku.

Nowy refleks ślicznej obudził się w niej gwałtownie i ręce chwyciły mijany właśnie splot kabli. Dłonie Tally zsunęły się po plastikowej izolacji, siła tarcia oparzyła jej dłonie, jakby przewody stanęły w ogniu. Nogi poleciały w stronę wieży — kolana ugięte, ciało odwrócone. Zamortyzowała zderzenie biodrem; jego siła wstrząsnęła całym jej ciałem, lecz Tally mimo piekących palców nie zwolniła uchwytu.

Rozpaczliwie szukające oparcia stopy natrafiły na szeroką podporę i na szczęście znacznie odciążyły ręce. Oplotła je wokół kabla, napinając każdy mięsień. Ledwie słyszała dobiegające z góry krzyki Zane'a. Spojrzała za rzekę, zdumiona tym, co zobaczyła.

Wszystko jaśniało, jakby po Brzydaluwie ktoś rozsypał diamenty. Umysł miała czysty niczym powietrze po porannym deszczu. I w końcu zrozumiała, po co się tu wspięła. Nie po to, by zaimponować Zane'owi bądź Dymiarzom, by przejść jakąś próbę, ale dlatego, że jakaś jej część łaknęła tej chwili, tej przejrzystości i jasności, której nie czuła od czasu operacji. Było to jeszcze lepsze od bycia pysznym.

— Nic ci się nie stało? — zawołał z wysoka Zane.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Widząc, jak nisko spadła, przełknęła ślinę, lecz zdołała się uśmiechnąć.

— Jest pysznie. Totalnie. Zaczekaj.

Teraz wspinała się bardzo szybko, nie zważając na stłuczone biodro. Poparzone dłonie protestowały za każdym razem, gdy zaciskała je na nowym uchwycie. Lecz po minucie znów zrównała się z Zane'em. Patrzył na nią złotymi oczami, otwartymi jeszcze szerzej niż zwykle, zupełnie jakby upadek towarzyszki przeraził go bardziej niż ją samą.

Tally uśmiechnęła się ponownie, uświadamiając sobie, że zapewne w istocie tak było.

— No chodź.

I Wyprzedziła go, pokonując kilka ostatnich metrów.

Dotarłszy na szczyt, znalazła przyczepiony do masztu . czarnym magnesem nowiutki, błyszczący klucz. Zdjęła go ostrożnie i wsunęła do kieszeni. Flaga Valentino

łopotala jej nad głową. Tally słyszała każdy dźwięk wyraźnie, czysto, niczym szelest ubrania wychodzącego z podajnika.

— Mam go — krzyknęła i zaczęła schodzić, mijając Zane'a, nim ten w ogóle zdążył zareagować.

Twarz wciąż miał stężałą ze zdumienia.

*

* *

Dopiero kiedy Tally zeskoczyła na dach, uświadomiła sobie, jak bardzo bolą ją mięśnie. Serce wciąż waliło jej w piersi, świat pozostawał krystalicznie czysty. Wyciągnęła z kieszeni klucz, drżącym palcem przesuwając po ząbkowanym metalu. Jej zmysły rejestrowały każdy najdrobniejszy szczegół.

— Pospiesz się — zawołała do Zane'a, który dotarł zaledwie do połowy masztu. Przyspieszył, lecz Tally parsknęła, obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę szopy.

Przekręciła klucz w zamku i kłódka się otworzyła. Zardzewiałe drzwi zajęczały ze starości, gdy ich dolna krawędź przesunęła się po kamiennym dachu. Tally weszła do środka. Przez moment oślepiła ją ciemność. W mroku widziała czerwone błyski przygasające w rytm jej serca. Kipiała podnieceniem. Jeśli Dymiarze zaaranżowali to wszystko po to, by pozostała pyszna, ich plan się powiódł.

Małeńka komórka pachniała starością, powietrze wewnątrz było ciepłe i nieruchome. Gdy wzrok Tally przywykł do ciemności, ujrzała obłazące graffiti pokrywające każdy centymetr ściany: plataninę niezliczonych sloganów, naba—zgranych podpisów i imion par ogłaszających swoją miłość. Niektóre daty nie miały sensu, jednak Tally po chwili zrozumiała, że zostały napisane w stylu Rdzawców, odliczającym wszystkie dawne stulecia przed upadkiem. Rozsypujący się silnik windy ozdabiała kolejne graffiti, a podłogę zaścielał pradawny przemyt: stare puszki farby w spreju, zgniecione puste tubki po niesławnie mocnym nanokleju, wypalone fajerwerki śmierdzące starym ogniskiem. Tally dostrzegła poźółkły prostokąt papieru, zgnieciony i poczerniały z jednej strony niczym zdjęcie papierosa z książek o historii Rdzawców. Podniosła go i powąchała, po czym upuściła gwałtownie, bo żołądek ścisnął jej się w ataku mdłości.

Papieros? To miejsce było starsze niż lotki, przypomniała sobie w duchu, może nawet starsze niż całe miasto. Osobliwy, zapomniany fragment historii. Zastanawiała się, ile pokoleń brzydkich i niespokojnych nowych ślicznych, takich jak Krimowie, odwiedzało tę szopę.

Woreczek, który pokazał jej Croy, leżał na jednej ze starych, przerdzewiałych przekładni mechanizmu windy. Czekał.

Podniosła go. Stara skóra była dziwna w dotyku, przywoływała wspomnienia zniszczonych faktur Dymu. Tally otworzyła woreczek i wyciągnęła kartkę papieru. Coś odbiło się od kamiennej podłogi — Tally spostrzegła, że jakiś mały przedmiot wypadł z woreczka, a właściwie dwa małe przedmioty. Uklękła i mrużąc oczy, zaczęła macać wokół wciąż piekącymi dłońmi. W końcu jej palce natrafiły na dwie malutkie, białe pigułki.

Przyglądała im się, czując na samym skraju świadomości budzące się wspomnienie.

W pomieszczeniu pociemniało i Tally podniosła wzrok. W drzwiach stał Zane, zdyszany, jego oczy błyszczały w półmroku.

— Rany, dzięki, że zaczekałaś, Tally. Nie odpowiedziała.

Postąpił krok naprzód i ukląkł obok niej.

— Dobrze się czujesz? — Położył jej dłoń na ramieniu. — Nie uderzyłaś się w głowę podczas upadku, prawda?

— Nie, jeszcze mi się w niej przeczyściło. Znalazłam to. Podała Zane'owi kartkę, a on przyglądał ją i uniósł do

światła wlewającego się strumieniem przez otwarte drzwi. Kartkę pokrywało prawie nieczytelne pismo.

Tally znów wbiła wzrok w pigułki leżące na jej dłoni. Małe i białe wyglądały jak zwykłe znikale, była jednak pewna, że robią coś więcej, niż tylko spalają kalorie. Coś sobie przypomniała... Zane powoli opuścił kartkę, oczy miał okrągłe ze zdumienia.

— To list. Jest adresowany do ciebie.

— List? Od kogo?

— Od ciebie, Tally. — Jego cichy głos odbił się echem od metalowych ścian szopy.

— To list od ciebie.

Droga Tally!

Jesteś mną.

Czy też ujmując to inaczej, ja jestem tobą — Tally Youngblood. Tą samą osobą. Jeśli jednak czytasz ten list, jesteście też dwiema różnymi osobami. Tak przynajmniej przypuszczamy my, Nowodymiarze. Pewnie już się to stało, zmieniłaś się. Dlatego właśnie do ciebie piszę.

Zastanawiam się, czy pamiętasz, jak pisałaś te słowa. (Dokładniej rzecz biorąc, poprosiłam Shay, żeby to zrobiła, bo w szkole uczyła się odręcznego pisma). Czy przypomina to zapis w pamiętniku z czasów, gdy byłaś maluchem, czy też cudzy dziennik?

Jeżeli w ogóle nie pamiętasz, że napisałaś ten list, to obie mamy poważny kłopot. Zwłaszcza ja. Bo skoro nie pamiętam samej siebie, to oznacza, że ja, która napisałam ten list, w jakiś sposób zostałam wymazana. Ocht Może to też oznaczać, że nie żyję, w pewnym sensie. Proszę zatem, postaraj się sobie przypomnieć.

Tally urwała. Przesunęła palcem wzdłuż nabazgranych słów, próbując sobie przypomnieć, jak je dyktowała. Shay lubiła się popisywać, demonstrując kreślenie liter piórem. Była [to jedna ze sztuczek, których nauczyła się w ramach przygotowań do wyprawy do Dymu. Zostawiła nawet Tally liścik z informacją, jak tam trafić. Ale czy to naprawdę pismo Shay? I co ważniejsze, czy to wszystko było prawdą? Tally zupełnie nie mogła sobie przypomnieć. Odetchnęła głęboko i czytała dalej.

Tak czy inaczej, oto co chcę ci powiedzieć: zrobili coś X twoim mózgiem — naszym mózgiem — i dlatego ten list może ci się wydać dziwny.

To prawda. My („my”, czyli Nowodymiarze, nie my w sensie „ty i ja”) nie wiemy dokładnie, jak to działa, ale jesteśmy właściwie pewni, że coś dzieje się z każdym, kto przechodzi operację. Gdy zmieniają cię w śliczną, pozostawiają też w mózgu skazy (małe blizny), a one odmieniają człowieka, i to nie na lepsze. Przejrzyj się w lustrze, Tally. Jeśli jesteś śliczna, to znaczy że je masz.

Tally usłyszała głośne sapnięcie tuż przy uchu. Odwróciła się i odkryła, że Zane czyta jej przez ramię.

— Wygląda na to, że miałaś rację co do nas, ślicznych. Przytaknął powoli.

— Fakt. Super. — Wskazał palcem następny akapit. — Ale co powiesz na to?
Znów skupiła się na liście.

Mam też dobrą nowinę. Istnieje lekarstwo. Dlatego właśnie David zjawiał się u ciebie: by dać ci pigułki, które naprawią twój mózg. (Mam szczerą nadzieję, że pamiętasz Davida). To porządny facet, nawet jeśli musiał cię porwać i dostarczyć tutaj. Możesz mu zaufać. Zapewne pobyt tu, z dala od miasta, w miejscu gdzie obecnie ukrywają się Nowodymiarze, może być dla ciebie przerażający. Ale ludzie, którzy zmienili twój mózg, będą cię szukać i musisz pozostać w bezpiecznej kryjówce, póki się nie wyleczysz.

Tally przerwała lekturę.

— Porwać?

— Wygląda na to, że od czasu gdy to napisałaś, ich plany się zmieniły — odparł Zane.

Przez moment Tally poczuła się dziwnie. W jej myślach znów pojawił się wyraźny obraz Davida.

— Jeżeli naprawdę to napisałam. I jeżeli to prawda. Poza tym to Croy do mnie przyszedł, nie... David.

Kiedy wymówiła to imię, zalała ją fala wspomnień: dłonie Davida, szorstkie po latach pracy, kurtka uszyta ze skór, biała blizna przecinająca brew. Poczowała, że wzbiera w niej coś na kształt paniki.

— Co się stało z Davidem, Zane? Czemu się nie zjawił?

Jej towarzysz pokręcił głową.

— Nie wiem. Czy ty i on...?

Tally znów spojrzała na list, rozplątał jej się przed oczami. Na papier spadła samotna łza, atrament zabarwił ją na czarno.

— Jestem niemal pewna, że tak. — Głos miała ochryply, wciąż nękały ją wspomnienia. — Ale coś się stało,

— Tak?

— Nie wiem co.

Tally zastanawiała się, czemu nie może sobie przypomnieć. Czy naprawdę sprawiły to skazy, blizny w jej mózgu, przed którymi ostrzegał list? Czy może po prostu nie chciała?

— Co masz w ręku, Tally? — spytał Zane.

Rozprostowała umorusaną dłoń, demonstrując maleńkie, białe pigułki.

— Lek. Poczekaj, daj mi skończyć. — Odetchnęła głęboko.

I jeszcze jedno — Maddy (mama Davida, która opracowała lekarstwo) mówi, że muszę to dodać. Nazwała to świadomą zgodą.

Ja, Tally Youngblood, niniejszym udzielam Maddy i Davi— dowi zezwolenia na podanie mi pigułek leczących zmiany umysłowe ślicznych. Zdaję sobie sprawę, że testuję niesprawdzony lek i że coś może pójść bardzo nie tak. Na przykład zniszczyć mój mózg.

Hm, przepraszam za ten ostatni kawałek. To ryzyko, które musimy podjąć. Dlatego właśnie poddałam się i zostałam śliczną, żebyśmy mogli sprawdzić lekarstwo i podać je Shay, Pensowi i wszystkim innym, którym majstrowano w mózгах.

Musisz zatem je zażyć. Dla mnie. Przepraszam z góry, jeśli nie chcesz tego zrobić i David i Maddy cię zmuszą. Ono pomoże ci, obiecuję.

Powodzenia.

Ucałowania.

Tally

Tally wypuściła kartkę, która sfrunęła jej na kolana. Jakimś sposobem nabazgrane słowa pozbawiły cały świat czystości i jasności. W głowie znów jej się kręciło, oczy się zamgliły, serce wciąż biło gwałtownie, ale nie w ten piękny sposób jak wtedy, gdy powstrzymała upadek z wieży. Teraz była bliska paniki, zamknięta w małej, metalowej szopie.

Zane zagwizdał cicho.

— A więc to dlatego wróciłaś.

— Wierzysz w to, prawda?

Jego oczy błysnęły złością w mroku.

— Oczywiście, teraz to wszystko ma sens. Już rozumiem, czemu nie pamiętasz Davida ani powrotu do miasta. Czemu Shay opowiada tak wiele różnych historii z tamtych czasów. I dlaczego tak bardzo interesują się tobą Nowodymiarze.

— Bo mam uszkodzony mózg?

Zane pokręcił głową.

— Wszyscy mamy uszkodzone mózgi, Tally. Tak jak sądziłem. Ale ty poddałaś się specjalnie, wiedząc, że istnieje lek. — Skinieniem głowy wskazał pigułki na jej dłoni. — Oto powód, dla którego tu jesteś.

Tally wciąż wpatrywała się w pastylki, małe i niepozorne w półmroku szopy.

— Ale z listu wynika, że mogą nie zadziałać. Mogą mi zniszczyć mózg.

Lekko uściskał jej przegub.

— Jeśli nie chcesz ich zażyć, Tally, ja to zrobię.

Zacisnęła dłonie.

— Nie mogę ci na to pozwolić.

— Zrozum, ja właśnie na to czekałem. Na możliwość ucieczki od bycia ślicznym.

Chcę na stałe pozostać pyszny!

— Ja na to nie czekałam! — zawołała Tally. — Chciałam tylko zostać Krimką.

Wskazał palcem list.

— Owszem, czekałaś.

— To nie byłam ja, ona sama tak pisze.

— Ale ty...

— Może zmieniłam zdanie!

— Nie zmieniłaś. Zrobiła to operacja.

Otworzyła usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— Tally, poddałaś się, wiedząc, że musisz zaryzykować zażycie lekarstwa. To niesamowicie odważne. — Zane dotknął jej twarzy, jego oczy zapłonęły w padającym na niego promieniu słońca. — Ale jeśli nie chcesz tego zrobić, pozwól, że ja zaryzykuję za ciebie.

Tally pokręciła głową. Zastanawiała się, czego bardziej się boi: tego, że pigułki nie zadziałają tak jak powinny, czy

też widoku Zane'a zamienionego zamiast niej w roślinę. A może tak naprawdę bała się odkrycia, co się stało z Davidem? Gdyby tylko Croy zostawił ją w spokoju. Gdyby nie znalazła Valentino 317. Gdyby mogła zapomnieć o pigułkach, pozostać głupia i śliczna. Niczym więcej nie musiałaby się przejmować.

— Chcę tylko zapomnieć o Davidzie.

— Dlaczego? — Zane nachylił się do niej. — Co on ci zrobił?

— Nic. Nic nie zrobił. Ale dlaczego Croy zostawił dla mnie pigułki? Czemu David nie zjawiał się i mnie nie zabrał? A co, jeśli...

Nagle szopa zadrżała. Tally umilkła, oboje unieśli wzrok. Coś dużego przeleciało im nad głowami.

— Lotowóz — wyszeptała Tally.

— Pewnie tylko przeleciał. Przecież wiedzą, że wciąż jesteśmy w ogrodzie rozkoszy.

— Chyba że ktoś nas zobaczył. — Umilkła. Przez półotwarte drzwi do środka wleciał obłok kurzu iskrzącego się w smudze słońca. — Ląduje.

— Wiedzą, że tutaj jesteśmy. — Zane zaczął drzeć list na kawałki.

— Co robisz?

— Nie możemy pozwolić, by go znaleźli — wyjaśnił. — Nie mogą się dowiedzieć o istnieniu lekarstwa. — Wsunął do ust kawałek listu i skrzywił się.

Tally spojrzała na pigułki.

— A co z nimi?

Zane, boleśnie skrzywiony, przełknął papier.

— Muszę je zażyć, teraz. — Odgryzł kolejny kawałek kartki i zaczął żuć.

— Są takie małe — mruknęła. — Moglibyśmy je ukryć. Pokręcił głową i znów przełknął.

— Przyłapanie bez obrączek to dość oczywista sprawa, Tally. Będą chcieli wiedzieć, co kombinowaliśmy. Gdy cię nakarmią, przestaniesz się czuć pysznie. Możesz stchórzyć i oddać im lekarstwo.

Usłyszeli zbliżające się kroki. Zane zamknął drzwi, wciągając do środka końcówki łańcucha i zatraskując kłódkę. ySff szopie zrobiło się ciemno.

— To nie powstrzyma ich na długo. Daj mi pigułki. Jeśli i zadziałają, obiecuję, że dopilnuję, byś... i Z zewnątrz dobiegł ich krzyk i coś zimnego przebiegło po plecach Tally. Głos, który zadźwięczał jej w uszach, miał ton ostry jak brzytwa. To nie byli opiekunowie. Zjawiły się wyjątkowe Okoliczności.

W ciemności pigułki patrzyły na nią niczym dwoje bezdusznych białych oczu. I nagle Tally uwierzyła, że ona sama Wypowiedziała słowa z listu, błagając samą siebie,

by zażyła lek. Może gdy to zrobi, wszystko pozostanie na zawsze wyraźne i pyszne, tak jak mówił Zane.

A może pigułki nie zadziałają i zamienią ją w pustą, bezmózgą skorupę.

A może David nie żyje? Tally zastanawiała się, czy po dzisiejszym dniu jakaś część niej będzie już zawsze pamiętać jego twarz, bez względu na to, co się stanie. Jeśli nie zażyje leku, nigdy nie pozna prawdy.

Uniosła pigułki do ust, lecz uświadomiła sobie, że nie jest w stanie tego zrobić. Wyobraziła sobie własny niszczący mózg i siebie samą, jak znika, podobnie jak tamta Tally, która napisała list. Spojrzała w piękne, proszące oczy Zane'a. On przynajmniej nie miał wątpliwości.

Może nie musi robić tego sama...

Drzwi zazgrzytały rozdzierająco, gdy ktoś próbował je otworzyć, naciągając łańcuch. Uderzenie wstrząsnęło ciasną szopą, huk zagrzmiął niczym wybuch fajerwerków w małym metalowym pomieszczeniu. Wyjątkowi byli silni, ale czy zdolają rozwalić metalowe drzwi?

— Teraz, Tally — wyszeptał Zane.

— Nie mogę.

— W takim razie daj je mnie.

Pokręciła głową i pochyliła się bliżej, szepcząc tak, by jej głos rozplątał się w ogłuszającym, metalicznym huku.

— Nie mogę ci tego zrobić, Zane, i nie mogę zrobić tego sama. Może gdybyśmy zażyli po jednej...

— Co? To wariactwo. Nie wiemy nawet, czy...

— W ogóle nic nie wiemy, Zane.

Łoskot ucichł i Tally natychmiast umilkła. Wyjątkowi byli nie tylko silni i szybcy, dysponowali także czułym słuchem drapieźników.

Nagle w szczelinie między skrzydłami drzwi zapłonęło jasne światło, rzucając szaleńczo roztańczone cienie na ściany szopy i na moment oślepiając Tally. Palnik zasyczał, wgrzyzając się w łańcuch, poczuła w nozdrzach woń topionego metalu. Za parę sekund Wyjątkowi znajdą się w środku.

— Razem — wyszeptała, podając Zane'owi jedną pigułkę.

Odetchnęła głęboko i położyła drugą na języku. W jej ustach eksplodowała gorycz, zupełnie jakby rozgryzła na— sionko winogrona. Tally przełknęła pigułkę, która pozostawiła w gardle kwaśny posmak.

— Proszę — szepnęła. — Zrób to ze mną.

Zane westchnął i zażył pigułkę, krzywiąc się z powodu jej smaku. Nie odrywając wzroku od Tally, pokręcił głową.

— To może być bardzo głupie.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Przynajmniej razem zachowaliśmy się głupio. — Pochyliła się, objęła Zane'a za szyję i pocałowała. David nie przybył jej na ratunek. Albo nie żył, albo nie obchodzi go, co się z nią stanie. Był brzydki, a Zane piękny i pyszny. No i był przy niej.

— Teraz potrzebujemy siebie nawzajem — rzekła.

Wciąż się całowali, gdy do środka wpadli Wyjątkowi.

Część II

LEK

Pocałunki są lepsze niż mądrość.

E.E. Cummings

PRZEBITKA

W ciągu jednej nocy nastąpiła zima. Drzewa połyskiwały (niczym szkło, nagie gałęzie uginały się pod ciężarem sopli. Migotliwe czarne palce obejmowały szyby rozcinając niebo na małe, ostre fragmenty.

Tally przycisnęła dłoń do okna, czekając, aż chłód przeniknie przez szkło i ogarnie jej rękę. Przejmujący mróz sprawił, że popołudniowe światło wydawało się ostrzejsze, kruche jak sople na dworze (tak przynajmniej sądziła). Pozwalało jej skupić tę część umysłu, która wciąż pragnęła z powrotem zatonać w otchłani ślicznych snów.

Kiedy w końcu cofnęła dłoń, na szkle pozostał rozmazany ślad, który powoli zniknął.

— Rozmyta Tally odeszła — rzekła głośno i uśmiechnęła się, dotykając lodowatą dłonią policzka Zane'a.

— Co do... — mruknął i poruszył się, odtrącając jej rękę.

— Obudź się, mój śliczny śpiochu.

Jego powieki odrobinę się uniosły.

— Przyciemnij światło — polecił swojej bransolecie interfejsowej.

Pokój posłuchał i okna stały się nieprzejryste.

Tally zmarszczyła brwi.

— Znów cię boli głowa?

Zane'a nadal od czasu do czasu nawiedzały potworne migreny, które godzinami nie pozwalały mu funkcjonować. Nie były już jednak tak straszne jak te, na które cierpiał w ciągu kilku pierwszych tygodni po zażyciu pigułki.

— Nie — wymamrotał. — Śpiący.

Sięgnęła do ręcznego przełącznika i ustawiła okna z powrotem na przezroczyste.

— W takim razie czas wstawać, spóźnimy się na łyżwy.

Przyjrzał jej się jednym zmrużonym okiem.

— Jazda na łyżwach to przegięcie.

— Spanie to przegięcie. Wstawaj, będzie pysznie.

— Pysznie to przegięcie.

Tally uniosła jedną brew, która już nie bolała. Jak przystało na grzeczną śliczną, zgłosiła się do lekarza i naprawiła zranione czoło. Upamiętniła też bliznę błyskotatuazem: czarne celtyckie spirale tuż nad okiem wirowały w rytm uderzeń serca. Do kompletu sprawiła sobie opkę oczu identyczną jak Shay, czyli zegarki chodzące do tyłu i tak dalej.

— Pysznie to nie przegięcie, leniuchu.

Tally znów przyłożyła dłoń do okna, by zaczerpnąć kolejną dawkę mrozu. Jej bransoleta interfejsowa lśniła w słońcu jak zamrożone drzewa w dole i Tally po raz milionowy zaczęła szukać wzrokiem jakiegokolwiek śladu łączenia na jej metalowej powierzchni. Bransoleta jednak zdawała się odlany z jednego kawałka stali, idealnie dopasowanego do owalu jej przegubu. Tally pociągnęła ją delikatnie i poczuła, jak odrobinę ustępuje. Z każdym dniem Tally stawała się coraz chudsza.

— Poproszę kawę — rzekła słodko do bransolety.

Po pokoju rozeszła się woń parzonej kawy. Zane znów się poruszył. Gdy jej ręka dostatecznie się ochłodziła, Tally położyła ją na nagiej piersi towarzysza, który wzdrygnął się, ale już nie protestował. Zacisnął dłonie na kołdrze i głośno wciągnął powietrze. Otworzył oczy i złociste tęczęwki zapłonęły nich niczym lodowate zimowe słońce.

— To było naprawdę pyszne.

— Sądziłam, że pysznie to przegięcie.

Uśmiechnął się i sennie wzruszył ramionami.

Tally odpowiedziała uśmiechem. Tuż po przebudzeniu Zane był wyjątkowo piękny. Sen łagodził jego hipnotyczne spojrzenie i sprawiał, że surowe rysy twarzy wydawały się kruche i delikatne, jak u zagubionego, głodnego chłopca. Oczywiście nigdy o tym nie wspomniała, bo wówczas Zane Jniemal na pewno zafundowałby sobie opkę, by to poprawić. ' Ruszyła do ekspresu, przeskakując nad stosami niezrecy— klingowanych ubrań i brudnych naczyń, zajmujących każdy centymetr kwadratowy podłogi. Jak zawsze w pokoju Zane'a panował okropny bałagan. Szafa stała półotwarta, zbyt pełna, by dało się ją zamknąć. W tym pokoju łatwo było coś ukryć.

Popijając kawę, Tally poleciła dziurze w ścianie przygotować zwykłe stroje łyżwiarskie: grube plastikowe kurtki wyściełane sztucznym króliczym futrem; spodnie z nakolan— nikami na wypadek upadku, czarne szaliki i, co najważniejsze, grube rękawiczki sięgające do połowy przedramienia. Podczas gdy otwór wypluwał z siebie nowe ubrania, Tally zaniósła Zane'owi kawę, która w końcu przywróciła go do rzeczywistości.

Zane i Tally odpuścili sobie śniadanie — posiłek, którego nie jedli od miesiąca — i już w windzie prowadzącej do drzwi frontowych apartamentowca Pulcher zaczęły nakładać na siebie kolejne warstwy ubrań. Po drodze gawędzili w idealnie płynnej śliczyczynie.

— Widziałeś ten szron, Zane-la? Strasznie dolodowaca.

— Zima jest totalnie pyszna.

— Totalnie. W lecie zbyt... no, sama nie wiem... dociepla czy coś.

— Krańcowo.

Uśmiechnęli się miło do opiekuna przy drzwiach i wyszli na mróz, na moment przystając na stopniach budynku. Tally podała Zane'owi swój kubek z kawą i wciągnęła rękawiczki pod rękawy, przykrywając bransoletę interfejsową na lewej ręce dwiema warstwami materiału. Następnie okręciła tę rękę czarnym szalikiem, blokując bransoletę. Odebrała Zane'owi kubki i patrzyła na smużki pary unoszące się z rozmigotanych, drżących, czarnych jezior. Tymczasem on zrobił to samo ze swoimi rękawiczkami.

Kiedy skończył, Tally odezwała się niezbyt głośno:

— Myślałam, że dziś mamy zachowywać się normalnie?

— Zachowuję się normalnie.

— Daj spokój. Pysznie to przegięcie?

— A co, przesadziłem?

I Tally pokręciła głową, zachichotała i pociągnęła go w stronę wiszącego w powietrzu lodowiska.

*

* *

Minął miesiąc od dnia, gdy zażyli pigułki, i jak dotąd Tally i Zane nie stracili mózgow, choć pierwsze godziny były totalnie przegięte. Wyjątkowi przeszukali ich i jak wariaci rzucili się na Valentino 317, chowając wszystko, co znaleźli, do małych foliowych woreczków. Wywarkiwali miliony pytań swymi zgrzytliwymi głosami, próbując się dowiedzieć, po co para nowych ślicznych wdrapała się na maszt transmisyjny. Tally tłumaczyła, że po prostu pragnęli odrobiny prywatności, ale żadne wyjaśnienie ich nie zadowalało.

W końcu zjawili się opiekunowie wraz z porzuconymi obrączkami interfejsowymi, medsprejem na dłoń Tally i babeczkami. Tally pochłonęła potężne spóźnione śniadanie niczym zgłodniały pies i pyszny nastrój natychmiast ją opuścił. Potem uśmiechnęła się ślicznie i poprosiła, by zabrać ją na opkę blizny. Po kolejnej przeraźliwie nudnej godzinie Wyjątkowi pozwolili opiekunom zawieźć Tally do szpitala.

W sumie nie stało się nic więcej. Lekarze podczas operacji brwi nałożyli Tally bransoletę. A gdy następnego ranka Zane się obudził, odkrył, że też ma taką. Działały identycznie jak obrączki interfejsowe, tyle że mogły wysyłać pingi głosowe z dowolnego miejsca, jak telefony. To oznaczało, że bransolety słyszały każdą rozmowę, nawet na zewnątrz. I, w odróżnieniu od obrączek, nie dało się ich zdjąć. Były niczym kajdany o niewidzialnych łańcuchach i jak dotąd żadne z narzędzi, które wypróbowali Tally i Zane, nie zdołało ich rozciąć.

Zaskakujące, że bransolety stały się też ostatnim krzykiem mody sezonu. Kiedy reszta Krimów je ujrzała, Zane z najwyższym trudem powstrzymał ich przed zamówieniem identycznych. Wyciągnął z dziury w ścianie kilka atrap i rozdał je towarzyszom. W ciągu następnych paru tygodni rozeszły się wieści, że bransolety stanowią nowy symbol krymi— nalności — miała oznaczać, iż ich właściciel wdrapał się na maszt nadawczy na dachu apartamentowca Valentino. Okazało się, że setki nowych ślicznych obserwowały wspinaczkę Tally i Zane'a, rozsyłając pingi do pozostałych, by podbiegli do okien i obejrzel przedstawię. Po niecałym miesiącu tylko najbardziej zeromodni nie nosili metalowych bransolet na przegubach, a opiekunowie musieli zainstalować na maszcie czujniki powstrzymujące nowych ślicznych.

Ludzie zaczęli pokazywać sobie palcami Tally i Zane'a w miejscach publicznych, a do Krimów co dzień zgłaszali się nowi kandydaci. Wyglądało na to, że wszyscy pragnęli czuć się pysznie.

*

* *

Tally niepokoiła się perspektywą przebitki, ale w drodze na lodowisko oboje milczeli. Choć bransolety otulone w ciężkie zimowe stroje nic nie słyszały, milczenie weszło im już w nawyk. Tally przywykła do porozumiewania się innymi

metodami — mrugnięciami, wywracaniem oczami, bezgłośnie wypowiedzanym słowem. Utrzymywanie niemego spisku dodawało wagi każdemu gestowi, przepelniało znaczeniem każde dotknięcie.

W szklanej windzie, która wiozła ich na napowietrzne lądowisko wiszące nad wielką misą stadionu Nefretete, Zane wziął Tally za rękę. Jego oczy błysnęły, jak zawsze przed nagłym, nieoczekiwanym numerem, choćby bitwą na śnieżki dachu apartamentowca Pulcher. Łobuzerskie spojrzenie natychmiast ukoilo nerwy Tally. W końcu nie powinna okazywać zdenerwowania pozostałym Krimom.

Większość z nich już tam była, zmieniała wysokie buty na łyżwy i znajdowała kamizelki bungee w swoim rozmiarze. Kilku świeżo przyjętych, chwiejąc się, rogrzewało się na lodzie. Szmer ich łyżew przypominał posykiwanie opiekuna biblioteki proszącego o ciszę.

Shay podjechała, żeby uścisnąć Tally i o mało na nią nie wpadła.

— Cześć, Chudziaku-wa.

— Cześć, Zyzolu-la — odparła z chichotem Tally.

Przezwiseka brzydkich znów były w modzie, lecz Shay i Tally tylko zamieniły swoje dawne przydomki, bo teraz to Tally była tą chudsza. Dieta zerojedzeniowa zasysała, lecz Tally miała nadzieję, że wcześniej czy później schudnie tak, iż zdoła zsunąć z ręki bransoletę.

Przekonała się, że Shay w geście solidarności także owinęła przedramię czarnym szalikiem. Na twarzy miała błyskotatuaż, podobny do jej własnego — kłęb węży owiniętych wokół brwi i opadających na policzek. Sporo Krimów zafundowało sobie nowe tatuaże zsynchronizowane z rytmem serca — naprawdę pyszna sprawa. Z samogrzejących kubków kawy unosiły się obłoki pary, tatuaże na twarzach Krimów wirowały.

Tally i Zane'a przywitało chóralne cześć, w grupie zapanowało podniecenie. Peris podszedł z kamizelką bungee i łyżwami dla Tally.

— Dzięki, Nochalu — powiedziała, zrzucając buty i siadając na lodzie.

Tu, na lodowisku, nie wolno było używać lotołyżew — prawdziwy, ostry metal połyskiwał w zimowym świetle niczym sztylety. Mocno zaciągnęła sznurówki.

— Masz piersiówkę? — spytała Perisa.

Wyciągnął ją.

— Podwójna wódka.

— Bardzo rozgrzewająca.

Tally i Zane przestali pić alkohol, bo okazało się, że robią się po nich ślicznomózdzy zamiast pyszni. Lecz mocne napoje na lodzie miały też inne zastosowanie.

Podawała mu dłonie w rękawiczkach i Peris podniósł ją, pociągając w powolny walc na lodzie. Chichocząc, zatrzymali się, oparci o siebie nawzajem.

— Nie zapomnij kamizelki, Chudziaku.

Wzięła ją od niego i zapięła paski.

— To już by było przegięcie.

Peris przytaknął nerwowo.

— Czy nasi przyjaciele zza rzeki się odezwali? — spytała, zniżając głos do szeptu.

— Nawet nie pingnęli. Wciąż zero kontaktu.

Tally zmarszczyła brwi. Croy odwiedził ją miesiąc temu i od tego czasu w mieście nie pokazał się żaden z Nowody— miarzy. To milczenie wyglądało złowieszczo, chyba że stanowiło kolejną z irytujących prób. Tak czy inaczej nie mogła się już doczekać chwili, gdy wyruszy na poszukiwania. Tyle że najpierw musi się pozbyć tej durnej bransolety.

— Jak idzie Faustowi przerabianie deskolotki?

Peris jedynie wzruszył ramionami. Rozkojarzony patrzył na pozostałych Krimów, którzy kolejno wchodzili na lód, śmiejąc się, krzycząc i przemykając pomiędzy polerującymi taflę minizamboni.

Tally zerknęła na błyskotatuaż na czole Perisa — trzecie oko mrugające w rytm serca — po czym spojrzała wprost w jego cudowne oczy, brązowe, łagodne, bezdenne. Peris sprawiał wrażenie pysniejszego niż jeszcze miesiąc temu, dotyczyło to zresztą wszystkich Krimów — lecz Tally nie dostrzegała już nowych oznak poprawy jego stanu. Pozostałym, tym, którzy nie zażyli pigułek, którzy nie byli w połowie uleczeni jak Tally i Zane, było znacznie trudniej. Potrafili podniecić się na krótko, lecz na dłuższą metę nie umieli skupić myśli.

No cóż, przebitka może im pomóc.

— W porządku, Nochalu, zabawmy się.

Tally odepchnęła się jedną łyżwą, nabierając rozpędu i przemykając po obwodzie lodowiska. Spojrzała w dół przez półprzejrzystą lodową taflę. Z łatwością dostrzegła lo— tociagi przytrzymujące lodowisko w powietrzu. Rozstawione co kilka metrów tworzyły sieć i posyłały w powietrze dziesiątki mroźnych macek. Znacznie niżej ujrzała szeroki owal stadionu, rozmyty niczym świat oglądany oczami ślicznego. Światła właśnie się zapalały, za czterdzieści pięć minut miał się rozpocząć mecz. Jak zawsze przed pierwszym gwizdkiem, gdy tłum zajmie już miejsca, odbędzie się pokaz fajerwerków. Bardzo to dośliczniające.

Nad głową miała niebo, niebieskie, bez jednej chmurki. Unosiło się na nim tylko kilka balonów na gorące powietrze, uwiązanych do najwyższych wież imprez. Wiszące

w powietrzu lodowisko było najwyższą konstrukcją w Mieście Nowych Ślicznych. Tally widziała pod sobą całe miasto.

Pomknęła za Zane'em i dogoniła go na zakręcie.

— Wszyscy wydają ci się pyszni?

— Raczej zdenerwowani.

Z wdziękiem zmienił kierunek, z równą łatwością jadąc do tyłu. Pigułka uwolniła jego wzmocnione operacją mięśnie z okowów lęku i lenistwa ślicznych. Potrafił bez ruchu stać na jednej ręce, w ciągu paru sekund wdrapać się do swojego okna w apartamentowcu Pulcher i przegonić kolejkę jednoszynową przywożącą staryków z przedmieści do centralnego szpitala. W ogóle się nie pocił i był w stanie przez równe dwie minuty wstrzymać oddech.

Obserwując jego dokonania, Tally przypomniała sobie strażników, którzy ocalili ją przed pożarem w czasie podróży do Dymu. Zane dorównywał im sprawnością i pewnością siebie — był równie szybki i silny, lecz wciąż normalny, niepodobny do nieludzkich agentów Wyjątkowych Okoliczności. Tally sama nie zaliczała się do słabeuszy, lecz lek w dziwny sposób wpłynął na siłę i koordynację Zane'a. Uwielbiała mknąć z nim po lodzie, okrążyć innych, stanowić wdzięczne serce chaotycznego wiru błyskających łyżew Krimów.

— Jakież wieści z Nowego Dymu? — spytał Zane szeptem, ledwie słyszalnym pośród zgrzytania łyżew.

— Peris mówi, że nie.

Zane zaklął i skręcił ostro, obsypując odłamkami lodu jednego z nie-Krimów, poruszającego się niezgrabnie obok.

Tally dogoniła go.

— Musimy być cierpliwi, Zane. Zdejmiemy je w końcu.

— Zmęczyło już mnie bycie cierpliwym, Tally. — Spojrzał w dół poprzez lód, stadion w dole zapełnił się ludźmi. Coraz liczniejsza widownia czekała na pierwszy mecz rozgrywek międzymiastowych. — Ile jeszcze?

— Moment — odparła.

W chwili gdy wypowiedziała te słowa, w dole eksplodowały pierwsze fajerwerki, przemieniając lodowisko w migoczącą paletę czerwieni i błękitów. Sekundę później taflą wstrząsnął głuchy łomot, a po nim długie aaach pełnego podziwu tłumu.

— Zaczynamy. — Zane uśmiechnął się, jego irytacja minęła bez śladu.

Tally ucisnęła mu dłoń i wypuściła, pozwalając mu odjechać. Sama zatrzymała się pośrodku lodowiska, najdalej od sieci lotek podtrzymujących taflę. Uniosła rękę i zaczęła, aż wokół zgromadzi się zbita grupa pozostałych Krimów.

— Piersiówki — rzekła po cichu i słowo to, powtarzane szeptem, rozeszło się wokół.

Metalowe piersiówki błysnęły w słońcu, Tally usłyszała cichy zgrzyt odkręcanych nakrętek. Serce biło jej szybko, oczekiwanie wyostrzyło zmysły. Otaczały ją rozmigotane tatuaże, widziała, jak Zane nabiera prędkości na skraju lodowiska.

— Lejcie — rzuciła.

W grupie rozszedł się krąg bulgotów, gdy podwójna wódka i czysty alkohol etylowy popłynęły na taflę. Tally wydało się, że usłyszała trzask, cichą skargę lodu, gdy alkohol obniżył temperaturę zamarzania.

Zane zawsze marzył o czymś takim. Nawet w dawnych czasach zdarzało się, że wylewał szampana na lód. Lecz po zażyciu leku poważnie podszedł do sprawy, przeprowadził nawet eksperyment w małej lodówce we własnym pokoju. Nappełnił foremkę do kostek różnymi mieszankami wódki i wody i włożył do zamrażalnika. Kostka z czystej wody zamarzała normalnie, te następne, z większymi dawkami alkoholu, były bardziej miękkie, a ostatnia kostka, z czystej wódki, w ogóle nie zamarzała. Tally spojrzała w dół na plamę alkoholi wolno rozlewającą się po lodzie pomiędzy ich łyżwami, zacierającą wszelkie rysy i ślady upadków. Z sercem walącym w piersi patrzyła, jak obraz stadionu wyostrza się — teraz widziała już każdy szczegół tryskającego z niego pióropusza zielonych i żółtych fajerwerków. Do jej uszu dotarł gromki huk. Odpowiedział mu kolejny, złowieszczy trzask. Deszcz fajerwerków stawał się coraz mocniejszy, zwiastując nadchodzący finał. Tally uniosła dłoń, dając znak Zane'owi.

W odpowiedzi pokonał jeszcze jeden zakręt, po czym skierował się w ich stronę, przyspieszając. Tally poczuła rozchodzący się w grupie dreszcz paniki, jak w stadzie gazeli, które jednocześnie dostrzegły w oddali wielkiego kota. Kilku Krimów pociągnęło po łyku ze swoich piersiówek, potem powiewali do nich zawartość kilku pudełek soku pomarańczowego, by usunąć dowody tego, co zrobili.

Tally uśmiechnęła się szeroko, wyobrażając sobie swoją śliczną, oszołomioną minę, z jaką odpowie na pytania opiekunów. Staliśmy tam sobie, rozmawiając i zajmując się własnymi sprawami, nawet jeszcze nie jeździliśmy, gdy nagle...

— Uwaga! — krzyknął Zane i grupka rozdzieliła się, otwierając przed nim ścieżkę.

Dojechał na środek i nieludzko wysoko wyskoczył w powietrze. Jego oczy i łyżwy błysnęły, a potem Zane całym ciężarem opadł na taflę.

I nagle zniknął do wtóru odgłosu, który przypominał pękające szkło. Tally usłyszała, jak lód pęka, łoskot narastał, wznosząc się ogłuszająco niczym krzyzące, padające drzewo w Dymie. Przez ułamek sekundy uniosła się, pchnięta przez kawał lodu kołyszącego się na dźwigni lotociągu. Potem jednak odłamek pękł na pół i Tally

runęła w dół, żołądek podszedł jej do gardła. W chwili grupowej paniki poczuła na sobie dziesiątki dłoni, próbujących złapać ją za płaszczy. A potem ktoś krzyknął. To część lodowiska nie wytrzymała. Lodowate odłamki, Krimowie i zamboni posypali się w stronę zielonej murawy boiska. Z dołu patrzyło na nich dziesięć tysięcy wstrząśniętych twarzy.

To było dopiero pyszne.

ODBICIE

Przez moment otaczała ją cisza. Odłamki strzaskanej lodowej tafli spadały bezdźwięcznie, wirując w powietrzu i migocząc w światłach stadionu. Wiatr porywał okrzyki wojenne z ust Krimów. Oszołomiony tłum w dole patrzył w milczeniu. Tally rozłożyła szeroko ręce, żeby spowolnić upadek, rozczapierzonymi palcami chwyciła bezcenne sekundy. Ta część skoku bungee zawsze przypominała jej lot.

A potem eksplozja światła i dźwięku wstrząsnęła całym jej ciałem. Tally zaczęła wirować w powietrzu, w uszach tętniła jej krew, zaciskała powieki, chroniąc oczy przed oślepiającymi smugami jasności. Po kilku sekundach oszłomienia potrząsnęła głową i otworzyła oczy. We wszystkie strony rozchodziły się tęcze jęzory ognia, zupełnie jakby znalazła się w samym sercu wybuchającej galaktyki. Nad jej głową coś eksplodowało z hukiem, raz, drugi. Z nieba lunął deszcz światła i zrozumiała, co się stało.

Dokładnie w chwili gdy pod grupką Krimów załamał się lód, w powietrze wystrzeliły finałowe fajerwerki. Trochę za dobrze zgrali wszystko w czasie.

Sycząca, rozpalona flara przyczepiła się do kamizelki Tally, płonąc chłodnym ogniem bezpiecznych fajerwerków. Iskry łaskotały ją w twarz. Tally machnęła rękami, próbując ustabilizować lot, lecz ziemia pędziła jej na spotkanie, odległa zaledwie o parę sekund. Wciąż nie odzyskała panowania nad swoim ciałem, kiedy paski kamizelki wpiły się w nie, utrzymując ją zawieszoną głową w dół kilka metrów nad ziemią.

Gdy kamizelka szarpnęła jej ciałem z powrotem w powietrze, Tally zwinęła się w kłębek, na wypadek gdyby z góry jeszcze spadło coś dużego. Możliwość zderzenia z lecącym odłamkiem lodu bądź zamboni zawsze stanowiła niepokojącą część ich planu. Lecz Tally szczęśliwie uniknęła wszelkich niebezpieczeństw i gdy osiągnęła najwyższy punkt skoku, usłyszała w dole chóralne ach zaskoczonego tłumu. Widzowie wiedzieli, że coś poszło nie tak. Wcześniej Tally zastanawiała się z Zane'em, czy nie zhakować tablicy i nie wyświetlić stosownej wiadomości, która przeniknęłaby ogłupiającą mgiełkę, jaka spowijała umysły ślicznych. Ale wtedy opiekunowie dowiedzieliby się, że przebitka została zaplanowana, a to spowodowałyby najróżniejsze przegięte komplikacje.

Nowodymiarze usłyszą o tym numerze, w taki czy inny sposób, i przynajmniej oni zrozumieją, co on oznacza...

Lek zadziałał. Nowy Dym miał w mieście sojuszników. Niebo runęło.

*

* *

Tally w końcu zatrzymała się na środku boiska, lądując na trawie pośród odłamków lodu, drżących zamboni, rozchichotanych Krimów i kilku niewinnych łyżwiarzy, którzy spadli wraz z nimi, bez wątpienia radzi, że na lodowisku obowiązkowe były kamizelki bungee. Poszukała wzrokiem Zane'a i przekonała się, że siła rozpędu zaniosała go dalej, do jednej z bramek. Tally pobiegła w jego stronę, po drodze sprawdzając, co słycać u Krimów. Wszystkie tatuaże pulsowały szleńczo, wirując w rytm antyślicznej magii upadku. Nikt jednak nie ucierpiał, poza kilkoma siniakami i przypalonymi włosami.

— Udało się, Tally! — rzekł cicho Fausto, gdy go mijala. Ze zdumieniem oglądał trzymany w dłoni kawałek lodu.

Nie zwolniła kroku.

Zane śmiał się histerycznie, zaplątany w siatkę.

— Gooool! — zawołał na widok Tally.

Zatrzymała się ciężko, z nagłą ulgą, i dała ponieść pysznemu nastrojowi chwili. Świat wokół niej uległ przemianie. Miała wrażenie, że potrafi jednym spojrzeniem ogarnąć całą widownię. W nierzeczywiście ostrym blasku stadionowych świateł widziała wyraźnie każdą twarz. Dziesięć tysięcy par oczu — oszołomionych, zaskoczonych — wpatrywało się w nią.

Tally wyobraziła sobie, że w tym momencie wygłasza przemówienie. Opowiada wszystkim o operacji, skazach, straszliwej cenie, jaką płaci się za bycie ślicznym. O tym, że piękny znaczy bezmózgi, a ich łatwe życie tak naprawdę jest puste. Ogłuszony tłum wyglądał tak, jakby gotów był jej wysłuchać.

Wraz z Zane'em pragnęli dać sygnał Nowodymiarzom, ale nie był to ich jedyny cel. Wiedzieli, że tak potężny numer nakręci Krimów na kilka dni. Czy jednak prawdziwie pyszne przeżycie zdoła trwale odmienić ślicznych, którzy nie zażyli pigulek? Tally, przypominając sobie wyraz oczu Fausta, pomyślała, że to możliwe. A teraz, widząc twarze w tłumie — nowych i średnich ślicznych, a nawet staryków, jednakowo zadziwionych — zastanawiała się, czy niebo walące im się na głowy nie przebudziło przypadkiem czegoś większego.

Miasto bez wątpienia zauważyło, że coś się stało. Na boisko wbiegali opiekunowie z apteczkami w rękach. Tally nigdy nie widziała podobnej paniki na twarzach średnich ślicznych. Podobnie jak tłum, wszyscy wyglądali na kompletnie zaskoczonych, jakby nie wierzyli, że w mieście aż w takim stopniu mogło coś pójść nie tak. Lotokamery przygotowane do rejestrowania pierwszego meczu sezonu śmigaly po boisku, nakręcając wszystko, i Tally pojęła, że ich numer trafi wkrótce na ekrany wszystkich miast planety.

Odetchnęła głęboko. Czula się podobnie jak wtedy, gdy jako maluch odpaliła swój pierwszy fajerwerk, zdumiona, że jedno przyciśnięcie guzika może wywołać tyle hałasu. Zastanawiała się, czy nie będzie mieć kłopotów. Gdy pierwsza euforia minęła, nie mogła uwolnić się od uczucia, że mimo tak starannego zamaskowania, ktoś odgadnie, iż cały wypadek został zaplanowany.

Nagle poczuła, że potrzebuje dotknięcia Zane'a, milczącej otuchy, jaką jej dawał. Biegiem pokonała resztę drogi do bramki. Para opiekunów wyplątywała go z podartej siatki, opatrując mu twarz medisprejem. Tally odepchnęła ich i chwyciła Zane'a w ramiona.

Wszędzie roило się od opiekunów, dlatego przemówiła w slangu ślicznych.

— Ale dopyszniające, co?

— Totalnie — odparł.

Zane nie miał żadnych tatuaży, lecz Tally nawet przez grubą, zimową kurtkę czuła, jak wali mu serce.

— Połamałeś się gdzieś?

— Nie, tylko auciuję. — Musnął palcami bok twarzy, widniały na niej czerwone linie odtwarzające wzór siatki. — Wygląda na to, że zdobyliśmy punkt.

Tally zachichotała i możliwie najdelikatniej ucałowała zraniony policzek Zane'a, po czym wyszeptała mu do ucha:

— Udało się. Naprawdę się udało. Zupełnie jakbyśmy mogli zrobić wszystko.

— Bo możemy.

— Teraz Nowodymiarze muszą się zorientować, że lek zadziałał. Przyślą nam więcej pigułek, będziemy mogli wszystko zmienić.

Odsunął się od niej i skinął głową, po czym pochylił się, całując ją lekko.

— A jeśli się nie zorientują — wyszeptał — będziemy musieli sami ich poszukać.

NIEPROSZONY GOŚĆ

Ta noc stała pod znakiem szampana. Choć Tally i Zane rzucili alkohol, dziś stwierdzili, że muszą opić fakt, iż Krimowie przeżyli wielką katastrofę nad stadionem Nefretete.

Przed dzisiejszym wieczorem wszyscy bardzo długo ćwiczili, wielokrotnie powtarzając każdą reakcję, tak by nie wspomnieć o rozlanym na lodzie alkoholu, nie przechwalać się doskonale wykonanym planem, jedynie szczebiotać z podnieceniem, jak przystało nowym ślicznym dochodzącym do siebie po pysznym, nieoczekiwanym odstępstwie od normy.

Każdy kilkakrotnie powtarzał swoją własną wersję upadku — dygot pękającego lodu, oślepiający pokaz fajerwerków, szarpnięcie kamizelek bungee i niespokojne telefony starykowskich rodziców, którzy oglądali wypadek, pokazywany raz po raz na każdym kanale. Większość Krimów udzieliła wywiadów wiadomościom — opowiadali w nich swoje historie z minami zaskoczonych niewinności. Sieci co chwilę uzupełniały relacje: kolejne wersje mówiły o rezygnacji członków miejskiej rady architektonicznej, całkowitej zmianie planu rozgrywek piłkarskich oraz ostatecznym zamknięciu napowietrznego lodowiska (przejęty skutek uboczny, którego Tally i Zane zupełnie nie przewidzieli).

Jednak wkrótce wiadomości zaczęły się powtarzać — nawet własna twarz na ekranie ściennym może znudzić człowieka, gdy widzi ją po raz pięćdziesiąty, dlatego Zane poprowadził ich do parku Denzela, gdzie rozpalili ognisko.

Krimowie wciąż mieli pyszne nastroje, ich błyskotatuaże pulsowały w blasku ognia, gdy po raz kolejny opowiadali swoje historie. Na wypadek, gdyby ktoś słuchał, wszyscy posługiwali się płynnie slangiem ślicznych. Lecz Tally słyszała w ich słowach coś więcej niż banały. Przypominało to jej własne rozmowy z Zane'em, gdy świadomi stałej obecności bransolet nasycali slang ślicznych nowymi znaczeniami. Ich milczący spisek, dotąd dwuosobowy, zaczynał się rozrastać i gdy Tally wpatrywała się w płomienie, słuchając rozmów otaczających ją Krimów, zaczęła wierzyć, że dopyszniające podniecenie po upadku jednak nie zniknie. Może ludzie samym myśleniem, bez żadnych pigulek, zdołają uwolnić się z okowów śliczności.

— Lepiej wypij szampana, Chudziaku. — Zane pogładził palcami jej kark, wrywając Tally z zamyślenia. — Słyszałem, że alkohol totalnie szybko paruje.

— Paruje? To straszne. — Tally z poważną miną uniosła kieliszek do światła.

W wiadomościach co godzinę podawano najnowsze wyniki dochodzenia w sprawie katastrofy. Grupa inżynierów próbowała ustalić, w jaki sposób dwadzieścia centymetrów opartego na lotociągach lodu mogło załamać się pod ciężarem kilkudziesięciu osób. Winę przypisywano drganiom od fajerwerków, ciepłu reflektorów stadionu, a nawet naciskowi, jaki powodowali łyżwiarze jeżdżący grupowo niczym maszerujący żołnierze. Lecz żaden z ekspertów nie odgadł prawdziwej przyczyny wypadku, która po prostu wyparowała.

Tally uniosła kieliszek i trąciła nim kieliszek Zane'a, który wysączył do końca szampana, po czym nalał sobie trochę od niej.

— Dzięki, Chudziaku — rzekł.

— Za co?

— Ze się podzieliłaś.

Obdarzyła go ślicznym uśmiechem. Oczywiście chodziło mu o pigułki, nie o szampana.

— Nie ma sprawy, cieszę się, że wystarczyło dla nas dwojga.

— Mieliśmy pyszne szczęście, że tak się to ułożyło.

Przytaknęła. Lek nie był doskonały, lecz biorąc pod uwagę, że każde z nich zażyło tylko pół dawki, wyniki okazały się nader obiecujące. Lekarstwo podziałało na Zane'a niemal natychmiast. Po kilku dniach mgła spowijająca jego umysł zniknęła. Na Tally pigułka działała wolniej: wciąż budziła się lekko oszołomiona i dopiero Zane przypominał jej, żeby zachowywała się pysznie. Uniknęła natomiast straszliwych bólów głowy nękających jej towarzysza.

— Myślę, że kiedy się dzielimy, wszystko smakuje lepiej. — Tally ponownie trąciła jego kieliszek.

Przypomniała sobie ostrzeżenie zawarte w liście od siebie samej i mimo ognia zadrżała. Może dwie pigułki to za dużo i gdyby połknęła je obie, zamieniłaby się w warzywo.

Zane przyciągnął ją bliżej.

— Jak mówiłem... dzięki.

Pocałował ją, poczuła jego ciepłe wargi w zimnym nocnym powietrzu, w oczach odbijały się jasne płomienie. Długą chwilę nie rozłączali się. Połączenie zerotlenowego pocałunku i szampana sprawiło, że Tally zaćmiło się w głowie, krawędzie rozświetlonego ogniem obrazu zaczęły się rozmazywać. I może nie zawsze było to takie złe...?

Zane w końcu wypuścił ją i odwracając się w stronę ogniska, musnął wargami jej ucho.

— Musimy je z siebie ściągnąć.

— Cii.

Nawet w zimowych kurtkach i rękawiczkach zasłaniających bransolety Tally czuła się zbyt sławna, by cokolwiek głośno planować. Krimowie musieli już odpędzić kamieniami jedną z lotokamer obserwujących imprezę w poszukiwaniu materiału do kolejnego programu na temat katastrofy.

— To mnie doprowadza do szału, Tally.

— Nie martw się, coś wymyślimy.

Przestań mówić, błagała w duchu.

Zane kopniakiem wrzucił suchą gałąź do ognia. Gdy stanęła w płomieniach, jęknął boleśnie.

— Zane?

Pokręcił głową, przyciskając palce do skroni. Tally przełknęła ślinę. Kolejna migrena. Czasami kończyły się po paru sekundach, czasami trwały godzinami.

— Nie, nic mi nie jest. — Odetchnął głośno.

— Wiesz, że mógłbyś pójść do lekarza — wyszeptwała.

— Nie ma mowy! Zorientowaliby się, że jestem wyleczony.

Przyciągnęła go bliżej trzeszczącego ogniska i przycisnęła mu usta do ucha.

— Opowiadałam ci o Maddy i Azie, rodzicach Davida? Byli lekarzami, chirurgami i przez długi czas nawet oni nie mieli pojęcia o istnieniu skaz w mózгах, po prostu sądzili, że większość ludzi jest głupia. Zwykły lekarz ci pomoże i nawet nie zorientuje się, że coś jest nie tak.

Zane gwałtownie pokręcił głową i odwrócił się, szepcząc jej do ucha:

— To się nie skończy na zwykłym doktorze, Tally. Nowi śliczni nie chorują.

Objęła spojrzeniem wszystkie twarze jaśniejące wokół ogniska. Krimowie często łądowali w szpitalu, ale wyłącznie z powodu obrażeń, nigdy chorób. Operacja podkręcała system odpornościowy, wzmacniała narządy, na zawsze naprawiała zęby. Niezdrowy nowy śliczny stanowił taką rzadkość, że lekarze z pewnością przeprowadziliby mnóstwo testów. A gdyby bóle głowy Zane'a nie ustępowały, wyniki testów trafiłyby do specjalistów.

— I tak już mają na nas oko — wyszeptał. — Nie możemy sobie pozwolić na to, by ktokolwiek grzebał mi w głowie.

Znów się wzdrygnął, ból wykrzywił mu rysy.

— Powinniśmy już wracać — rzekła cicho.

— Zostań, sam trafię do Pulchra.

Tally jęknęła i odciągnęła go od ognia.

— Chodź.

Pozwolił, by poprowadziła go w ciemność, okrążając resztę Krimów. Shay zawołała coś do nich, lecz Tally pomachała tylko ręką, odpowiadając „za dużo szampana”. Przyjaciółka uśmiechnęła się współczująco i znów odwróciła do ognia.

Podreptali do domu. Na gołej ziemi w promieniach księżyca połyskiwał szron; po ognisku promieniującym ciepłem wiatr wydawał się wyjątkowo mroźny. Noc była piękna, lecz Tally myślała tylko o tym, co dzieje się w głowie Zane'a. Czy to jedynie zwykły skutek uboczny lekarstwa? Czy też oznaka, że coś poszło strasznie nie tak?

— Nie martw się, Zane — rzekła niewiele głośniejszym głosem. — Znajdziemy rozwiązanie albo uciekniemy stąd i Dymia — rze nam pomogą. To lek Maddy, będzie wiedziała, co się dzieje.

Nie odpowiedział, w milczeniu, chwiejnym krokiem wspinając się obok niej na wzgórze.

Gdy ujrzeli przed sobą apartamentowiec Pulcher, Zane zatrzymał Tally.

— Wracaj na imprezę. Stąd bez problemów dotrę do domu. — Mówił zbyt głośno.

Rozejrzała się, ale byli sami, w pobliżu nie dostrzegła żadnych ślicznych ani lotokamer.

— Martwię się o ciebie — wyszeptała.

Zane zniżył głos.

— To niemądre się martwić, Chudziaku. Po prostu boli mnie głowa, tak samo jak zawsze. Pewnie dlatego, że byłem śliczny dłużej niż ty. — Zmusił się do uśmiechu. — Teraz trudniej przyzwyczajam się do tego, że znów mam mózg.

— Chodź, położymy cię do łóżka.

— Nie, wracaj. Nie chcę, żeby się dowiedzieli... o tym.

— Nikomu nie powiem — wyszeptała Tally. Nikomu nie wspomnieli o leku, czekali, aż pozostali Krimowie staną się dość pyszni, by mogli zachować sekret. — Wytłumaczę, że za dużo wypieś.

— Świetnie, ale wracaj na imprezę — rzekł stanowczo. — Musisz podtrzymać ich nastrój. Dopilnuj, żeby się nie popili i nie zaczęli wygadywać głupot.

Tally obejrzała się na ognisko, ledwie widoczne pomiędzy drzewami w dole. Wystarczy za dużo szampana, by ktoś zaczął się przechwalać. Spojrzała na Zane'a.

— Poradzisz sobie?

Przytaknął.

— Już czuję się lepiej.

Wciągnęła w płuca zimne powietrze. Wcale nie wyglądał lepiej.

— Zane...

— Posłuchaj, nic mi nie będzie. I nieważne, co się stanie, cieszę się, że zażyliśmy pigułki.

Tally odetchnęła głęboko, by się uspokoić.

— Co to znaczy: nieważne, co się stanie?

— Nie chodzi mi o dzisiejszy wieczór. Tylko ogólnie. No rozumiesz.

Spojrzała w jego złocistocętkowane oczy i ujrzała w nich ból, który skrywał w milczeniu. Cokolwiek działo się z Za— ne'em, wołała nie być pyszna, niż go stracić. Pokręciła głową.

— Nie, nie rozumiem.

Westchnął.

— Po prostu głupio to ująłem. Nic mi nie jest.

— Martwię się o ciebie.

— Wracaj na imprezę.

Tally cicho westchnęła. Kłótnia nie miała sensu. Wyciągnęła rękę, wskazując szalik owinięty wokół ramienia.

— Ale gdybyś poczuł się gorzej, pingnij mnie.

Uśmiechnął się gorzko.

— Przynajmniej do czegoś się nam przydadzą.

Pocałowała go lekko i odprowadziła wzrokiem. Zane szybko podszedł do drzwi budynku i zniknął w środku.

Gdy samotnie wracała na przyjęcie, powietrze wydawało jej się coraz chłodniejsze. Tally niemal pocałowała, że znów nie jest ślicznomózga, choćby tylko na tę noc, i musi pilnować Krimów. Od pierwszego pocałunku bycie z Zane'em wszystko skomplikowało.

Westchnęła. Może sprawy zawsze układały się podobnie.

Wiedziała, że Zane nigdy nie zgodzi się pójść do lekarza. Gdyby bóle głowy przerodziły się w coś gorszego, czy zdołałaby go zmusić? Oczywiście miał rację: każdy lekarz, który potrafiłby naprawić jego problem, pewnie odgadłby, co go spowodowało, i mógłby ponownie odmienić mu mózg.

Gdyby tylko Croy nie zniknął. Tally zastanawiała się, ile trzeba czasu, by Nowodymiarze znów nawiązali kontakt. Po przebitce musieli się zorientować, że lek zadziałał. Nawet jeśli miejsce, w którym się ukrywali, nie odbierało wiadomości, wszyscy brzydcy na całym świecie z pewnością gadają o zawałonym lodowisku i o Tally Youngblood, z niewinną miną przemawiającej z ekranów ściennych.

Tally wiedziała, że i tak muszą z Zane'em uciec z miasta. Nie miała tylko pojęcia, jak ściągnąć bransoletę.

W miarę jak chudli coraz bardziej, miała wrażenie, że stalowe pierścienie okalające ich przeguby przesuwają się coraz łatwiej. Ile jednak trzeba czasu, by je ściągnąć? Tally

nie zachwyciła perspektywa wyścigu między własnym zagłodzeniem a zniszczeniem mózgu Zane'a.

A kiedy w końcu uciekną, nie chciała zniknąć bez pozostałych Krimów, a już na pewno bez Perisa i Shay. Dziś w nocy Krimowie byli tak pyszni, że zapewne na jedno jej słowo wskoczyliby na deski i opuścili miasto. Ale jak pyszni pozostaną jutro?

Nagle Tally poczuła ogromne zmęczenie. Miała zbyt wiele spraw na głowie, zbyt wiele zmartwień atakujących tylko ją. Jeszcze niedawno chciała jedynie zostać Krimką, poczuć się bezpiecznie w ekipie przyjaciół. I nagle odkryła, że przewodzi buntowi.

— Przyjaciół wypił za dużo szampana?

Tally zamarła. Słowa padły z ciemności, raniąc jej uszy niczym paznokcie skrobiące po metalu.

— Halo?

Spośród cieni wyłoniła się postać w zimowym płaszczu z kapturem. W absolutnej ciszy ruszyła naprzód po suchych liściach. W końcu zatrzymała się w promieniu księżyca, dziesięć centymetrów wyższa od Tally, a nawet od Zane'a. Musiała być Wyjątkowa.

Tally zmusiła się, by się odprężyć, uspokoić nerwy. Przybrała łagodną minę świeżusieńkiej ślicznej.

— Shay? Czy to ty i twoje totalne dostraszanie? — spytała gniewnie.

Postać postąpiła jeszcze krok w stronę światła zbłąkanej pochodni.

— Nie, Tally, to ja.

Kobieta ściągnęła kaptur.

To była doktor Cable.

— Czy ja cię znam?

Doktor Cable uśmiechnęła się chłodno.

— Z pewnością mnie pamiętasz, Tally.

Tally cofnęła się o krok, pozwalając, żeby na jej twarzy odbił się lekki strach. Nawet najniewinniejszą nową śliczną przeraziłby widok doktor Cable. Jej okrutne rysy, które podkreślał blask księżyca, sprawiały, że wyglądała jak piękna kobieta w trakcie przemiany w wilkołaka.

Umysł Tally zalały wspomnienia. Pierwsze, straszne uwięzienie w gabinecie doktor Cable, odkrycie istnienia Wyjątkowych Okoliczności. I kolejny raz, gdy zgodziła się znaleźć i zdradzić Shay, w zamian za zostanie śliczną. Potem Dym, gdy Cable przybyła w ślad za Tally z armią Wyjątkowych, by spalić do gołej ziemi jej nowy dom.

— Tak — rzekła. — Chyba pamiętam. Kiedyś cię znałam, prawda?

— Owszem, znałaś. — Ostre zęby Cable błysnęły w blasku księżyca. — I co ważniejsze, Tally, ja znam ciebie.

Tally starała się uśmiechnąć niemądrze.

Doktor Cable bez wątpienia pamiętała ich ostatnie spotkanie — Tally i David uratowali wówczas Dymiarzy — kiedy musieli uderzyć ją w głowę.

Kobieta wskazała gestem czarny szalik, okręcony ciasno wokół przegubu, płaszcz i bransolety.

— Ciekawy sposób noszenia szalika.

— Nie bądź zeromodna. Wszyscy to robią.

— Lecz założę się, że to ty zapoczątkowałaś ten trend. Zawsze byłaś winna, zawsze lubiłaś psocić.

— Chyba tak. — Tally uśmiechnęła się promiennie. — Kiedy byłam brzydka, wycinałam najróżniejsze numery.

— Ale nie takie jak dziś.

— A, widziała pani wieści? Totalna przeginka, prawda? Lód po prostu załamał się pod nami — sam z siebie.

— Tak... sam z siebie. — Oczy doktor Cable zwężyły się. — Muszę przyznać, że z początku zdołałaś mnie nabrać. To latające lodowisko to typowy architektoniczny kaprys mający zabawić nowych ślicznych. Aż się prosił o jakiś wypadek. Potem jednak pomyślałam o zgraniu w czasie — pełny stadion, sto kamer pod ręką...

Tally zamrugała i wzruszyła ramionami.

— Założę się, że to przez te fajerwerki. Czuliśmy je wyraźnie przez lód. Czyj to zeropomysł?

Doktor Cable powoli pokiwała głową.

— Niemal wiarygodny wypadek. Potem jednak ujrzałam w wiadomościach twoją twarz, Tally. Wielkooka, niewinna, opowiadałaś swoje pyszne kłamstewka. — Górna warga Cable wygięła się w grymasie, który zdecydowanie nie był uśmiechem. — I zrozumiałam, że wciąż wycinasz numery.

Tally miała wrażenie, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Znała to uczucie z dawnych brzydkich czasów: obawa, że ktoś ją złapał na gorącym uczynku. Próbowła przekształcić swój strach w zdumienie.

-Ja?

— Zgadza się, Tally, ty. Jakoś.

Czujne spojrzenie doktor Cable sprawiło, iż Tally wyobraziła sobie, jak trafia do siedziby Wyjątkowych Okoliczności, jak odwracają działanie leku i znów kasują jej pamięć. Albo może tym razem w ogóle nie odesłaliby jej do Miasta Nowych Ślicznych. Próbowwała przełknąć ślinę, lecz zaschło jej w ustach.

— Tak, jasne, jakby wszystko było moją winą — zdołała wykrztusić.

Doktor Cable podeszła bliżej i Tally z trudem zmusiła się do pozostania na miejscu, choć całe jej ciało krzyczało „uciekaj”. Kobieta przyjrzała jej się chłodno, jakby oglądała okaz na stole sekcyjnym.

— Mam nadzieję, że to była twoja wina.

Tally zmarszczyła brwi.

— Masz nadzieję?

— Pomówmy szczerze, Tally Youngblood, mam już dosyć ślicznych bzdur. Nie przyszłam po to, by zabrać cię do mojego lochu.

— Nie?

— Naprawdę sądzisz, że obchodzi mnie, czy rozwalasz coś w Mieście Nowych Ślicznych?

— Uhm... tak jakby?

Doktor Cable prychnęła.

— Konserwacja to nie moja działka. Wyjątkowe Okoliczności interesują wyłącznie zagrożenia z zewnątrz, miasto potrafi o siebie zadbać, Tally. Istnieje tak wiele zabezpieczeń, że nie ma się czym przejmować. Jak myślisz, dlaczego łyżwiarze musieli nosić na lodowisku kamizelki bungee?

Tally zamrugała. Nawet nie przyszło jej do głowy zastanawiać się nad znaczeniem kamizelek; w Mieście Nowych Ślicznych wszystko było zawsze ultrabezpieczne. W przeciwnym razie nowi śliczni zabijaliby się na prawo i lewo. Wzruszyła ramionami.

— Na wypadek awarii lotociągów? Na przykład zaciemnienia?

Cable zaśmiała się ostro jak brzytwa i śmiech ten trwał niecałą sekundę.

— Od stu pięćdziesięciu lat nie doszło do zaciemnienia. — Pokręciła głową. — Rozwalaj sobie, co tylko chcesz, Tally. Nie obchodzą mnie twoje drobne numery... Liczy się wyłącznie to, co o tobie mówią.

Znów skupiła wzrok na Tally, która ponownie z trudem zwalczyła pragnienie ucieczki. Zastanawiała się, czy Cable chce ją w ten sposób zmusić do przyznania się, co zrobili Krimowie. Pewnie i tak już za wiele powiedziała. Ale coś w lodowatym spojrzeniu doktor Cable — jej ostry jak brzytwa głos, drapieżne ruchy, samo jej istnienie na tym świecie — uniemożliwiała Tally odgrywanie ślicznej. Do tej pory każdy prawdziwy nowy śliczny uciekłby już z krzykiem albo całkowicie się rozmasał.

Poza tym, jeśli Wyjątkowe Okoliczności naprawdę chciały, by Tally przyznała się do swoich numerów, nie zwracałyby sobie głowy rozmową.

— Czemu zatem tu jesteś? — spytała Tally normalnym głosem, starając się, by zabrzmiał spokojnie.

— Zawsze podziwiałam twój instynkt przetrwania, Tally. Kiedy musiałaś, byłaś naprawdę dobrą zdrajczynią.

— Uch, dzięki. Chyba.

Cable przytaknęła.

— A teraz okazuje się, że masz więcej mózgu, niż przypuszczałam. Doskonale oparłaś się warunkowaniu.

— Warunkowanie. Tak to nazywacie? — Tally zakłęta. — To ma być jakaś tresura?

— Zdumiewające. — Doktor Cable nachyliła się bliżej, jej oczy wpatrzyły się w Tally, jakby próbowały dowiercić się do jej mózgu. — Gdzieś tam w głębi wciąż pozostajesz psotną brzydką, prawda? Imponujące. Myślę, że byś mi się przydała, mogłabym cię wykorzystać.

Tally poczuła, jak ogarnia ją gniew, w głowie zapłonął jej ogień.

— Jakbyś już mnie nie wykorzystwała?

— A zatem pamiętasz, wspaniale. — W okrutnych, pięknych oczach kobiety, zimnych, matowych i beznamiętnych, zatliła się iskierka zadowolenia. — Wiem, że nie było to przyjemne przeżycie, Tally, ale konieczne. Musieliśmy zabrać nasze dzieci z Dymu i tylko ty mogłaś nam pomóc. Mimo wszystko przepraszam.

— Przepraszasz? Za to, że szantażem zmusiłaś mnie do zdradzenia przyjaciółki? Za zniszczenie Dymu? Zabicie ojca Davida? — Poczwała, że jej twarz wykrzywia się w grymasie niesmaku. — Nie sądzę, żebyś znów mogła mnie wykorzystać, doktor Cable. I tak już zbyt wiele dla ciebie zrobiłam.

Kobieta uśmiechnęła się ponownie.

— Zgadzam się. Czas zatem, żebym to ja zrobiła coś dla ciebie. To, co ci proponuję, jest wyjątkowo... pyszne.

Słowo to w wąskich, okrutnych ustach doktor Cable sprawiło, że Tally zaśmiała się sucho.

— Co ty wiesz o byciu pysznym?

— Zdziwiłabyś się. My, w Wyjątkowych Okolicznościach, wiemy wszystko na temat odczuć, zwłaszcza tych, których zawsze poszukujecie ty i tak zwani Krimowie. Mogę ci to dać, Tally, każdy kolejny dzień pysniejszy, niż potrafisz sobie wyobrazić. Coś prawdziwego, nie zwykłą ucieczkę przed mgiełką przesłaniającą umysły ślicznych. Coś lepszego.

— O czym ty mówisz?

— Pamiętasz latanie na desce, Tally? — W mętnych oczach Cable zapłonął zimny ogień. — Uczucie, że żyjesz? Owszem, możemy sprawiać, że ludzie stają się śliczni w środku — puści, leniwi, próżni — ale potrafimy także czynić ich pysznymi, jak to nazywacie. To uczucie bardziej intensywne niż cokolwiek, czego zaznałaś jako brzydka. Intensywniejsze niż u wilka powalającego ofiarę, pysniejsze niż starożytni żołnierze Rdzawców zabijający się z powodu spłachetka bogatej w ropę pustyni. Twoje zmysły stają się ostrzejsze, ciało szybsze niż u jakiegokolwiek sportowca w dziejach, mięśnie silne jak u największego mocarza świata.

Ostry głos kobiety ucichł i Tally nagle usłyszała niezwykle wyraźnie dźwięki otaczającej ich nocy — sople spadające na twardą ziemię, drzewa skrzypiące na wietrze, ognisko w dole, wyrzucające w powietrze snopy iskier. Słyszała też dźwięki z imprezy: Krimów przekrzykujących się na temat swoich dzisiejszych wyczynów i sprzeczących o to, kto odbił się najwyżej i wylądował najmocniej. Po słowach Cable świat stał się ostry jak odłamek kryształu.

— Powinnaś zobaczyć świat takim, jakim ja go widzę, Tally.

— Proponujesz mi... pracę? W Wyjątkowych?

— Nie pracę, całkowicie nowe istnienie. — Doktor Cable kładła nacisk na każde kolejne słowo. — Możesz zostać jedną z nas.

Tally oddychała ciężko, krew pulsowała jej w całym ciele, jakby sama myśl o tym już ją odmieniała. Odsłoniła zęby we wrogim grymasie.

— Myślisz, że pracowałabym dla ciebie?

— Zastanów się, jaki masz wybór, Tally. Całe życie spędzone na pościgu za tanimi podnietami, wypełnione krótkimi chwilami prawdziwej jasności. Nigdy do końca nie uwolniłabyś umysłu. Ale byłaby z ciebie świetna Wyjątkowa.

Samotna podróż do Dymu to imponujący wyczyn. Już wtedy miałam nadzieję, że coś z ciebie wyrośnie. A teraz, gdy widzę, że nawet po operacji wciąż jesteś skłonna do

numerów — doktor Cable pokręciła głową — pojmuję, że masz wrodzony talent. Dołącz do nas.

Tally poczuła w głowie nagły ping i w końcu coś zrozumiała.

— Powiedz mi, jaka byłaś jako brzydka?

— Brawo, Tally. — Kobieta znów zaśmiała się drapieżnie. — Znasz już odpowiedź, prawda?

— Byłaś numerantką.

Cable przytaknęła.

— Zupełnie jak ty. Wszyscy tacy byliśmy. Wymykaliśmy się do ruin, próbowaliśmy uciekać dalej, trzeba nas było sprowadzać z powrotem. Dlatego właśnie pozwalamy brzydkim na ich psoty i numery — by przekonać się, kto jest najsprytniejszy, zobaczyć, kto z was jest w stanie wywalczyć sobie wolność. O to właśnie chodzi w waszym buncie, Tally — o awans do Wyjątkowych Okoliczności.

Tally przymknęła oczy i zrozumiała, że doktor Cable mówi prawdę. Przypomniała sobie czasy, gdy była brzydka, jak łatwo przychodziło jej wtedy oszukanie opiekunów domu, jak wszyscy uczyli się omijać przepisy. Odetchnęła głęboko.

— Ale dlaczego?

— Bo ktoś musi mieć nad wszystkim kontrolę, Tally.

— Nie o to mi chodziło. Chciałam wiedzieć, dlaczego robicie to ślicznym? Czemu zmieniacie ich mózgi?

— Na miłość boską, Tally. Czyż to nie oczywiste? — doktor Cable z wyraźnym rozczarowaniem pokręciła głową. — Czego was uczą w tych szkołach?

— Ze Rdzawcy o mało nie zniszczyli świata — wyrecytowała Tally.

— I oto masz odpowiedź.

— Ale my jesteśmy lepsi od nich. Nie tykamy głuszy, nie zakładamy kopalni odkrywkowych, nie palimy ropy, nie prowadzimy wojen... — Głos Tally załamał się, bo wreszcie zaczęła rozumieć.

Doktor Cable przytaknęła.

— Panujemy nad sobą, Tally, dzięki operacji. Ludzkość pozostawiona sama sobie to zaraza. Ludzie mnożą się bez końca, konsumując wszystkie zasoby, niszcząc wszystko, czego się tkną. Bez operacji istoty ludzkie zawsze stają się Rdzawcami.

— Nie w Dymie.

— Przypomnij sobie, Tally. Dymiarze wycinali drzewa, zabijali zwierzęta i je zjadali. Gdy wylądowaliśmy, palili drzewa.

— Nie tak wiele. — Głos Tally zadrżał.

— A gdyby Dymiarzy były miliony? A niedługo miliardy? Poza naszymi zamkniętymi miastami ludzkość to choroba, rak na ciele świata. Ale my... —

Wyciągnęła rękę i pogładziła policzek Tally. Jej palce w mroźnym zimowym powietrzu były dziwnie gorące. — Wyjątkowe Okoliczności... my jesteśmy lekiem.

Tally pokręciła głową i chwiejnie cofnęła się przed doktor Cable.

— Nie ma mowy.

— Przecież zawsze tego właśnie chciałaś.

— Mylisz się! — krzyknęła Tally. — Chciałam tylko stać się śliczna! To ty cały czas wchodzisz mi w paradę.

Jej krzyk zaskoczył je obie. Długą chwilę milczały, czekając, aż echa ostatnich słów ucichną w parku. Imprezowicze w dole umilkli; pewnie zastanawiali się, kto tak wrzeszczy wśród drzew.

Doktor Cable pierwsza doszła do siebie. Westchnęła cicho.

— Dobry Boże, Tally. Spokojnie. Nie ma potrzeby krzyczeć. Jeśli nie chcesz tego, co ci proponuję, zostawię cię. Możesz wracać na przyjęcie i wyrosnąć na nadętą średnią śliczną. Wkrótce pyszność nie będzie już miała znaczenia. Zapomnisz o tej rozmowie.

Tally wytrzymała spojrzenie okrutnej ślicznej. Niemal zapragnęła powiedzieć jej o leku, rzucić jej te słowa prosto w twarz. Jej umysł nie miał się zmienić ani jutro, ani za pięćdziesiąt lat. Nie zapomni, kim jest. Nie potrzebuje Wyjątkowych Okoliczności, by czuć się żywa.

Gardło wciąż bolało ją od krzyku, gdy odpowiedziała ochryple:

— Nigdy.

— Proszę tylko, żebyś się nad tym zastanowiła. Nie spiesz się, zdecyduj spokojnie. Mnie nie zależy. Ale pamiętaj, jak się czułaś, przelatując przez lód. Możesz czuć coś takiego w każdej chwili. — Doktor Cable lekceważąco machnęła ręką. — A jeśli to czyni ci jakąkolwiek różnicę, może nawet znajdę miejsce dla twojego przyjaciela Zane'a. Od jakiegoś czasu mam na niego oko. Kiedyś bardzo mi pomógł.

Po ciele Tally przebiegł dreszcz, pokręciła głową.

— Nie.

Doktor Cable skinęła głową.

— O tak, Zane był bardzo rozmowny. Opowiedział nam wszystko o Davidzie i Dymie — wtedy, kiedy nie uciekł.

Odwróciła się i zniknęła między drzewami.

Tally wróciła na imprezę. Ognisko się rozrosło, podobnie jak krąg zabawowiczów. Ktoś zamówił bele torfu wielkości przemysłowej, tak duże, że ich spalanie wyczerpywało miesięczny przydział węglowy wszystkich Krimów. Na wierzch dorzucono gałęzie z parku i syk zielonego jeszcze drewna skojarzył się Tally z ogniskami w Dymie, gdy woda wewnątrz świeżo ściętych drzew wrzała, parowała i bryzgała, jakby oddawała uczucia rozgniewanych duchów lasu.

Spojrzała na dym wznoszący się złowieszczo czarną kolumną na tle nieba. Stąd właśnie osada wzięła swoją nazwę. Jak mówiła doktor Cable, Dymiarze palili drzewa wyrwane żywcem z ziemi. Ludzkie istoty postępowały podobnie od tysiącleci; przed paroma wiekami o mało nie posłały do atmosfery tyle węgla, by na dobre zmienić klimat. Dopiero gdy ktoś uwolnił bakterie zmieniające strukturę ropy naftowej, cywilizacja Rdzawców upadła i planeta ocalała.

A teraz Krimowie w najpyszniejszym humorze instynktownie zmierzali w tym samym kierunku. Nagle ciepły, przyjazny ogień wydał się Tally wrogiem.

Słuchała otaczających ją głosów — przechwałek, jak daleko ktoś odbił się na boisku piłkarskim, dyskusji, kto udzielił najlepszego wywiadu wiadomościom. Po nieszczęsnej rozmowie z doktor Cable Tally miała wyostrzone zmysły — potrafiła odróżnić każdy dźwięk, rozplątać każdy splot rozmów. Nagle Krimowie wydali jej się niemądrzy. Raz po raz powtarzali historie swych nieważnych triumfów. Zupełnie jak śliczni.

— Chudziaku?

Odwróciła się od ognia i zobaczyła stojącą obok Shay.

— Czy z Zane'em wszystko w porządku? — Shay popatrzyła na nią i szerzej otworzyła oczy. — Tally-wa, wyglądasz...

Nie musiała kończyć, Tally już dostrzegła to w jej oczach: wyglądała okropnie. Uśmiechnęła się ze znużeniem. Oczywiście stanowiło to skutek działania leku. Owszem, wciąż była przepiękna — idealna struktura kostna, nieskazitelna cera — lecz na jej twarzy odbijał się wewnętrzny zamęt. Teraz, gdy jej myśli nie były już śliczne, nie mogła pozostawać piękna całymi dniami. Gniew, strach i niepokój zdecydowanie nie dośliczniają.

— Z Zane'em wszystko w porządku. To tylko ja.

Shay oparła się o Tally i objęła ją ramieniem.

— Skąd ten smutek, Chudziaku? Powiedz mi.

— Po prostu — rozejrzała się po przechwalających się Kri— mach — przez to wszystko. No wiesz.

Shay zniżyła głos.

— Zdawało mi się, że dziś poszło nam doskonale.

— Jasne, doskonale.

— Oczywiście dopóki Zane nie wypił zbyt dużo. Tb o to chodzi, tak?

Tally mruknęła coś niewyraźnie, nie chciała okłamywać Shay. W końcu opowie jej o lekarstwie i wyjaśni źródło migren Zane'a.

Shay westchnęła, mocniej obejmując Tally. Przez chwilę obie milczały.

— Chudziaku — spytała w końcu — co się z wami stało tam na górze? No wiesz, kiedy wdrapaliście się na maszt transmisyjny? To was odmieniło.

Tally bawiła się szalikiem okalającym przegub. Żałowała, że nie może opowiedzieć o wszystkim przyjaciółce, lecz informowanie kogokolwiek o istnieniu leku przed opuszczeniem miasta było zbyt ryzykowne.

— Nie wiem, co powiedzieć, Zyzolu. Tam w górze było naprawdę pysznie. Widzisz stamtąd całą wyspę, w każdej chwili możesz spaść. A nawet zginąć. To wiele zmienia.

— Wiem — wyszeptała Shay.

— Co wiesz?

— Jakie to uczucie. Wdrapałam się na maszt. Wymyśliliśmy z Faustem, jak oszukać czujniki, i zeszłej nocy postanowiłam to zrobić. Chciałam być pyszna przed przebitką.

— Poważnie? — Tally spojrzała na nią. W blasku ognia twarz Shay promieniała dumą, klejnoty wszczepione w oczy migotały. Wszyscy Krimowie się zmieniali. Ale jeśli Shay ha— kowała czujniki i wdrapywała się na maszt Valentino, znacznie wyprzedzała pozostałych. — To świetne. I wdrapałaś się tam w nocy?

— To jedyny sposób, odkąd oboje z Zane'em wpadliście. Fausto powiedział, że powinnam założyć kamizelkę bungee, ale chciałam to zrobić tak samo jak wy. Mogłam spaść — zginąć, tak jak mówiłaś. Nawet skaleczyłam się o jeden z kabli. — Z dumą zademonstrowała czerwoną kreskę przecinającą dłoń. Potem jednak umilkła i na jej czole pojawiły się zdecydowanie nieśliczne zmarszczki. — Ale w sumie okazało się to dość rozczarujące.

— Czemu?

— Nie zmieniło mnie tak bardzo, jak sądziłam.

Tally wzruszyła ramionami.

— No cóż, każdy jest inny...

— Pewnie tak — rzekła cicho Shay. — Ale zaczęłam się zastanawiać... Wy nie tylko wspięliście się na maszt, prawda? Tamtego dnia zdarzyło się coś jeszcze, Chudziaku. Wcześniej nigdy nie spotykałaś się z Zane'em. Ale od tego czasu stworzyliście wasz tajny klub. Śmiejecie się z własnych dowcipów i cały czas do siebie szepczecie. Nigdzie nie chodzicie samotnie.

— Zyzolu... — Tally westchnęła. — Przepraszam, jeśli zachowywaliśmy się jak parka. Ale wiesz, pierwszy raz zabuja— łam się jako śliczna.

Shay wpatrywała się w ogień.

— Z początku też tak sądziłam, ale to coś więcej, Tally. Tak bardzo różnicie się od nas, oboje. — Jej głos wzniósł się ponad poziom szeptu. — Zane cierpi na bóle głowy, które próbuje ukryć. A minutę temu to ty krzyczałaś, prawda?

Tally przełknęła ślinę.

— Co was zmieniło tamtego dnia?

Tally wskazała palcem swój przegub.

— Cii.

— Nie uciszaj mnie! Powiedz.

Tally rozejrzała się nerwowo. Ogień pochłaniał kolejne gałęzie, głośno sycząc, Krimowie śpiewali pijackie piosenki. Nikt nie słyszał wybuchu Shay, lecz Tally czuła na przegubie czarny metal bransolety, stale czujnej, nasłuchującej.

— Nie mogę ci powiedzieć, Zyzolu.

— Owszem, możesz. — Twarz Shay zdawała się zmieniać w świetle ognia, narastający gniew pozbawił ją właściwej ślicznym miękkości rysów. — Bo widzisz, Tally, wtedy na maszcie, patrząc z góry na ziemię i zastanawiając się, czy zginę, przypominałam sobie parę rzeczy. A kiedy spadałam wśród odłamków lodu i odbijałam się od boiska, wróciły kolejne wspomnienia. Mnóstwo wspomnień z moich brzydkich czasów. Czyż to nie wspaniałe?

Tally odwróciła się, by nie widzieć grymasu na twarzy przyjaciółki.

— Tak, jasne.

— Cieszę się, że się zgadzasz. Oto co sobie przypominałam: to przez ciebie znalazłam się w mieście, Tally. Wszystkie historie, które opowiadałam, to przegięcie. Tak naprawdę posłaś za mną do Dymu, żeby mnie zdradzić. Zgadza się?

Tally znów to poczuła, ten gwałtowny ból brzucha, jak wtedy gdy między drzewami ujrzała doktor Cable: przyłapaną. Od chwili gdy pigułki zaczęły działać, gdzieś w głębi Tally zdawała sobie sprawę, że w końcu nadejdzie ta chwila. Chwila, w której Shay przypomni sobie, co naprawdę się stało, gdy obie były brzydkie. Nie sądziła jednak, że nastąpi to tak szybko.

— Owszem, poszłam za tobą, żeby sprowadzić cię tutaj. To, co się stało z Dymem, to moja wina, Wyjątkowi trafili tam za mną.

— No właśnie, zdradziłaś nas. Oczywiście po tym, jak odbiłaś mi Davida. — Shay zaśmiała się gorzko. — Niechętnie poruszam ten temat, ale kto wie, czy jutro będę cokolwiek pamiętać. Pomyślałam zatem, że wspomnę o tym, dopóki jestem pyszna.

Tally odwróciła się do niej.

— Będiesz pamiętać.

Shay jedynie wzruszyła ramionami.

— Może. Ale takie numery jak dzisiejszy nie zdarzają się zbyt często. Możliwe, że jutro znów ci się upiecze.

Tally odetchnęła głęboko, wciągając w płuca zapach dymu drzewnego, płonącego torfu, sosnowych igieł i rozlanego szampana. W blasku ognia wszystko wokół było wyraźne jak w dzień, nawet pętle jej własnych odcisków palców. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Spójrz na mnie — rzuciła Shay, jej błyskotataż wirował bardzo szybko, celtyckie spirale zlewały się i rozmywały niczym szprychy koła od roweru. — Powiedz mi, co się stało tamtego dnia. Pomóż mi zostać pyszną. Jesteś mi to winna.

Tally przełknęła ślinę. Obiecali sobie z Zane'em, że nie powiedzą nikomu — jeszcze nie. Ale żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, jak daleko zaszła Shay. Była dość pyszna, by samotnie wspiąć się na maszt i w końcu przypomnieć sobie, co się zdarzyło za ich brzydkich czasów. Z pewnością umie zachować sekret, a informacja o leku przynajmniej da jej nadzieję. Tylko tak Tally mogła choć spróbować naprawić to, co zrobiła. No i Shay miała rację: Tally była jej to winna.

— No dobra, tamtego dnia zdarzyło się coś jeszcze.

Shay kiwnęła głową.

— Tak też sądziłam. Co?

Tally wskazała palcem szalik Shay. Razem ściągnęły go i owinęły ciasno wokół jej przegubu, tworząc kolejną ochronną warstwę nad bransoletą. Tally odetchnęła raz jeszcze i rzekła możliwie najcichszym szeptem:

— Znalezliśmy lekarstwo.

Oczy Shay zwęziły się.

— Chodzi o głodówki, tak?

— Nie. To znaczy, owszem, to pomaga. Głód, kawa, numery, wszystko, co Zane robił od miesięcy. Ale prawdziwy lek jest znacznie prostszy...

— Jaki? Zrobię to.

— Nie możesz.

— Do diabła z tobą, Tally. — Oczy Shay rozbłysły. — Jeśli ty mogłaś to zrobić, to ja także.

Shay pokręciła głową.

— To pigułka.

— Pigułka? Jak witaminy?

— Nie, specjalna pigułka. Croy przywiózł mi ją w noc imprezy w Valentino. Spróbuj sobie przypomnieć, Shay. Zanim razem wróciłyśmy do miasta, Maddy wymyśliła, jak odwrócić działanie operacji. Pomogłaś mi napisać list, pamiętasz?

Twarz przyjaciółki na moment znieruchomiała, a potem Shay zmarszczyła brwi.

— Wtedy byłam już śliczna?

— Zgadza się, kiedy uratowaliśmy cię i ukrywaliśmy się w ruinach.

— Zabawne. Trudniej mi przypomnieć sobie tamten okres niż czasy, gdy byłam brzydka. — Shay pokręciła głową.

— No, w każdym razie Maddy wymyśliła lek, ale był niesprawdzony, niebezpieczny. Nie chciała ci go podać, bo odmówiłaś, wolałaś zostać śliczna. Musiałam zatem się poddać, żeby go sprawdzić. Dlatego tu jestem.

— I Croy przyniósł ci ten lek miesiąc temu?

Tally przytaknęła, ujmując dłoń Shay.

— I on działa. Widziałaś, jak zmienił mnie i Zane'a. Sprawia, że cały czas czujesz się pysznie. Kiedy więc wydostaniemy się stąd, będziesz mogła... — Mina Shay sprawiła, że słowa zamarły jej na ustach. — Co się stało?

— Zażyliście go z Zane'em, oboje?

— Tak, były dwie pigułki, podzieliliśmy się. Bałam się zrobić to sama.

Shay odwróciła się do ognia, cofając rękę.

— Nie wierzę, że to mówisz, Tally.

— Co?

Przyjaciółka gwałtownie obróciła się ku niej.

— Dlaczego z nim? Czemu nie zapytałaś mnie?

— Ale ja...

— Podobno jesteś moją przyjaciółką, Tally. Robiłam dla ciebie wszystko. To ja pierwsza opowiedziałam ci o Dymie, ja przedstawiłam cię Davidowi. A kiedy przybyłaś do Miasta Nowych Ślicznych, pomogłam ci zostać jedną z Krimów. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy podzielić się ze mną lekarstwem? W końcu to twoja wina, że jestem taka.

Tally pokręciła głową.

— Nie było czasu... Nawet nie...

— Nie, oczywiście, że nie — prychnęła Shay. — Ledwie znałaś Zane'a, ale był przywódcą Krimów i związek z nim stanowił następny punkt twojego planu. Tak jak z Davidem w Dymie. To dlatego podzieliłaś się z nim lekiem.

— Nieprawda! — wykrzyknęła Tally.

— Właśnie że prawda. Taka jesteś, Tally. Zawsze taka byłaś! Żaden lek cię nie odmieni — już dawno zdradzałaś ludzi. Nie potrzebowałaś operacji, żeby stać się samolubna, pusta i zakochana w sobie. Już taka byłaś.

Tally próbowała odpowiedzieć, lecz coś strasznego wezbrało jej w gardle, odbierając mowę. Nagle zauważyła, że wokół zapadła cisza, i uświadomiła sobie, iż Shay krzyczała. Pozostali Krimowie patrzyli na nie zdumieni. Słysząc było tylko syk ognia. Śliczni się nie kłócili, nawet się nie sprzecali i z całą pewnością nigdy nie wrzeszczeli na siebie w czasie imprezy. Takie irytujące zachowanie stanowiło wyłączną domenę brzydkich.

Zerknęła na swój przegub, zastanawiając się, czy podniesiony głos Shay przebił się przez warstwę materiału i plastiku. Jeśli tak, wszystko zakończy się jeszcze dzisiaj.

Shay cofnęła się i wyszeptała gorączkowo:

— Być może jutro znów będę śliczna jak dawniej, Tally, ale zapamiętam to, przysięgam. Nieważne, jak słodkimi słówkami cię uraczę, wierz mi, już nie jestem twoją przyjaciółką.

Obróciła się i odeszła między drzewa, miażdżąc pod stopami zmarznięte gałęzie.

Tally rozejrzała się po twarzach pozostałych Krimów. Kieliszki z szampanem w ich dłoniach lśniły ostro w promieniach księżyca, odbijając rozrzutny ogień. Gdy tak na nią patrzyli, czuła się bardzo sama i odsłonięta. Lecz po kilku chwilach upiornej ciszy odwrócili się i znów zaczęli opowiadać sobie historie o przebitce.

Kręciło jej się w głowie. Zmiana, która zaszła w Shay, była tak szokująca, tak całkowita. A przecież Shay nie zażyła pigułki. Kilka minut prawdziwego gniewu z ustępliwej ślicznej zmieniło ją w dzikie zwierzę... To nie miało sensu.

Nagle Tally przypomniała sobie ostatnie słowa doktor Cable o tym, jak Zane pomógł Wyjątkowym Okolicznościom. Po ucieczce przyjaciół musieli zabrać go do niej, by wyznał wszystko, co wiedział o Dymie i tajemniczym Davidzie, zabierającym tam brzydkich. Może właśnie to pozwalało mu pozostać pysznym przez te wszystkie miesiące - wstyd z powodu tego, że nie uciekł, poczucie winy po tym, jak zdradził swoich przyjaciół.

Oczywiście Tally miała własne brzydkie sekrety, dlatego ona także pozostawała pyszna, nie pasując do reszty, niepewna własnych pragnień, bez względu na to, jak wiele szampana wypijała. Stare, brzydkie emocje wciąż czekały ukryte gdzieś w głębi, gotowe ją odmienić.

Shay także uległa przemianie — nie sprawiło tego poczucie winy, lecz tłumiony gniew. Za fasadą ślicznych uśmiechów kryły się wyparte wspomnienia zdrad, które kosztowały ją Davida, Dym i wreszcie wolność. Wystarczyła wspinaczka na maszt i

upadek z lodowiska — co przełamało blokadę Wspomnień — aby ów gniew się ujawnił. I teraz nienawidziła Tally.

Może Shay w ogóle nie będzie potrzebowała pigułek, może dawne wspomnienia z brzydkich czasów wystarczą. Może dzięki wszystkim strasznym rzeczom, jakie zrobiła jej Tally Youngblood, Shay sama odnajdzie własne lekarstwo.

Tally obudziła się wewnętrznie brzydka.

Kiedyś nazywała ten stan umysłu pysznym – szare, poranne światło w jej oczach jaśniało i migotało tak ostro, że cięło do kości. Deszcz bębnił o okna złośliwymi, na wpół zamrożonymi kroplami, postukując niczym zniecierpliwione paznokcie.

Jej jednak nie przeszkadzał deszcz. Fale kropeł przesłaniały iglice i ogrody miasta, ograniczając widok za oknem do szarzielonych plam. Światła apartamentowców rzucały jasne kręgi na mokre szkło.

Ulewa zaczęła się późną nocą i zgasiła ognisko Krimów, zupełnie jakby doktor Cable nakazała niebiosom zakończyć ich świętowanie. Przez następne dwa dni Tally i Zane tkwili uwięzieni w pokoju, nie mogąc rozmawiać swobodnie w inteligentnych ścianach apartamentowca Pulcher. Nie zdołała nawet opowiedzieć mu o wybuchu Shay i dawnych wspomnieniach ani o spotkaniu z doktor Cable w lesie. Fakt, nie miała specjalnej ochoty przyznawać się, co wyznała Shay, ani wspominać o słowach Cable dotyczących przeszłości Zane'a.

Ten ranek przyniósł ze sobą kolejną serię pingów, lecz Tally czuła, że nie znieśie już ani jednej więcej prośby o przyjęcie do Krimów. Wypadek na stadionie i ostatnie dwa dni ich obecności w wiadomościach uczyniły z nich najgorętszą ekipę w Mieście Nowych Ślicznych. Lecz banda nowych członków była dokładnie tym, czego Krimowie nie potrzebowali. Musieli pozostać pyszni. Tally martwiła się jednak, że trzy dni deszczowego odosobnienia tak bardzo ich zanudzą, iż ich umysł z powrotem staną się śliczne.

Zane już się obudził; sączył kawę i wyglądał przez okno, z roztargnieniem obracając bransoletę jednym palcem. Gdy Tally się poruszyła, zerknął na nią, ale nie odezwał się. Cisza panująca między nimi od czasu założenia bransolet sprawiała wrażenie tajnego porozumienia. Ale Tally zastanawiała się, czy przypadkiem ów brak rozmów nie oddała ich od siebie. Co do jednego Shay miała rację: Tally ledwie знаła Zane'a, nim oboje wdrapali się na maszt. Słowa doktor Cable uświadomiły jej, że wciąż niezbyt dobrze go zna.

Gdy jednak pozbędą się bransolet i znajdą poza miastem, ze wspomnieniami uwolnionymi z okowów śliczności, nic ich nie powstrzyma przed opowiedzeniem sobie wszystkiego.

-- Przegięta pogoda, co? – zagadnęła.

- - Jeszcze parę stopni mniej i zacznie padać śnieg.

Tally rozpromieniła się.

-- O tak, śnieg byłby zabójczo dośliczniający. – Wyłowiła ze stosu brudny podkoszulek, zwinęła i rzuciła mu w głowę. – Bitwa na śnieżki!

- Zane pozwolił, żeby koszulka odbiła się od niego. Uśmiechał się łagodnie. Migrena z dnia przyjęcia minęła, pozostawiła go jednak w poważnym nastroju. Nie potrzebowali słów, by wiedzieć, że wkrótce będą musieli uciec z miasta.

Wszystko sprowadzało się do bransolet.

Tally pociągnęła swoją na próbę. Bransoleta przesunęła się z przegubu na dłoń i utknęła zaledwie kilka centymetrów przed jej końcem. Poprzedniego dnia Tally prawie nic nie jadła; postanowiła, że się zagłodzi, byle tylko zdjąć to paskudztwo. Zastanawiała się jednak, czy kiedykolwiek będzie wystarczająco chuda. Wydawało się, że bransoleta ma obwód odrobinę mniejszy niż szerokość kości jej dłoni, którego to wymiaru nie zmieni żadna głódówka.

Zaczęła oglądać czerwone ślady pozostawione przez metal. Największym problemem była wielka kość stawu lewego kciuka. Tally ujrzała oczyma duszy, jak odciąga kciuk w tył tak mocno, że złamie kość i pozwala zsunąć się bransolecie. Nie potrafiła sobie wyobrazić niczego bardziej bolesnego.

Od strony drzwi dobiegł ping. Westchnęła. Ktoś miał dosyć ignorowania go i zjawił się osobiście.

-- Nie ma nas, prawda? – rzekł Zane.

-- Nie, jeśli na zewnątrz czeka Shay albo jakiś ambitny kandydat na Krima. -- W gruncie rzeczy nie miała ochoty widzieć się z nikim, ale ping zabrzmiał ponownie. -- Kto to w ogóle jest? -- spytała, zwracając się do pokoju, ten jednak nie wiedział, co oznaczało, że przybysz nie ma na sobie obrączki interfejsowej.

- -- To... ciekawe -- rzucił Zane.

Przez chwilę patrzyli po sobie i Tally wyczuła chwilę, gdy ciekawość przezwyżyła niechęć.

- -- No dobra, otwórz się -- poleciła pokojowi.

Drzwi rozsunęły się, ukazując Fausta. Wyglądał jak kociak wyciągnięty z rzeki -- mokre włosy lepiły się do głowy, ubranie ociekało wodą, lecz oczy lśniły jasno. Pod pachami dźwigał dwie deskolotki. Z nich także ściekały krople wody.

Bez słowa wszedł do pokoju i rzucił deski, które drząc, zatrzymały się na wysokości kolan. Fausto tymczasem wyładował z kieszeni cztery bransolety bezpieczeństwa i dwa czujniki pępkowe. Wziął jedną z desek i obrócił, wskazując panel na spodzie. Tally zsunęła się z łóżka, żeby spojrzeć z bliska. Śruby zabezpieczające panel zostały zdjęte, z otworów wysuwały się dwa czerwone przewody o skręconych końcówkach zaklejonych czarną taśmą. Fausto gestami pokazał, jak rozplata przewody, po czym rozprostował dłonie jakby mówił „gdzie to jest?”. Uśmiechnął się szeroko.

Tally przytaknęła. Fausto wciąż pozostawał pyszny po przebitce, jego tatuaż wirował. On przynajmniej nie zmarnował ostatnich deszczowych dni i nocy. Deski zostały przerobione w stylu brzydkich. Odłączenie przewodów powodowało awarię czujników i ograniczników i uwalniało deskę z interfejsu miasta.

Kiedy Zane i Tally pozbędą się bransolet, będą mogli polecieć, gdzie tylko zechcą.

- -- Super -- rzekła głośno, nie dbając o to, czy ściany usłyszą.

- Nie czekali na słońce.

Latanie w deszczu przypominało stanie pod lodowatym prysznicem. Dziura w ścianie wyrzuciła z siebie gogle i przyczepne buty, mogli zatem z pewnym trudem utrzymać się na deskach. Ociekający wodą zimowy płaszcz Tally lepił jej się do ciała w porywach wiatru, który zrywał jej z głowy kaptur i na każdym zakręcie groził wywrotką.

Nie straciła jednak odruchów ze swoich brzydkich czasów. Wręcz przeciwnie, operacja poprawiła jej równowagę, a niemal marzący deszcz chronił umysł przed powrotem do stanu ślicznomózgowia, nawet przy włączonym maksymalnym ogrzewaniu płaszcza. Serce waliło jej w piersi, szczękała zębami, lecz umysł miała krystalicznie czysty.

Wraz z Zane'em pomknęli w stronę rzeki tuż nad drzewami, podążając krętą ścieżką parku Denzela. Gałęzie tańczyły pod nimi na wietrze, niczym wymachujące ręce próbujące ich pochwycić i ściągnąć w dół. I gdy Tally nachylała się podczas zakrętów, tnąc powietrze dłońmi, opuścili ją resztki porannego otumanienia. Ciężar czujnika przypiętego do kolczyka w pępku -- informującego deskę o położeniu środka ciężkości -- przebudził wspomnienia o wyprawach do Rdzawych Ruin z Shay, przypominając, jak łatwo brzydacy mogli wykraść się z miasta.

Tylko natrętna obecność bransolety interfejsowej psuła jej humor. Bransolety bezpieczeństwa były dość duże, by nakryć metalowy pierścień powierzchnią z miękkiego, inteligentnego plastiku. Lecz Tally wciąż wyobrażała sobie inteligentne kajdany wrzynające się w ciało.

Dotarli do rzeki i skręcili nad nią, przemykając pod mostami. Jej deska muskała spienione, niewysokie fale wzburzone przez wiatr. Śmiejąc się szaleńczo, Zane wyprzedził Tally i zahaczył tyłem deski o wodę, rozbryzgując w powietrze deszcz kropel.

Tally przykucnęła na swojej desce, by uniknąć prysznica, po czym pochylając się, wystrzeliła do przodu. Przecięła ścieżkę Zane'a i uderzyła w rzekę końcem deski, wzbijając w powietrze ścianę wody. Usłyszała, jak Zane przelatuje przez nią z radosnym okrzykiem.

Przemoczona i zdyszana zastanawiała się, czy tak właśnie czują się Wyjątkowi -- wyostrzone zmysły, każda chwila pełna napięcia i intensywne, ciało niczym idealnie nastrojony mechanizm. Przypomniała sobie, że według Maddy i Aza Wyjątkowi nie mieli skaz -- byli wyleczeni.

Oczywiście istniała też cena bycia Wyjątkowym – drobna kwestia nowej twarzy: wilczych zębów i zimnych, matowych oczu budzących ogólne przerażenie. Lecz nawet wygląd rodem z horroru był niczym w porównaniu z pracą dla Wyjątkowych Okoliczności – tropieniem brzydkich uciekinierów i niszczeniem każdego, kto mógł zagrozić miastu.

A co, jeśli operacja Wyjątkowych w jakiś sposób odmienia też umysł – zamiast otępienia wywołuje posłuszeństwo? Wyjątkowi, obdarzeni niezwykłą siłą i szybkością, bez trudu mogliby uciec z miasta. Może jednak podczas operacji w ich ciała wszczepiano coś w rodzaju bransolety, coś, co zawsze informowało o ich miejscu pobytu?

Krople wody na twarzy przypomniały Tally, że powinna skupić się na zabawie. Wyprysnęła wysoko w powietrze, przelatując nad mostkiem. W dole Zane rozglądał się niepewnie, próbując odgadnąć, gdzie zniknęła.

Tally opadła tuż przed nim, uderzając o rzekę z odgłosem przypominającym plaśnięcie dłonią w twarz. Tym razem rozbryzg przypominał eksplozję. Natychmiast jednak zorientowała się, że uderzyła za szybko. Przy tej prędkości woda była twarda jak beton. W chwili zderzenia jej stopy ześliznęły się i Tally poczuła, że spada...

Przez moment leciała swobodnie, a potem zareagowały bransolety bezpieczeństwa, okrutnie ściskając przeguby dłoni i unosząc ją bezpiecznie w powietrzu.

Zastygła, zanurzona po pas w zamarzającej wodzie, zawieszona za ręce, i z krzykiem odkryła całkiem nowy poziom przemoczenia. Ucieszyło ją jednak odkrycie, że Zane po jej ataku także wylądował w wodzie.

– To był naprawdę pyszny manewr, Chudziaku – zawołał, wciągając się z powrotem na deskę.

Zbyt zdyszana, by odpowiedzieć, wczołgała się na swoją i ze śmiechem położyła na brzuchu. Oboje bez słowa pomknęli na brzeg odetchnąć.

Na błotnistym brzegu przytulili się do siebie, próbując się rozgrzać. Serce wciąż waliło jej w piersi. Przed sobą widzie li szeroką wstęgę rzeki w deszczu, migoczącej niczym pole srebrzystych kwiatów.

- – Jak pięknie.

Tally próbowała sobie wyobrazić, jak by to było wędrować z Zane'em w głuszy, czuć się tak każdego dnia, uwolnić się od otępiających ograniczeń narzucanych przez miasto.

Zabolał ją przegub.

Zsunęła bransoletę bezpieczeństwa, by sprawdzić, co się stało. Podczas wywrotki metalowa obręcz wbiła jej się w skórę. Tally pociągnęła, lecz nawet na mokrej dłoni bransoletka zatrzymała się tam gdzie zawsze.

- – Ciągle nie schodzi – mruknęła.

Zane wziął ją za rękę.

- – Nie przesadzaj, Tally. – Zakrył bransoletę płaszczem i wyszeptał: – Tylko spuchnie ci od tego ręka.

Tally zakłęła, naciągając kaptur. Deszcz bębnił o plastik niczym niecierpliwe palce atakujące jej głowę.

- – Myślałam, że może woda...

- – Nie, oziębiony metal się kurczy, są więc pewnie ciąś – niejsze niż zwykle.

Tally spojrzała na Zane'a, unosząc brwi.

- – Czyli kiedy się rozgrzewają, stają się większe?

Przez chwilę milczał, a potem wyszeptał tak cicho, że ledwie go słyszała pośród szumu deszczu.

- – Gdyby naprawdę się rozgrzały, pewnie stałyby się nieco większe.

- – O ile?

Prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami pod grubym, zimowym płaszczem, jednak wyraźnie zainteresował go ten problem.

- – Jak wysoką temperaturę potrafisz znieść?

- – Nie mówisz o świecy, prawda?

Zane pokręcił głową.

- - O czymś znacznie gorętszym, nad czym moglibyśmy panować, żeby nie usmażyć sobie rąk. Ale i tak byśmy się poparzyli.

Tally z westchnieniem przyjrzała się wyrzuczeniu pod rękawem.

- - Lepsze to niż połamanie sobie kciuka.

- - Co takiego?

- - Tak tylko... - Głos uwiązał jej w gardle.

Zane podążył wzrokiem za spojrzeniem Tally. Z drugiego brzegu rzeki obserwowały ich dwie postacie na deskolotkach. Kaptury kurtek nie pozwalały dojrzeć ich twarzy.

Tally z trudem opanowała głos.

- - Dymiarze?

Zane pokręcił głową.

- - To kurtki domów.

- - Co miejscy brzydcy robią na dworze w taką pogodę?

Wstał.

- - Może powinniśmy zapytać.

Na brzegu od strony Brzydalowa cała czwórka zebrała się pod płachtą brezentu przykrywającą recykler papieru, chroniąc się przed wzrokiem mieszkańców i deszczem. Tally z radością zauważyła, że dwoje brzydkich nie ma obrączek — interfejs miasta nie zarejestruje ich spotkania.

— To naprawdę ty, Tally? — wyszeptała dziewczyna.

— Hm, tak. Poznajesz mnie z wiadomości?

— Nie! To ja, Sussy. A to jest Dex — dodała. — Nie pamiętasz nas?

— Przypomnij mi.

Dziewczyna wpatrywała się w nią bez słowa. Na szyi miała prymitywny cienki pasek ze skóry, wyglądał jak rodem z Dymu — zrobiony ręcznie, wyblakły, pociemniały ze starości. Skąd go wzięła?

— Pomogliśmy ci z napisem NOWY DYM ŻYJE. Pamiętasz? — podsunął chłopak. — Kiedy jeszcze byłaś... brzydka.

W umyśle Tally powoli pojawił się obraz: wielkie, płonące litery, mające odwrócić uwagę strażników, gdy włamali się z Davidem do siedziby Wyjątkowych Okoliczności. Tych dwoje to brzydki, którzy zorganizowali ten numer, a potem pomogli im się ukryć w Rdzawych Ruinach, przynosząc z miasta wieści i zapasy i robiąc nowe numery, by zając czymś opiekunów i Wyjątkowych.

— Faktycznie nas zapomniałaś — rzekł Dex. — Zatem to prawda. Oni robią coś z waszymi mózgami.

— Owszem, to prawda — odparł Zane. — Ale proszę, mówcie trochę ciszej.

Deszcz huczał niczym silnik odrzutowca, tłukąc o plastikową płachtę. Z trudem się słyszeli. Trzeba było przypomnieć brzydkim, by zniżyli głos. Wzrok Deksa powędrował ku przegubowi Tally, okolonemu bransoletą bezpieczeństwa i szalikiem, jakby nie wierzył, że pod spodem naprawdę kryje się bransoleta interfejsowa.

— Przepraszam.

Gdy jego spojrzenie znów padło na jej twarz, Dex nie mógł ukryć zdumienia z powodu przemiany Tally. Sussy milczała — chłonęła każde słowo. Nagle Tally poczuła się nieco skrępowana i dziwnie potężna. Wyraźnie widziała, że tych dwoje zrobiłoby wszystko, o co tylko by ich z Zane'em poprosili. Gdy miała uśliczniony mózg, uważała, że zasługuje na taki podziw. Lecz teraz wzbudził w niej osobliwy wstyd.

Szczęśliwie rozmowa z dwojgiem brzydkich okazała się mniej niezręczna, niż można by sądzić. Nieśliczne myśli Tally z ostatniego miesiąca pomogły jej przywyknąć do niedoskonałych twarzy, które już nie przerażały jej tak jak przy pierwszym

zatknięciu z Croyem. Wąska szpara między dwoma przednimi zębami Sussy wydawała się bardziej urocza niż szpetna i nawet pryszcze na skórze Deksa nie wzbudziły w niej odrazy.

— Ale uszkodzenia nie były trwałe — mówił Zane. — Zaczynamy się robić mądrzejsi. O czym, dodam przy okazji, nie powinniście rozpowiadać. Jasne?

Obydwoje tępo przytaknęli. Tally zastanawiała się, czy aluzja do leku w rozmowie z przypadkowymi brzydkimi jest warta ryzyka. Choć z drugiej strony zapewnienie sobie pomocy Sussy i Deksa mogło okazać się najszybszą metodą przekazania wiadomości do Nowego Dymu.

— Jakie są wieści z ruin? — spytała.

Sussy nachyliła się bliżej, pamiętając, że musi szeptać.

— Dlatego właśnie przyszliśmy tutaj. Jak nam wiadomo, Nowodymiarze zniknęli bez śladu. Aż do wczoraj.

— Co się stało wczoraj? — spytała Tally.

— Od czasu ich zniknięcia co jakiś czas w nocy wyprawialiśmy się do ruin — wyjaśnił Dex. — Sprawdzaliśmy stare miejsca, zapalaliśmy flary. Ale przez cały miesiąc niczego nie widzieliśmy.

Tally i Zane spojrzeli po sobie. Właśnie miesiąc wcześniej Croy zostawił pigułki dla Tally. Zapewne nie był to przypadek.

— Lecz zeszłej nocy w starej kryjówce coś znaleźliśmy — oznajmiła Sussy. — Wypalone zimne ognie i stare pisma.

— Stare pisma? — powtórzyła Tally.

— Tak. Z czasów Rdzawców, te pokazujące, jak brzydcy byli kiedyś wszyscy ludzie — wyjaśniła Sussy.

— Nie sądzę, by Nowodymiarze zostawili je ot tak — powiedziała Tally. — To cenny zabytek. Znałam kogoś, kto oddał życie, żeby je ocalić. Czyli musieli wrócić.

— Ale nie pokazują się — dodał Dex. — Nie chcą ryzykować.

— Dlaczego? — spytał cicho Zane. — I jak długo?

— Skąd mamy wiedzieć? — rzekł Dex. — Dlatego właśnie tu przyszliśmy. Zamierzaliśmy przekraść się w deszczu do miasta i znaleźć ciebie, Tally. Pomyśleliśmy, że może coś wiecie.

— Po tym, jak pokazali was we wszystkich wiadomościach, odgadliśmy, że coś się dzieje — dodała Sussy. — Ten wypadek na stadionie to był numer, prawda?

— Cieszę się, że zauważyliście — mruknęła Tally. — Nowodymiarze też mieli zauważyć i najwyraźniej zwróciliśmy ich uwagę.

— Podejrzewaliśmy, że coś o tym wiesz — rzekła Sussy. — Zwłaszcza po tym, jak natknęliśmy się tu, w Brzydaluwie, na kilkoro waszych ślicznych przyjaciół.

Tally zmarszczyła brwi.

— Śliczni? Tutaj?

— Tak, w parku Kleopatry. Niektórych poznałam z wiadomości, to chyba Krimowie. Wasza ekipa, zgadza się?

— Tak, ale...

Sussy uniosła brwi.

— Nie wiedziałaś?

Tally pokręciła głową. Przez ostatnich parę dni odebrała kilka pingów od innych Krimów. Najczęściej skarżyli się w nich na deszcz. Ale nikt nie wspominał ani słowem o wycieczce do Brzydalowa.

— Co oni kombinowali? — spytał Zane.

Dex i Sussy spojrzeli po sobie z nieszczęśliwymi minami.

— Hm, tak naprawdę nie wiemy — odparła Sussy. — Nie chcieli z nami rozmawiać, przegonili nas.

Tally powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. Ślicznym wolno było odwiedzać ten brzeg rzeki — mogli bywać wszędzie w całym mieście — ale nigdy nie zaglądali do Brzydalowa. Co oznaczało, że park Kleopatry to znakomite miejsce dla ślicznych, którzy pragną spokoju i odrobiny prywatności, zwłaszcza w ulewnym deszczu. Ale po co?

— Nie mówiłaś wszystkim, żeby przez jakiś czas się nie wychylali? — spytał Zane.

— Owszem, mówiłam. — Tally zastanawiała się, kto z Krimów za tym stoi. I o co w tym chodzi. — Zabierzcie nas tam — poprosiła.

*

* *

Sussy i Dex poprowadzili ich w stronę parku, lecąc powoli w ulewnym deszczu. Tally, domyślając się, że ktoś kontroluje położenie bransolet, poprosiła, by wybrali okrężną drogę. Trasa wiodła przez na wpół zapomniane miejsca z dzieciństwa: domy i szkoły brzydkich, ociekające wodą parki i puste boiska piłkarskie.

Mimo ulewy nie wszyscy brzydce ukryli się pod dachem. Kilko kolejno zjeżdżało ze stoku wzgórza, taplając się w błocie do wtóru radosnych krzyków. Inni grali w berka na dziedzińcu jednego z domów — ślizgali się, padali i kończyli tak samo ubłoceni jak pierwsi. Wszyscy zbyt dobrze się bawili, by dostrzec przemykającą cicho czwórkę deskarzy.

Tally zastanawiała się, czy jako brzydka bawiła się równie dobrze. Z tamtych czasów pamiętała tylko pragnienie, by stać się śliczną, przenieść się na drugą stronę rzeki i zostawić to wszystko za sobą. Teraz, szybując nad ziemią, z doskonałą twarzą

ukrytą pod kapturem, czuła się niczym wskrzeszony duch, który zazdrośnie obserwuje żywych i próbuje sobie przypomnieć, jak to jest być jednym z nich.

Park Kleopatry, położony wysoko w paśmie zieleni na skraju Brzydalowa, okazał się pusty. Ścieżki zamieniły się w wąskie strumyczki deszczówki spływającej w stronę wezbranej rzeki. Zwierzęta także się pochowały, z wyjątkiem kilku nieszczęśliwych ptaków, przycupniętych na gałęziach wyniosłych sosen, które ugiwały się pod ciężarem wody.

Sussy i Dex doprowadzili ich na polanę oznakowaną slalomowymi chorągiewkami. Tally natychmiast ją rozpoznała.

— To jedno z ulubionych miejsc Shay. Tu właśnie nauczyła mnie latać na desce.

— Shay? — zdziwił się Zane. — Ale przecież uprzedziłaby nas, gdyby planowała jakiś numer?

— No, może nie — odparła cicho Tally. Od czasu kłótni nie dostała ani jednego pinga od Shay. — Zamierzałam ci powiedzieć, Zane. W tej chwili jest na mnie trochę wkurzona.

— Rany — mruknęła Sussy. — Zdawało mi się, że wszyscy śliczni się lubią.

— Zazwyczaj tak. — Tally westchnęła. — Witajcie w nowym świecie.

Zane zmrużył oczy.

— Chyba musimy z Tally porozmawiać. — Zerknął na Sussy i Deksa.

Trzeba było chwili, żeby zrozumieli, o co mu chodzi.

— Tak, jasne — rzuciła szybko Sussy. — Już znikamy. Ale co będzie, jeśli...

— Jeśli Nowodymiarze znów się pokażą, przyślij mi pinga — wtrąciła Tally.

— Miasto nie czyta waszej poczty?

— Pewnie czyta. Nie mów nic poza tym, że widziałas nas w wiadomościach i kiedy skończysz szesnaście lat, chcesz zostać Krimką. Prawdziwą wiadomość zostaw ukrytą pod tamtym recyklerem, a ja przyślę po nią kogoś. Jasne?

— Jasne. — Sussy uśmiechnęła się, odsłaniając szczerbę między zębami.

Tally zgadywała, że odtąd oboje, nie bacząc na deszcz, co noc będą odwiedzać ruiny, szukając Nowodymiarzy, szczęśliwi, że znów mają zadanie do spełnienia.

Obdarzyła ich ślicznym uśmiechem.

— Dziękuję za wszystko.

*

* *

Tally i Zane po odejściu brzydkich przez minutę siedzieli w milczeniu, z gęstej kępy drzew obserwując polanę. Plastikowe chorągiewki slalomowe opadały żałośnie w deszczu, wiatr ledwie nimi poruszał. W niektórych miejscach zbierała się woda, płytkie kałuże odbijały szare niebo niczym falujące lustra. Tally przypomniła sobie, jak —

jeszcze jako brzydka — leciała między chorągiewkami na desce, ucząc się skręcać i zawracać. Wtedy były z Shay przyjaciółkami...

Nie potrafiła zgadnąć, po co Shay miałyby odwiedzać to miejsce. Może to nic ważnego, jedynie kilkoro Krimów trenujących na deskach w przekonaniu, że to świetny sposób zachowania pysznego nastroju. Nic ważnego.

I gdy tak siedzieli, zrozumiała, że skończyły je) się wymówki pozwalające ukryć przed Zane'em prawdę. Czas przyznać, co zrobiła z Dymem i że opowiedziała Shay o leku. Najwyższy czas wspomnieć o tym, co doktor Cable powiedziała jej o Zanie. Lecz Tally wcale nie cieszyła perspektywa tej rozmowy, a zimno i deszcz nie ułatwiały sprawy. Już wcześniej podkreśliła ogrzewanie płaszcza do maksimum. Pyszny nastrój po locie na desce minął, zastąpił go gniew na samą siebie. Czemu czekała tak długo? Wiecznie obecne bransolety za bardzo ułatwiały unikanie niewygodnych tematów.

— Co właściwie stało się z tobą i Shay? — Zane wciąż mówił cicho, lecz w jego głosie dźwięczała nutka irytacji.

— Zaczęła odzyskiwać wspomnienia. — Tally wbiła wzrok w błotnistą kałużę, patrząc, jak krople przenikające przez gałęzie mokrych sosen pozostawiają kręgi na powierzchni. — Wczorajem po przebitce strasznie się na mnie wściekła. Uważa, że to moja wina, że Wyjątkowi znaleźli Dym. I chyba faktycznie ma rację. Zdradziłam ich.

— Domyśliłem się. — Zane pokiwał głową. — Wszystkie te wasze historie, jeszcze sprzed zażycia leku, o tym, jak uratowałaś ją z Dymu, brzmiały jak upiększona wersja zdrady.

Tally spojrzała na niego.

— Ty wiedziałeś?

— Ze udałaś się tam pod przykrywką jako agentka Wyjątkowych Okoliczności? Zgadłem.

— Och! — Tally nie wiedziała, czy powinna się wstydić, czy czuć ulgę. Zane także współpracował z doktor Cable, może zatem rozumiał. — Nie chciałam tego zrobić, Zane. To znaczy z początku polecałam tam, żeby sprowadzić Shay z powrotem i zostać śliczną. Ale potem zmieniłam zdanie. Chciałam zostać w Dymie. Próbowалам zniszczyć nadajnik, lecz przypadkiem go uruchomiłam. Nawet jeśli starałam się postąpić jak należy, zdradziłam.

Zane spojrzał wprost na nią, jego oczy załśniły w cieniu kaptura.

— Tally, nami wszystkimi manipulują ludzie kierujący tym miastem. Shay powinna to wiedzieć.

— Niestety, to jeszcze nie koniec — rzekła Tally. — Odbiłam jej też Davida. Wtedy kiedy mieszkaliśmy w Dymie.

— A, znów on. — Zane pokręcił głową. — Czyli w tej chwili jest na ciebie ostro wkurzona. Przynajmniej dzięki temu pozostanie pyszna.

— Tak, naprawdę pyszna. — Tally przełknęła ślinę. -1 jeszcze jedna rzecz strasznie ją zdenerwowała.

Czekał w milczeniu, deszcz ściekał z jego kaptura.

— Powiedziałaś jej o leku.

— Co takiego? — Szept Zane'a zabrzmiał w jej uszach ostro jak syk rozgrzanej pary.

— Musiałam. — Tally błagalnie rozłożyła ręce. — I tak już częściowo sama się domyśliła. Uważała, że zdoła się wyleczyć. Wdrapała się na maszt w Valentino, tak jak my, myśląc, że właśnie to nas zmieniło. Ale oczywiście nie zadziałało, nie tak jak pigułki. Cały czas pytała, co się z nami stało, mówiła, że jestem jej to winna po tym, co zrobiłam w brzydkich czasach.

Zane zaklął pod nosem.

— I opowiedziałas jej o pigułkach? Super. Jeszcze jedna rzecz, która może pójść nie tak.

— Ale ona jest totalnie pyszna, Zane. Nie przypuszczam, by komukolwiek powtórzyła. — Tally wzruszyła ramionami. — Przeciwnie, na wieść o pigułkach tak się wściekła, że pewnie pozostanie pyszna do końca życia.

— Wściekła? Bo ty się wyleczyłaś, a ona nie?

— Nie. — Tally westchnęła. ~ Bo ty się wyleczyłeś.

— Co?

— Byłam jej coś winna, ale to ty dostałeś drugą pigułkę.

— Ale przecież nie miałaś czasu...

— Ja to wiem, Zane. Ale ona nie. Dla niej to wygląda jak...

Pokręciła głową i poczuła gorące łzy napływające do oczu.

Tak bardzo zmarzła, że z wolna drętwiały jej palce. Zaczęła dygotać.

— Już dobrze, Tally. — Zane ujął jej dłoń i uściśniął mocno przez grubą rękawiczkę.

— Nie słyszałeś jej, Zane. Ona mnie nienawidzi.

— Posłuchaj, bardzo mi przykro. Ale cieszę się, że to byłem ja.

Uniosła wzrok, patrząc na niego przez łzy.

— Chcesz powiedzieć: „Dzięki za bóle głowy”.

— To lepsze niż ślicznomózgowie, ale nie o to mi chodziło. W tamten dzień stało się coś jeszcze. Nie tylko dowiedzieliśmy się o istnieniu pigułek. Cieszę się z powodu... ciebie i mnie.

Zerknęła na niego i przekonała się, że się uśmiecha. Jego palce, wciąż splecione z jej, także drżały z zimna. Tally zdołała uśmiechnąć się przez łzy.

— Ja też.

— Nie pozwól Shay zepsuć tego, co mamy, Tally.

— Oczywiście. — Pokręciła głową i zrozumiała, że mówiła szczerze.

Nieważne, co sądziła Shay, Zane był właściwą osobą do podzielenia się lekiem. Pomógł jej pozostać pyszną, naciskał, żeby pokonała kolejne przeszkody pozostawione przez Dy— miarzy, żeby zażyła nieprzetestowane pigułki. Tamtego dnia Tally znalazła coś więcej niż tylko lek na ślicznomózgowie — znalazła kogoś, z kim mogła iść naprzód, zostawić za sobą wszystko, co zdarzyło się zeszłego lata.

Kiedy byli maluchami, Peris obiecał, że na zawsze pozostanie jej najlepszym przyjacielem — lecz w dniu, gdy skończył szesnaście lat, zostawił ją samą w Brzydalowie. Potem Tally utraciła przyjaźń Shay, bo zdradziła ją Wyjątkowym Okolicznościom i odbiła jej Davida. Teraz David także ją opuścił, zniknął gdzieś w głuszy, po części wymazany z jej pamięci. Nie chciało mu się nawet dostarczyć jej pigułek — zostawił to Croyowi. Tally wiedziała, co to znaczy. Ale Zane...

Spojrzała wprost w jego doskonałe, złote oczy. Był z nią teraz, tutaj, we własnej osobie. Jak mogła pozwolić, by to, co ich łączyło stało się częścią jej pokręconej przeszłości?

— Powinam ci wcześniej powiedzieć o Shay, ale inteligentne ściany...

— W porządku. Pamiętaj jednak, że możesz mi ufać. Zawsze.

— Wiem. — Oburącz uścisnęła jego dłoń.

Pogładził palcami jej twarz.

— Tamtego dnia tak naprawdę niezbyt dobrze się znaliśmy.

— Po prostu zaryzykowaliśmy. Dziwne, jak się to ułożyło.

Zaśmiał się.

— Myślę, że zawsze tak się układa, choć zazwyczaj bez tajemniczych pigułek czy Wyjątkowych Okoliczności walących do drzwi. Ale to zawsze ryzyko, kiedy... całujesz kogoś nowego.

Tally przytaknęła i pochyliła się, ich usta zetknęły się w niespiesznym, magicznym pocałunku w lodowatym deszczu. Czuła, jak Zane drży. Błoto pod ich stopami było zimne, lecz ich kaptury złączyły się, przesłaniając świat i tworząc przestrzeń, która ogrzała się od połączonych oddechów.

— Tak się cieszę, że to ty byłeś ze mną tamtego dnia — wyszeptała Tally.

— Ja też.

— Ja... Ach! — Cofnęła się, wycierając twarz.

Strużka wody wniknęła pod kaptur Tally i spłynęła po policzku niczym zimna, złowieszcza łza.

Zane zaśmiał się i wstał, dźwigając ją na nogi.

— Chodź, nie możemy tu zostać wiecznie. Wracajmy do Pulchra. Zamówimy śniadanie i suche ubrania.

— Nie było mi źle.

Uśmiechnął się, wskazał jednak palcem przegub ręki i zniżył głos.

— Jeśli będziemy tu siedzieć zbyt długo, ktoś może się zainteresować, dlaczego spędzamy tyle czasu w Brzydalowie i co się tu dzieje.

— Cokolwiek to jest — dodała szeptem.

Zane miał rację, powinni wrócić do domu. Przez cały dzień nie mieli w ustach niczego oprócz kilku znikaczy kalorii i paru kubków kawy. Zimowe płaszcze wciąż grzały, lecz połączenie fizycznego wysiłku towarzyszącego lotowi na desce i wstrząsu po upadku do lodowatej rzeki sprawiło, że Tally zaczęła czuć w kościach zmęczenie i chłód. Głód, zimno i pocałunek mąciły jej w głowie.

Zane pstryknął palcami i jego deska uniosła się w powietrze.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała cicho Tally. — Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnam ci powiedzieć. Tamtej nocy przebitki...

— Tak?

— Po tym, jak odprowadziłam cię do domu...

Na myśl o drapieżnej twarzy doktor Cable Tally zadrżała. Odetchnęła głęboko. Jakaż była głupia, że wcześniej nie wyciągnęła Zane'a z domu, daleko od inteligentnych ścian apartamentowca Pulcher i nie powiedziała o spotkaniu z panią doktor. Nie chciała mieć przed nim żadnych tajemnic.

— Co się stało, Tally?

— Czekala już na mnie — rzekła. — Doktor Cable.

Twarz Zane'a na moment stężała, potem powoli pokiwał głową.

— Pamiętam ją.

— Pamiętasz?

— Raczej trudno ją zapomnieć — Zane umilkł, patrząc w głąb polany. Tally zastanawiała się, czy powie coś więcej.

W końcu znów się odezwała.

— Złożyła mi bardzo dziwną propozycję. Chciała wiedzieć, czy...

— Cii — syknął.

— Co się...? — zaczęła, lecz Zane uciszył ją dłonią w rękawiczce.

Obrócił się i przykucnął w błocie, pociągając ją za sobą. Spomiędzy drzew wyłoniła się grupka ludzi i wmaszerowała na polanę. Poruszali się wolno, opatuleni w niemal identyczne zimowe stroje. Lewe przeguby ich dłoni okrywały czarne szaliki. Tally natychmiast rozpoznała jedną osobę o jasnych, miedzianych oczach i błyskotatużu

wirującym na deszczu. To była Shay.

Tally naliczyła ich w sumie dziewięcioro, maszerujących z milczącą determinacją po błotnistej ziemi. Dotarli na środek polany i ustawili się w szerokim kręgu wokół jednej z chorągiewek. Shay wystąpiła na środek, obróciła się powoli, przyglądając się pozostałym spod kaptura. Reszta stanęła w równych, niewielkich odstępach. Czekali w milczeniu, obserwując Shay.

Ta długo stała nieruchomo, po czym zrzuciła na ziemię zimowy płaszcz, ściągnęła rękawiczki i rozłożyła ręce. Miała na sobie jedynie spodnie, białą koszulkę bez rękawów i fałszywą metalową bransoletę na lewym przegubie. Odchyliła głowę, wystawiając twarz na ulewny deszcz.

Tally zadrżała, ciaśniej opatulając się płaszczem. Czyżby Shay próbowała zamarznąć na śmierć?

Przez chwilę pozostali trwali w bezruchu. A potem powoli, patrząc po sobie, niezręcznie poszli w jej ślady, ściągając płaszcze, rękawiczki i swetry. Gdy odsłonili twarze, Tally rozpoznała jeszcze dwóch Krimów. Był tam Ho — jeden z dawnych przyjaciół Shay, który uciekł do Dymu tylko po to, by samemu wrócić do miasta. Tally poznała także Tach— sa, który dołączył do ekipy parę tygodni przed nią.

Lecz pozostała siódemka ślicznych nie należała do Krimów. Ostrożnie złożyli płaszcze na ziemi, kuląc się i drżąc z zimna. Gdy Ho i Tachs rozpostarli ramiona, inni niechętnie zrobili to samo. Deszcz spływał im po twarzach, biały materiał koszulek lepił się do ciał.

— Co oni robią? — wyszeptał Zane.

Tally jedynie pokręciła głową. Zauważyła, że Shay sprawiła sobie nową opkę, coś w rodzaju wypukłego tatuażu, układającego się w ukośne linie na rękach. Linie te sięgały od łokcia do przegubu. Ho i Tachs skopiowali ten wzór.

Shay, wciąż z uniesioną głową, zaczęła mówić, zwracając się do chorągiewki w górze, niczym szalenie przemawiający w pustkę. Jej głos nie niósł się po polanie, od czasu do czasu docierały do nich tylko pojedyncze słowa. Tally nie znajdowała w nich sensu — wszystko to brzmiało jak pieśń, niemal jak modlitwy, które Rdzawcy i przedrdzawcy kierowali kiedyś do swoich niewidzialnych superbohaterów w niebie.

Po paru minutach Shay umilkła i cała grupa znieruchomiła w ciszy, nie mówiąc ani słowa. Wszyscy dygotali z zimna, prócz wyraźnie obłąkanej Shay. Tally zorientowała się, że ci nie-Krimowie mieli na twarzach błyskotatuaże, świeże opki połyskujące w deszczu. Domyśliła się, że od czasu katastrofy nad stadionem wirujące tatuaże musiały

stać się modne. Ale i tak był to niezwykle zbieg okoliczności, że miało je siedmioro nieznanych ślicznych.

— Te pingi od kandydatów — wyszeptała. — Shay zaczęła rekrutację.

— Ale czemu? — syknął Zane. — Wszyscy zgodziliśmy się, że w tej chwili najmniej są nam potrzebni nowicjusze.

— Może ona ich potrzebuje?

— Do czego?

Ciałem Tally wstrząsnął dreszcz.

— Do tego.

Zane zaklął.

— Po prostu ich zawetujemy.

Tally pokręciła głową.

— Nie sądzę, by obchodziły ją nasze weta. Wątpię, czy jest jeszcze...

Głos Shay znów zabrzmiał w ciszy. Sięgnęła do tylnej kieszeni i wyciągnęła przedmiot połyskujący zimno w szarym świetle. Gdy go rozłożyła, ujrzeli długi nóż.

Oczy Tally otworzyły się szerzej, lecz żaden ze ślicznych w kręgu nie zareagował zdumieniem: na ich twarzach widać było podniecenie, połączone z niepewnością i lękiem.

Shay uniosła nóż i wymówiła kolejne słowa w tym samym powolnym, rozmyślnym rytmie. Jedno z nich, powtórzone wiele razy, Tally rozpoznała.

Brzmiało jak „Nacinacze”.

— Wynośmy się stąd — powiedziała tak cicho, że Zane jej nie usłyszał.

Chciała wsiąść na deskę i uciec, odkryła jednak, że nie może się ruszyć, odwrócić wzroku ani zamknąć oczu.

Shay ujęła nóż lewą ręką i przyłożyła ostrze do prawego przedramienia. Mokry metal połyskiwał groźnie.

Uniosła obie ręce i obracając się powoli, przygwoździła zebranych płonącym wzrokiem. A potem spojrzała w górę, w deszcz.

Uczyniła gest tak mało widoczny, że Tally ze swojej kryjówki o mało go nie przeoczyła. Po reakcjach innych zorientowała się jednak, co zaszło. Ich ciała zadrżały, oczy rozwarły się z przerażoną fascynacją — podobnie jak Tally nie mogli odwrócić wzroku.

A potem ujrzała krew ściekającą z rany. Spływała wąską strużką w deszczu, po podniesionej ręce Shay, na ramię i koszulkę. Na mokrej tkaninie pojawiła się plama, bardziej różowa niż czerwona.

Shay obróciła się raz jeszcze, tak by wszyscy dobrze się przyjrzeni. Jej wolne, przemyślane ruchy wyglądały równie groźnie jak krew spływająca po ręce.

Przywodziły na myśl starożytne rytuały dawnych ludzi. Pozostali śliczni dygotali mocno, zerkając po sobie ukradkiem.

W końcu Shay opuściła rękę, zachwiała się lekko i wyciągnęła nóż. Ho wystąpił naprzód, biorąc go od niej, a ona zajęła miejsce w kręgu.

— Co to jest? — wyszeptał Zane.

Tally pokręciła głową i zamknęła oczy. Nagle deszcz wokół niej zabrzmiał ogłuszająco, ale w szumie usłyszała własne słowa.

— To nowy lek Shay.

*

* *

Pozostali kolejno poszli w ślady Shay

Tally cały czas miała nadzieję, że uciekną, że jeśli choć jeden z nich nie wytrzyma, reszta umknie do lasu niczym spłoszone króliki, lecz coś — ponure otoczenie, pozbawiający ducha deszcz albo może szalony wyraz twarzy Shay — trzymało ich w miejscu. Wszyscy patrzyli, a potem kolejno kaleczyli się, a gdy to robili, ich twarze się zmieniały, stając się podobne do twarzy Shay: wykrzywione w obłędzie i uniesieniu.

Z każdym kolejnym cięciem Tally czuła, jak coś odpływa z jej wnętrza, nie pozwalała zapomnieć, że w tym rytuale kryje się coś więcej niż szaleństwo. Pamiętała wieczór balu kostiumowego: strach i panika tak ją dopyszniły, że rzuciła się w pościg za Croyem, potem jednak znów ogarnęła ją tępota i dopiero gdy poczuła na czole kolano odbijającego się Peri— sa, które rozcięło jej brew, umysł w końcu jej się przejaśnił.

Shay podziwiała bliźnię Tally. To ona zaproponowała jej zrobienie tatuażu na pamiątkę. Najwyraźniej zrozumiała też, w jaki sposób rana odmieniła Tally, doprowadziła ją do Żaneta i w końcu do leku.

A teraz Shay dzieliła się tą wiedzą z innymi.

— To nasza wina — wyszeptała Tally

— Co?

Tally rozłożyła ręce, wskazując rozgrywającą się przed nimi scenę. To ona i Zane dali Shay, czego potrzebowała, by wciągnąć w to innych: ogólnomiejską sławę, setki ślicznych, gotowych oddać wszystko, by zostać Krimami — nawet własną krew.

— Krimami? Już nie! Nacinacze — tak ich nazwała Shay.

— Shay nie jest już jedną z nas.

— Dlaczego w ogóle tu siedzimy? — syknął Zane. Zaciskał pięści. Jego twarz, skryta w cieniu kaptura, poczerwieniała.

— Zane, uspokój się. — Tally wzięła go za rękę.

— Powinniśmy ją zmusić... — Jego głos załamał się w zdławionym kaszlu.

Tally dostrzegła szeroko otwarte oczy towarzysza.

— Zane — wyszeptała.

Z trudem chwycił powietrze, chwytając rękami pustkę.

— Zane! — krzyknęła głośno.

Złapała go za drugą rękę, patrząc wprost w wybałuszone oczy. Nie oddychał. Zerknęła na polanę; rozpaczliwie potrzebowała pomocy, od kogokolwiek — nawet Nacinaczy. Kilka postaci w oddali usłyszało jej krzyk, lecz tylko patrzyły na nią pustymi oczami, nie bacząc na płynącą krew i pulsujące tatuaże. Byli zbyt odjechani, by cokolwiek zrobić.

Sięgnęła do bransolety, zrywając czarny szalik, żeby wysłać ping alarmowy, ale dłoń Zane złapała jej palce. Z bolesnym grymasem pokręcił głową.

— Nie.

— Zane, potrzebujesz pomocy!

— Nic mi nie jest... — wyrzęził z trudem.

Na moment zamarła, wyobrażając sobie, jak Zane umiera w jej objęciach. Gdyby jednak wezwała opiekunów, oboje mogli wylądować pod nożem chirurga, znów uślicznieni. Wówczas w mieście pozostałby tylko lek Sahy.

— No dobrze — rzekła. — Ale zabieram cię do szpitala.

— Nie!

— Nie do samego szpitala, tylko jak najbliżej. Zaczekamy tam i zobaczymy, co się stanie.

Tally przeturlała Zane'a na swoją deskę i pstryknęła palcami, patrząc, jak wznosi się w górę. Położyła się na nim i poczuła deskę opadającą pod ich połączonym ciężarem. Lotki wytrzymały, więc ostrożnie ruszyła naprzód.

Tally obejrzała się na polanę. Teraz cała dziesiątka wpatrywała się w nich w milczeniu. Shay szła ku nim; spojrzenie miała zimne jak deszcz.

Nagle Tally ogarnął gwałtowny strach — taka sama groza, jaką czuła na widok Wyjątkowych. Odepchnęła się mocno, stopy pochyliła naprzód i wzniosła się między drzewa, zostawiając za sobą polanę.

*

* *

Lot w stronę rzeki był naprawdę przerażający. Ręce i nogi Zane'a zwisały na wszystkie strony, przesuwający się ciężar na każdym zakręcie groził wywróceniem się deski. Tally oplótła Zane'a ramionami, próbując wbić paznokcie w nierówny spód deski. Sterowała, machając nogami, pokonując zakręty szeroko, jak pijana. Zimny deszcz zalewał jej twarz. Przypomniała sobie o tkwiących w kieszeniach goglach, ale w żaden sposób nie zdołałaby wyciągnąć ich w locie.

A nie miała czasu na postoje.

Pędzili między drzewami. W miarę opadania deska nabierała prędkości. Sosnowe gałęzie, ciężkie, połyskujące kroplami wody, wynurzały się z ciemności, chłoszcząc jej twarz. Gdy w końcu wypadli z parku Kleopatry, Tally z największą prędkością przemknęła nad pasem błotnistych boisk, kierując się w stronę najbliższego końca środkowej wyspy.

Z tej odległości strugi deszczu całkowicie zasłaniały szpital, lecz Tally dostrzegła światła lotowozu zmierzającego w tamtym kierunku. Leciał szybko i wysoko — zapewne karetka wioząca kogoś do lekarza. Mrużąc oczy w zamarzającym deszczu, zdołała go nie zgubić i podążyć za nim. Kiedy w końcu lotowóz zniknął w dali, dotarli już do rzeki i przeciążona deska zaczęła opadać nad otwartą wodą.

Tally zbyt późno zorientowała się, co się dzieje. Zakopana w ziemi metalowa sieć, z której korzystały magnetyczne lotki, tutaj była niżej — pod dziesięcioma metrami wody. Dotarłszy na środek rzeki, deska leciała jeszcze niżej tuż nad zimną, wzburzoną powierzchnią.

W połowie drogi z pluskiem uderzyła w wodę. Dłonie Zane'a odbiły się od niej, po sekundzie jednak deska znów wzlęciała w powietrze i w miarę zbliżania się do drugiego brzegu, lotki zadziały, unosząc ich wyżej i wyżej.

— Tally! — dobiegł ją z dołu ochryply szept.

— Wszystko będzie dobrze, Zane. Mam cię.

— Tak, widzę, że nad wszystkim panujesz.

Tally odważyła się na niego zerknąć: oczy miał otwarte, niezdrowe rumieńce zniknęły. Uświadomiła sobie, że jego pierś unosi się i opada — oddychał normalnie.

— Spokojnie, Zane. Stanę, gdy będziemy blisko szpitala.

— Nie zabieraj mnie tam.

— Po prostu wiozę cię bliżej. Na wypadek.

— Na wypadek czego? — spytał ochryple.

— Na wypadek gdybyś znów przestał oddychać! A teraz bądź cicho!

Posłusznie umilkł, zamykając oczy.

Tally widziała już przed sobą światła szpitala i jego czarną, masywną, dodającą otuchy sylwetkę. Wypatrzyła migające na żółto wejście do izby przyjęć, ale skręciła znad rzeki, nim tam dotarli, powoli unosząc się wyżej. W końcu zatrzymała się w hangarze pełnym pustych karetek, ustawionych po trzy w olbrzymich metalowych stojakach, najwyraźniej na wypadek jakiejś niewyobrażalnej katastrofy. Gdy deska znieruchomiała, Zane z jękiem sturlał się na mokrą ziemię.

Tally uklękła obok niego.

— Mów do mnie.

— Nic mi nie jest — rzekł. — Oprócz pleców.

— Pleców? Co...

— To ma chyba coś wspólnego z leżeniem na desce — prychnął. — I pod tobą.

Ujęła w dłonie jego twarz i spojrzała prosto mu w oczy. Wyglądał na wyczerpanego i osłabionego, ale uśmiechał się i mrugnął do niej.

— Zane... — Poczowała, że znów zaczyna płakać. Gorące łzy dołączyły do zimnych deszczowych kropel na jej policzkach. — Co się z tobą dzieje?

— Jak mówiłem... chyba powinniśmy zjeść śniadanie.

Teraz szlochała już głośno.

— Ale...

— Wiem. — Położył dłonie na jej ramionach. — Musimy się stąd wydostać.

— Ale co z Nowody...

Gwałtownie uniósł dłoń, zakrywając jej usta i tłumiąc kolejne jej słowa. Cofnęła się zaskoczona. Zane dźwignął się na łokciu, patrząc znacząco na odsłoniętą bransoletę Tally. Wcześniej zdjęła rękawiczkę, by wezwać pomoc.

— Och, przepraszam...

Pokręcił głową, przyciągając ją bliżej.

— Nic się nie stało — wyszeptał.

Tally zamknęła oczy, próbując sobie przypomnieć, co mówili podczas szaleńczego lotu nad rzeką.

— Kłóciliśmy się, czy cię zabrać do szpitala — wyszeptała.

Przytaknął i chwając się na nogach, rzekł głośno:

— No, skoro już tu jesteśmy.

Odwrócił się i walnął pięścią w metalowy stojak, który zadźwięczał głucho.

— Zane!

Z bólu zgiął się wpół, potem jednak pokręcił głową, przez moment wymachując w powietrzu zranioną ręką. Krytycznie przyjrzał się zakrwawionym kostkom.

— Jak mówiłem, skoro już tu jesteśmy, jakiś lekarz mógłby to obejrzeć. Ale następnym razem mnie spytaj, dobra?

Przyglądała mu się i w końcu zrozumiała. Przez moment sądziła, że obłąd Shay okazał się zaraźliwy, lecz zraniona ręka stanowiła wiarygodny powód do szaleńczego lotu i wyjaśniana większość tego, co usłyszała bransoleta. Tally mogła też powiedzieć opiekunom, że nie jedli od paru dni. Może kroplów— i ka z witaminami i glukozą złagodzi ból głowy Zane'a.

Wciąż wyglądał okropnie: przemoczony i ubłocony. Gdy jednak ruszył naprzód, nawet się nie zachwiał. W istocie, po rozbiciu dłoni sprawiał wrażenie całkiem pysznego. Może Shay jednak nie była aż tak szalona.

— No chodź! — rzucił.

— Podwieźć cię? — Tally wskazała ręką na drugą deskę, która leciała ku nim nad trawnikiem, posłuszna sygnałowi z bransolet bezpieczeństwa Zane'a.

— Chyba wolę pójść pieszo — odparł, maszerując w stronę migających świateł izby przyjęć.

Dopiero teraz Tally ujrzała, że trzęsą mu się ręce i jest bardzo blady. Postanowiła, że w razie następnego ataku wezwie opiekunów.

Nawet lek nie był wart tego, by umierać.

Okazało się, że Zane złamał sobie trzy kości dłoni. Ich naprawa miała potrwać pół godziny.

Tally siedziała w poczekalni wraz z dwojgiem świeżutkich ślicznych czekających na przyjaciela ze złamaną nogą — efekt bieganiny po mokrych schodach na zewnątrz apartamentowca Lillian Russell. Puściła mimo uszu szczegóły ich eskapady, zamiast tego pochłaniając z entuzjazmem ciasteczka i kawę z dużą ilością mleka i cukru i napawając się szpitalnym ciepłem oraz całkowitym brakiem ulewnego deszczu. Niezwykła jak dla niej mnogość kalorii wnikających do organizmu nieco rozmiękczyła kontury świata, lecz Tally z wdzięcznością przyjęła kilka chwil ślicznomózgowia. Wspomnienia tego, co robiła Shay i jej towarzysze w parku Kleopatry nadal pozostawały aż nadto wyraziste.

— A tobie co się stało? — spytał jeden ze ślicznych.

Kładąc nacisk na pierwsze słowa, spojrzał znacząco na jej przemoczone, ubłocone ciuchy, zmęczoną twarz i ogólnie fatalny wygląd.

Tally wsunęła do ust ciasteczko czekoladowe i wzruszyła ramionami.

— Latałam na desce.

Towarzyszka ślicznego trąciła go łokciem, wpatrując się w Tally szeroko otwartymi oczami, i wskazała ją lekko drżącym kciukiem.

— Co? — spytał jej przyjaciel.

— Ciii.

— Co?

Dziewczyna westchnęła.

— Przepraszam — rzekła do Tally. — Mój przyjaciel jest zupełnie nowy i totalnie zeromózgowy. — Odwróciła się do niego i wyszeptała: — To Tally Youngblood.

Chłopak otworzył usta i powoli je zamknął.

Tally jedynie uśmiechnęła się i przełknęła kolejne ciasteczko. Zapewne myśleli w tej chwili: „Oczywiście, że można się natknąć na Tally Youngblood w izbie przyjęć. Gdzie indziej?”. Pewnie zastanawiali się, jakie arcydzieło architektoniczne tym razem zawaliło się pod nią.

Choć jej sława szczęśliwie uciszyła ślicznych, ich ukradkowe spojrzenia zaczynały ją niepokoić. Ta dwójka nie nadałaby się do Nacinaczy, lecz Tally zrozumiała nagle, że jej kryminalne wyczyny pomagają Shay w kontynuowaniu jej projektu, tworząc ślicznych złąknionych pewnej szczególnej odmiany pyszności. Jej pełen kawy, mleka i

ciastek żołądek nagle się ścisnął. Zastanawiała się, czy wizyty w izbie przyjęć staną się w tym sezonie ostatnim krzykiem mody.

— Tally?

W drzwiach poczekalni zjawił się pielęgniarz. Wezwał ją gestem. Wreszcie. Tally miała już wielką ochotę wyjść.

— Bawcie się dobrze, dzieciaki — rzekła do ślicznych i podążyła za pielęgniarzem w głąb korytarza.

*

* *

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Tally zorientowała się, że pielęgniarz nie prowadzi jej do skrzydła dla wychodzących pacjentów. Wkrótce znalazła się w niewielkim pomieszczeniu, w którym królowało zasłane dokumentami biurko. Ekran ścienny pokazywał zieloną łąkę w słoneczny dzień — obrazek z rodzaju tych wyświetlanych w szkołach dla maluchów tuż przed leżakowaniem.

— Wyszłaś z domu na deszcz? — spytał radośnie pielęgniarz, ściągając błękitny papierowy fartuch.

Pod spodem miał garnitur — półoficjalny, poinformował mózg Tally — i pojęła, że to wcale nie pielęgniarz. Tak oślepiający uśmiech mógł należeć do polityka, nauczyciela w przedszkolu bądź psychiatry. Usiadła na krześle naprzeciwko niego, mokre ubranie zapiszczało.

— Totalnie zgadłeś.

Uśmiechnął się.

— Wypadki się zdarzają. Mądrze postąpiłaś, przywożąc tu przyjaciela. A ja miałem szczęście, że się nie minęliśmy. Bo chodzi o to, że próbowałem się z tobą skontaktować, Tally.

— Tak?

— Owszem. — Znow się uśmiechnął.

Istniał pewien podgatunek średnich ślicznych, który dysponował uśmiechem na każdą okazję: radosny uśmiech, zawiedziony uśmiech, uśmiech mówiący „ale narozrabiałaś”. Mężczyzna był serdeczny, pełen entuzjazmu, spokojny, godny zaufania i sama jego obecność nieprawdopodobnie ją irytowała. Oto kim miała się stać wedle słów doktor Cable: pewnym siebie, nadętym średnim ślicznym o pięknej twarzy poznaczonej lekkimi zmarszczkami znamionującymi wesoły charakter, wiek i mądrość.

— Przez ostatnich parę dni nie sprawdzałaś poczty, prawda?

Pokręciła głową.

— Zbyt wiele przegiętych pingów. To po wiadomościach, wiesz. Totalnie dosłynnijące.

Mężczyzna uśmiechnął się wyniośle.

— Przypuszczam, że cała ta sprawa była dla was niezmiernie podniecająca.

Tally wzruszyła ramionami, decydując się na fałszywą skromność.

— Z początku było pysznie, ale teraz robi się przegięcie. Kim właściwie jesteś?

— Doktor Remmy Anders. Pracuję w szpitalu. Jestem terapeutą powstrząsowym.

— Wstrząs? Chodzi o tę imprezę ze stadionem? Bo wcale mną nie...

— Z pewnością nic ci nie jest, Tally. Interesuje mnie ktoś z twoich przyjaciół. Szczerze mówiąc, nieco martwimy się o tę osobę.

— O kogo?

— O Shay.

Choć udało jej się nie zmienić wyrazu twarzy, po plecach Tally przebiegł bolesny dreszcz. Usiłowała niczego po sobie nie pokazać.

— Dlaczego Shay?

Powoli, jakby kontrolowany pilotem, zatroskany uśmiech doktora Andersa zmienił się w lekki grymas. Jego brwi się uniosły.

— Dwa dni temu podczas zabawy przy ognisku doszło do pewnego wypadku. Klótni między tobą i Shay. To dość niepokojące.

Tally zamrugła, grając na czas. Przypomniała sobie Shay krzyczącą na nią przy ognisku. Mimo warstw materiału okrywających bransoletę musiała ona wyłapać zdenerwowanie Shay — znacznie wykraczające poza zwykłe, spokojne sprzeczki nowych ślicznych. Próbowwała przypomnieć sobie dokładnie słowa przyjaciółki, lecz połączenie szampana i okropnych wyrzutów sumienia nie wspomagało pamięci. Wzruszyła ramionami.

— Tak, była mocno pijana. Ja zresztą też.

— Nie brzmiało to zbyt domilająco.

— Doktorze Remmy, czy ty, no wiesz, nas szpiegujesz? To przegięcie.

Terapeuta pokręcił głową i znów uśmiechnął się z troską.

— Bardzo interesujemy się ślicznymi, którzy brali udział w owym niefortunnym wypadku. Czasami trudno dojść do siebie po przerażającym, niespodziewanym wydarzeniu. Dlatego właśnie wyznaczono mnie na waszego terapeutę powstrząsowego.

Tally udała, że nie dostrzega, iż całkowicie pominął pytanie o to, czy szpieguje — w końcu znała już odpowiedź. Być może Wyjątkowe Okoliczności nie przejmowały się tym, czy Krimowie rozwalą całe Miasto Nowych Ślicznych, lecz opiekunowie pozostawali czujni. Biorąc pod uwagę fakt, że miasto zaprojektowano tak, by utrzymywać ludzi w stanie ślicz— nomózgowia, logiczne, iż wyznaczali terapeutę

każdemu, kto przeżył coś zdecydowanie pysznego. Doktor Anders miał się upewnić, że przebitka nie podsunęła Krimom żadnych nowych, ekscytujących pomysłów.

Przywołała na twarz śliczny uśmiech.

— Na wypadek gdybyśmy oszaleli?

Doktor Anders roześmiał się.

— Och, nie sądzimy, że moglibyście oszaleć. Jestem tu po to, by sprawdzić, czy nie pojawiają się jakieś długofalowe efekty uboczne. Stres może na przykład źle wpływać na przyjaźń.

Tally postanowiła odrobinę ustąpić, udać, że Anders zdołał ją przekonać.

— A więc to dlatego była wtedy taka nieznośna?

Doktor Anders rozpromienił się.

— Tak, to wszystko wiąże się ze stresem, Tally. Ale pamiętaj, nie mówią poważnie.

— Ja tam nie rzuciłam się na nią.

Dodający otuchy uśmiech.

— Na wstrząs każdy reaguje inaczej, Tally, nie wszyscy są tak twardzi jak ty. Zamiast się złościć, uznajmy to za okazję, by zademonstrować Shay, że ją wspierasz. Jesteście przecież starymi przyjaciółkami, prawda?

— Tak, od brzydkich czasów. Urodziłyśmy się tego samego dnia.

— To cudowne, w takich chwilach starzy przyjaciele są najlepsi. O co się pokłóciłyście?

Tally wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, w sumie to o nic.

— Pamiętasz cokolwiek?

Zastanawiała się, czy pokój jest podłączony do poligrafu odczytującego jej reakcje. A jeśli tak, jak wielkie kłamstwo zdoła mu umknąć. Przymknęła oczy, skupiając się na kaloriach krążących po zagłodzonym ciele i pozwalając, by jej umysł spowijała śliczna mgiełka.

— Tally?

Postanowiła, że przekaze mu choćby małą część prawdy.

— O takie różne... stare sprawy.

Doktor Anders przytaknął, z zadowoloną miną splótł ręce na piersi. Tally przestraszyła się, że powiedziała zbyt wiele.

— Z brzydkich czasów?

Pokiwała głową, nie ufając własnemu głosowi.

— Jak dogadujecie się z Shay od czasu tamtego wieczoru?

— Świetnie.

Uśmiechnął się radośnie, lecz Tally zauważyła, że zerka gdzieś dalej — pewnie na ukryty oczny ekran. Czy sprawdzał miejski interfejs? Maszyny wiedziały, że z Shay nie wysyłały sobie pingów od czasu imprezy, a całe trzy dni bez poczty to u nich bardzo nietypowe. A może doktor Anders czekał, aż głos jej się załamie?

Po chwili skinął głową, jakby potwierdzał niewidoczne dane czy cokolwiek to było.

— Czy według ciebie od tego czasu była w lepszym nastroju?

— Chyba w porządku. — Tylko odrobina samookaleczeń, szalonych śpiewów i może próba stworzenia własnej, bardzo niepokojącej ekipy. — Szczerze mówiąc, nie widziałam jej, odkąd zaczął padać ten przegniły deszcz. Ale wciąż jesteśmy przyjaciółkami na zawsze.

Ostatnie słowa zabrzmiały nie tak jak powinny. Tally zakasłała, ukrywając szorstki ton głosu. Zatroskany uśmiech doktora Andersa jeszcze się pogłębił.

— Cieszę się, że to słyszę, Tally. A ty? Czy także czujesz się dobrze?

— Pysznie — odparła. — Chociaż jestem trochę głodna.

— O tak, tak, naprawdę musicie z Zane'em zacząć więcej jeść. Ty wyglądasz nieco mizernie, a lekarze mówią, że kiedy go tu przywiozłaś, miał bardzo niski poziom cukru we krwi.

— Dopilnuję, by poczęstował się czekoladowymi ciasteczkami z poczekalni. Są super.

— Wspaniały pomysł. Dobra z ciebie przyjaciółka, Tally. — Wstał i podał jej rękę. — Widzę, że Zane jest już gotów, więc nie będę was zatrzymywał. Dziękuję za poświęcony mi czas. Pamiętaj, żebyś dała mi znać, gdybyś ty albo ktoś z twoich przyjaciół miał ochotę porozmawiać.

— Na pewno. — Obdarzyła doktora swym najpiękniejszym uśmiechem. — Było naprawdę świetnie.

*

* *

Na zewnątrz zimny deszcz powitał Tally niczym stary, natrętny przyjaciel. Niemal z ulgą przyjęła niemiły chłód po promiennych uśmiechach doktora Andersa. W drodze do domu opowiedziała o nim Zane'owi. Choć znów obwiązała bransoletę szalikiem, przemawiała tak cicho, by wiatr porywał jej słowa, gdy wznosili się ku szaremu niebu.

Kiedy skończyła, Zane westchnął.

— Wygląda na to, że oni też się o nią martwią.

— Tak, musieli słyszeć naszą kłótnię tamtej nocy. Wrzeszczała na mnie w wyjątkowo nieśliczny sposób.

— Idealnie.

Odsłonił zęby w bolesnym grymasie. Wyglądało na to, że środki przeciwbólowe, które podali mu z powodu złamania, niespecjalnie pomogły na migrenę. Przesunął stopy na desce, niezgrabnie utrzymując równowagę.

— Nie powiedziałaś zbyt wiele. Tylko tyle, że się upiła i zachowywała dziwnie.

Tally pozwoliła sobie na lekki uśmiezek samozadowolenia. Tym razem nie zdradziła Shay. Taką miała nadzieję.

— Oczywiście że nie, Tally. Shay może faktycznie potrzebuje pomocy, ale na pewno nie od ślicznego psychiatry. Musimy wyciągnąć ją z miasta w głąsę i podać prawdziwy lek. I to jak najszybciej.

— Jasne, pigułki są znacznie lepsze niż cięcie. — Jeśli nie uszkodzą człowiekowi mózgu, dodała w myślach. Postanowiła nie wspominać Zane'owi o swej decyzji zabrania go do szpitala w razie następnego ataku; miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. — A jak tam twoi lekarze?

— Jak zwykle. Przez pierwszą godzinę pouczali mnie, że powinienem więcej jeść. Gdy w końcu zabrali się do naprawy kości, byłem nieprzytomny tylko dziesięć minut. Lecz poza wychudzeniem nie zauważyli u mnie niczego niezwykłego.

— Świetnie.

— Oczywiście nie znaczy to, że nic mi nie jest. W końcu obejrzel tylko moją rękę, nie głowę.

Tally odetchnęła głęboko.

— Te migreny stają się coraz gorsze, prawda?

— Myślę, że przede wszystkim przyczyniły się do tego głód i zimno.

Pokręciła głową.

— Ja też nic dzisiaj nie jadłam, Zane, i jakoś nie...

— Zapomnij o mojej głowie, Tally! Nie jest z nią ani lepiej, ani gorzej. To o ręce Shay się martwię. — Podleciał bliżej i zniżył głos. — Od tej pory też będą mieli na nią oko. Jeśli twój doktor Anders odkryje, co sobie robi, rozpęta się piekło.

— Tak, tu się zgodzę.

Tally wyobraziła sobie rząd blizn na rękach Shay. Z daleka można by je uznać za tatuaże, lecz z bliska każdy by się zorientował, czym są naprawdę. Gdyby doktor Anders je zobaczył, raczej nie uśmiechnąłby się z aprobatą. W całym mieście rozbrzmiałyby alarmy, a opiekunowie rzuciliby się z pazurami na wszystkich, którzy brali udział w katastrofie nad stadionem.

Tally wyciągnęła rękę i zatrzymała ich oboje, zniżając głos do szeptu.

— W takim razie mamy niewiele czasu. W każdej chwili Anders może zechcieć porozmawiać z Shay.

Zane odetchnął głęboko.

— Będziesz musiała pomówić z nią pierwsza, powiedzieć jej, by dała sobie spokój z cięciem.

— No tak, superowo. A jeśli nie zechce?

— Powiedz, że wkrótce wyruszamy. Ze zdobędziemy dla niej prawdziwy lek.

— Wyruszamy? Jak?

— Gdybyśmy tylko mogli, ucieklibyśmy już dziś. Spakuję wszystko, czego będziemy potrzebować. Ty przygotuj resztę Krimów.

— A to? — Była zbyt zmęczona, aby podnieść opatuloną rękę, lecz Zane zrozumiał.

— Zdejmiemy je. Jeszcze dzisiaj. Mam w zanadrzu pewien numer.

— Jaki numer, Zane?

— Jeszcze nie mogę powiedzieć. Ale zadziała. Jest trochę ryzykowny.

Tally zmarszczyła brwi. Wraz z Zane'em wypróbowali wszystkie możliwe narzędzia; żadne z nich nawet nie zadrapało powierzchni bransolet.

— Co to?

— Pokażę ci wieczorem. — Z uporem zacisnął zęby.

Tally przełknęła ślinę.

— To musi być bardziej niż odrobinę ryzykowne.

Zane patrzył na nią, blady, zabłocony, zagłodzony, oczami pozbawionymi blasku za szybkami gogli.

— Pomóż dziewczynie — zachichotał — może jej się przydać pomocna dłoń.

Tally musiała odwrócić wzrok, by nie patrzeć na jego uśmiech.

ZGNIATARKA

Warsztat stał niedaleko szpitala, na końcu Miasta Nowych Ślicznych, w miejscu gdzie dwie odnogi rzeki łączyły się ze sobą. O tej porze nikt nie korzystał już z tokarek, stołów projektowych i form wtryskowych. W warsztacie panowały pustki, jedyne światło rzucało palenisko na drugim końcu warsztatu, gdzie średnia śliczna wydmuchiwała rozpalone do białości szkło.

— Strasznie tu zimno — zauważyła Tally i ujrzała własne słowa ulatujące z ust w ciepłym, czerwonym blasku lamp roboczych.

Deszcz przestał w końcu padać, gdy przygotowywali Kri— mów do uciezki, lecz w powietrzu wciąż wisiała lodowata wilgoć. Nawet wewnątrz warsztatu Tally, Fausto i Zane kulili się w swych ogrzewanych płaszczach.

— Zwykle działają tu piece hutnicze — wyjaśnił Zane. — A część z tych maszyn produkuje mnóstwo ciepła. — Wskazał dwa otwarte boki warsztatu, za którymi rozciągał się nocny krajobraz. — Taka wentylacja oznacza, że nie ma tu inteligentnych ścian, rozumiesz?

— Rozumiem.

Tally ciaśniej opatulila się płaszczem i sięgnęła do kieszeni, by podkręcić grzejnik.

Fausto wskazał maszynę przypominającą wielką prasę.

— Hej, pamiętam, jak bawiliśmy się czymś takim jeszcze w szkole brzydkich na zajęciach z projektowania przemysłowego. Wymyśliliśmy tacę na jedzenie z płozami od spodu, nadającą się do zjeżdżania po śniegu.

— Dlatego właśnie was tu przyprowadziłem.

Zane ruszył pierwszy po betonowej posadzce.

Dolną część maszyny stanowił metalowy stół, który wydawał się wygrawerowany w milion maleńkich kropeczek. Wyżej, równoległe do niego, wisiał drugi identyczny.

— Co takiego? Chcesz użyć zgniatarki? — Fausto ze zdziwieniem uniósł brwi.

Zane wciąż nie wyjaśnił im, co planuje, lecz Tally nie spodobał się wygląd masywnej maszyny.

Ani też jej nazwa.

Zane odstawił kubełek do szampana, który przyniósł ze sobą, rozbryzgując na ziemię wodę z lodem. Z kieszeni wyciągnął kartę pamięci i wsunął ją w szczelinę czytnika zgniatarki. Maszyna wystartowała, światełka zamrugały, a podłoga pod stopami Tally lekko zadrżała.

Po powierzchni płaskiej części maszyny przebiegła fala, jak gdyby metal nagle zamienił się w płyn i ożył.

Gdy to ustało, Tally przyjrzała się zgniatarce bliżej. Maleńkie kropeczki okazały się w istocie czubkami cieniutkich prętów, które mogły wysuwać się i wsuwać, układając w najróżniejsze kształty. Przesunęła palcami po stole, lecz pręty były tak cienkie i idealnie ułożone, że poczuła tylko gładki metal.

— Do czego służy?

— Do wygniatania różnych rzeczy.

Zane nacisnął przycisk i stół znów ożył. Pośrodku wyrósł mały, symetryczny górski łańcuch. Tally zauważyła, że identyczne zagłębienia pojawiły się w górnej części zgniatarki.

— Hej, to moja taca! — rzucił Fausto.

— Oczywiście. Sądziłeś, że zapomniałem? Świetnie się nadawały do zjeżdżania po śniegu — rzekł radośnie Zane.

Wyciągnął spod maszyny kawał blachy i starannie ułożył na stole.

— Tak, zawsze się zastanawiałem, czemu nie weszły do masowej produkcji — powiedział Fausto.

— Zbyt dopyszniały — wyjaśnił Zane. — Ale założę się, że jacyś brzydcy wymyślają je na nowo co kilka lat. Uwaga, zaraz odpalam.

Tally i Fausto cofnęli się o spory krok.

Zane złapał dwa uchwyty na skraju stołu i nacisnął je jednocześnie. Maszyna przez ułamek sekundy grzmiała, po czym nagle ożyła. Górna część uderzyła o dolną z ogłuszającym łoskotem, dźwięk odbił się echem w całym warsztacie. Tally wciąż dzwoniło w uszach, gdy szczęki zgniatarki rozchyliły się powoli, ukazując kawał metalu.

— Urocze, prawda? — Zane uniósł metal, odkształcony po zderzeniu.

Teraz wyglądał jak tacka, podzielona na części przeznaczone do sałaty, głównego dania i deseru. Obróciwszy ją, przesunął palcem po zagłębieniach na spodzie.

— Na dobrym sypkim śniegu można na czymś takim rozpędzić się do tysiąca kilometrów.

Fausto zbladł jak ściana.

— To się nie uda, Zane.

— Czemu nie?

— Zbyt wiele zabezpieczeń. Nawet gdybyś zdołał namówić któreś z nas...

— Żartujesz sobie, Zane! — wykrzyknęła Tally. — Nie wsadzisz tam ręki! Ta maszyna ją zmiażdży.

— Nie zmiażdży. Jak powiedział Fausto: zbyt wiele zabezpieczeń. — Wyciągnął z czytnika zgniatarki kartę i zastąpił ją inną. Stół znów zafalował i na jego krawędzi wyrosły ostre wzniesienia przypominające rząd zębów. Przytknął do nich lewy

przegub. — W rękawicy trudno to stwierdzić, ale widzicie, w którym miejscu przetnie bransoletę?

— A jeśli chybi, Zane?

Tally, musiała walczyć ze sobą, żeby nie podnieść głosu. Znów mieli obwiązane bransolety, nie chciała jednak, by średnia śliczna na drugim końcu warsztatu zainteresowała się tym, co robią.

— Ona nie chybia. Tym urządzeniem można wygniatać części do stoperów.

— W ogóle nie zadziała — oznajmił Fausto. Wsadził do zgniatarki dłoń. — Odpalaj.

— Wiem, wiem. — Zane złapał uchwyty i nacisnął.

— Co? — krzyknęła ze zgrozą Tally.

Na krawędzi maszyny rozbłysnął rząd żółtych lampek i metaliczny, przemysłowy głos powiedział:

— Proszę się odsunąć.

— Wykrywa ludzi — wyjaśnił Fausto. — Ciepło ich ciało.

Tally przełknęła ślinę, serce waliło jej w piersi. Fausto spokojnie cofnął rękę.

— Nie rób tego więcej.

— A nawet gdybyś ją oszukał, to po co? — podjął Fausto. — Tylko zgniecie bransoletę i zmiżdżysz ci rękę.

— Nie przy prędkości pięćdziesięciu metrów na sekundę. Spójrz tutaj. — Zane pochylił się nad stołem, przesuując palcami po zaprogramowanych zębach. — Ta krawędź ją przetnie albo przynajmniej walnie tak mocno, że zniszczy to wszystko w środku. Po spotkaniu z tą maszyną nasze bransolety zamienią się w kawały martwego metalu.

Gdy Fausto pochylił się, by obejrzeć to z bliska, Tally szybko się odwróciła. Nie chciała patrzeć na ich głowy między dwiema metalowymi szczękami. Martwy metal. Zaczęła obserwować dmuchaczkę. Nieświadoma ich szalonej rozmowy kobieta spokojnie przytrzymała kawał szkła wewnątrz niewielkiego, jasnego pieca, obracając je powoli nad płomieniem. Tally ruszyła ku niej. Przystanęła dopiero gdy znalazła się poza zasięgiem głosu Zane'a i Fausta. Szybko odwinęła bransoletę.

— Ping do Shay.

— Niedostępna. Wiadomość?

Skrzywiła się, ale odpowiedziała:

— Tak. Posłuchaj, Shay, wiem, że to osiemnasta wiadomość dzisiaj, ale musisz mi odpowiedzieć. Przepraszam, że cię szpiegowaliśmy, ale... — Nie wiedziała, co dodać. Musiała zakładać, że opiekunowie — może nawet Wyjątkowi — mogą słuchać każdego

słowa. Trudno, żeby wyjaśniła, że dziś wieczór planują ucieczkę. — Ale martwimy się o ciebie. Odezwij się jak najszybciej, musimy porozmawiać... osobiście.

Rozłączyła się i ponownie owinęła bransoletę szalikiem. Shay, Ho i Tachs — Nacinacze — demonstracyjnie zniknęli, nie odpowiadając na żadne pingi. Pewnie Shay wściekła się, że ktoś oglądał ich tajną ceremonię. Tally miała jednak nadzieję, że któryś z Krimów zdoła ich znaleźć i uprzedzić o dzisiejszej ucieczce.

Przez całe popołudnie wraz z Zane'em wszystko przygotowywali. Krimowie byli spakowani i rozmieszczeni na całej wyspie, gotowi ruszyć, gdy tylko dostaną sygnał z szopy, że Tally i Zane są wolni.

Kobieta skończyła rozgrzewać szkło. Wyciągnęła z pieca lśniąca masę i zaczęła w nią dmuchać przez długą rurkę. Stopiona materia powoli wydymała się w faliste kształty. Tally niechętnie odwróciła wzrok i wróciła do zgniatarki.

— A co z zabezpieczeniami? — pytał właśnie Fausto.

— Mogę się pozbyć ciepła ciała.

— Jak?

Zane kopnął kubek do szampana.

— Trzydzieści sekund w wodzie z lodem i moja ręka będzie równie zimna jak kawał metalu.

— Owszem, ale twoja ręka nie jest kawałkiem metalu! — zawołała Tally. — Ani zresztą moja, w tym właśnie użecz.

— Posłuchaj, Tally, nie proszę, żebyś zrobiła to pierwsza.

Pokręciła głową.

— W ogóle tego nie zrobię, Zane. I ty też nie.

— Ona ma rację. — Fausto przyglądał się metalowym zębom wyrastającym ze stołu, porównując je z ich bliźniakami sterczącymi z górnej połówki. — Gratuluję projektu, ale wsadzenie tam ręki to wariactwo. Jeśli pomylisz się choćby o centymetr, zgniatarka trafi w kość. Opowiadali nam o tym na zajęciach w warsztacie. Fala wstrząsu przejdzie po całej ręce, miażdżąc wszystko po drodze.

— Hej, jeśli chybi, złożą mnie do kupy. A poza tym nie chybi. Przygotowałem nawet inną formę na twoją rękę, Tally. — Zane pomachał w powietrzu kolejną kartą pamięci. — Masz przecież mniejszą bransoletę.

— Jeśli to się nie uda, nigdy cię nie naprawią — powiedziała cicho. — Nawet w szpitalu miejskim nie potrafią odbudować spłaszczonej kości.

— Nie spłaszczonej — poprawił Fausto. — Twoje kości się upłynią, Zane. To znaczy, że wstrząs je rozpuści.

— Posłuchaj, Tally. — Zane sięgnął po butelkę i wyłowił ją z kubka. — Ja też nie chcę tego zrobić, ale dziś rano miałem atak. Pamiętasz? — Wyciągnął korek.

— Co miałeś? — zdziwił się Fausto.

Tally pokręciła głową.

— Musimy znaleźć inny sposób.

— Nie ma czasu. — Zane pociągnął łyk z butelki. — To co, Fausto, pomożesz?

— Pomożesz? — powtórzyła Tally.

Fausto wolno pokiwał głową.

— Odpalenie zgniatarki wymaga dwóch rąk — to kolejne zabezpieczenie, żeby jedna przypadkiem nie została w środku. Potrzebuję kogoś, by nacisnął przełącznik. — Fausto splótł ręce na piersi. — Zapomnij.

— Ja też ci nie pomogę — dodała Tally.

— Tally — westchnął Zane. — Jeśli dziś w nocy nie uciekniemy z miasta, równie dobrze mogę od razu wsadzić tam głowę. Migreny powtarzają się co jakieś trzy dni i są coraz gorsze. Musimy uciec.

Fausto zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz?

Zane odwrócił się do niego.

— Coś jest ze mną nie tak, Fausto. Dlatego musimy ruszać już dzisiaj. Sądzymy, że Nowodymiarze mi pomogą.

— Ale po co ci oni? Co się z tobą dzieje?

— Co się ze mną dzieje? Jestem wyleczony.

— Słucham?

Zane odetchnął głęboko.

— Widzisz, zażyliśmy pigułki i...

Tally jęknęła i odwróciła się, widząc, że Zane przekroczył kolejną granicę. Najpierw Shay, teraz Fausto. Zastanawiała się, ile czasu minie, nim wszyscy Krimowie dowiedzą się o leku. Co oznacza, że będą musieli uciec z Zane'em z miasta, nie zważając na ryzyko.

Obserwowała dmuchaczkę szkła i czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa. Widziała, że niedowierzanie Fausta maleje w miarę, jak Zane wyjaśniał, co działo się z nim przez ostatni miesiąc. Opowiadał o pigułkach, narastającej pyszności leku i morderczych migrenach.

— Czyli Shay miała rację co do was! — rzucił Fausto. — Dlatego jesteście teraz tacy inni...

Tylko Shay zwróciła się bezpośrednio do Tally, lecz wszyscy Krimowie musieli dostrzec zmiany i zastanawiali się, co oznaczają. Wszyscy łaknęli nowej, osobliwej pyszności, której zaznali Tally i Zane. Teraz, kiedy Fausto wiedział o istnieniu leku, o

tym, że wystarczy połknąć pigułkę, może narażenie paru rąk na zgniecenie nie wyda mu się aż takim wariactwem.

Tally westchnęła. I może faktycznie to nie jest wariactwo. Jeszcze tego ranka z opóźnieniem dostarczyła Zane'a do szpitala. Czekwała na zewnątrz w deszczu, a czas mijał — bezcenne minuty, które mogły narazić jego życie, nie tylko rękę.

Przełknęła ślinę. Jakiego słowa użył Fausto? Upłynniona?

Szklany przedmiot rósł w dłoniach kobiety, pęczniejąc w nachodzące na siebie kule, które wyglądały niezwykle krucho. Gdyby pękły, nikt nie zdołałby ich naprawić. Kobieta trzymała je ostrożnie: niektórych rzeczy po stłuczeniu nie da się złożyć w całość.

Tally pomyślała o ojcu Davida, Azie. Kiedy doktor Cable

Spróbowała wymazać jego wspomnienia, to go zabiło. Umysł ludzki jest delikatniejszy od dłoni — a żadne z nich nie miało pojęcia, co się dzieje w głowie Zane'a.

Spojrzała na swoją lewą rękawiczkę i powoli rozprostowała palce. Czy wystarczy jej odwagi, by włożyć dłoń w metalowe szczęki zgniatarki? Może.

— Jesteś pewien, że znajdziemy tam Nowodymiarzy? — pytał właśnie Fausto Zane'a. — Myślałem, że od dłuższego czasu nikt ich nie widział.

— Brzydco, których spotkaliśmy dziś rano, podobno natrafili na znaki świadczące o tym, że wrócili.

— I mogą cię wyleczyć?

W tym momencie Tally usłyszała w głosie Fausta nowy ton: szukał usprawiedliwienia, powoli, ale jednak, i w końcu zgodzi się odpalić zgniatarkę. W pewien upiorny sposób miało to nawet sens. Gdzieś w głuszy istniało lekarstwo na dolegliwości Zane'a. Jeśli go tam nie doprowadzą, równie dobrze mógłby już nie żyć.

Czym w porównaniu z tym jest narażenie dłoni? Tally szybko się odwróciła.

— Ja to zrobię. Sama nacisnę włączniki.

Przez chwilę obaj przyglądali jej się wstrząśnięci, potem Zane się uśmiechnął.

— Świetnie, nawet wolę, żebyś to była ty. Przełknęła ślinę.

— Czemu?

— Bo ci ufam. Nie chcę, żeby ktoś się trząsł.

Tally odetchnęła głęboko, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

— Dzięki. Chyba.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia.

— Jesteś pewna, Tally? — spytał w końcu Fausto. — Ja mógłbym to zrobić.

— Nie, to powinnam być ja.

— No to nie ma sensu czekać. — Zane zrzucił na ziemię zimowy płaszcz. Rozwiązał szalik i ściągnął rękawiczkę, odsłaniając bransoletę. Jego naga lewa ręka wydawała się bardzo drobna i krucha obok ciemnego masywu zgniatarki. Zaciśnął palce w pięść i wepchnął dłoń do kubelka z lodem, krzywiąc się, gdy zamarzająca woda zaczęła gwałtownie wysysać mu ciepło z ciała. — Szykuj się Tally.

Zerknęła na leżące na podłodze dwa plecaki. Pomacała, sprawdzając, czy ma na sobie czujnik pępkowy. Raz jeszcze obejrzała deskolotki czekające w kącie warsztatu. Druty pod nimi wyrwano, odłączając je od miejskiej sieci. Były gotowe do drogi.

Spojrzała na swoją bransoletę. Gdy Zane zniszczy swoją, nadawany przez nią sygnał umilknie. Będą musieli natychmiast załatwić drugą i wyruszyć. Czekają ich długa droga do granicy miasta.

Dwa tuziny Krimów czuwały na całej wyspie, gotowe rozbiec się w głąszy i wyprowadzić pościg we wszystkie strony. Każdy zabrał rzymską świecę w specjalnych kolorach - fioletowym i zielonym. Miały dać sygnał, gdy Zane i Tally się uwolnią.

Uwolnią.

Tally obejrzała uchwyty sterujące zgniatarką i przełknęła ślinę. Obie rączki odlano w pogodnym jasnożółtym plastiku. Kształtem przypominały joysticki kciukowe, każdą wyposażono w gruby cyngiel. Gdy je ujęła, poczuła w dłoniach moc czekającej maszyny. Przypominało to grzmot suborbitalnego samolotu, przelatującego nad głową.

Tally próbowała sobie wyobrazić, jak naciska włączniki i — nie mogła. Nie miała już jednak żadnych argumentów. Czas dyskusji minął.

Po trzydziestu długich sekundach Zane wyciągnął rękę z wody z lodem.

— Zamknij oczy, bo metal może popękać, wyziębiony robi się kruchy — powiedział normalnym głosem i Tally pojęła, że teraz nie ma już znaczenia, co usłyszy bransoleta.

Nim ktokolwiek się domyśli, o czym rozmawiają, będą już mknęli z najwyższą prędkością w stronę Rdzawych Ruin.

Zane położył przegub na skraju stołu i zaciśnął powieki.

— W porządku, zrób to.

Tally odetchnęła głęboko, ręce trzęsły jej się na włącznikach. Zamknęła oczy i pomyślała: dobra, zrób to teraz.

Lecz palce nie posłuchały.

Myśli w głowie wirowały, przypominając o wszystkim, co mogłoby pójść nie tak. Wyobraziła sobie, jak znów wiezie Zane'a do szpitala, z prawą ręką zamienioną w galaretę.

Wyobraziła sobie Wyjątkowych wpadających w tym momencie i powstrzymujących ich — najwyraźniej w ostatniej chwili zrozumieli, co kombinują.

Zastanawiała się, czy Zane nie pomylił się podczas pomiarów i czy pamiętał, że bransoleta mogła nieco się skurczyć w lodowatej wodzie.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że Tally zamarła. Może powinna spytać Zane'a. Otworzyła oczy. W żółtym świetle zgniatarki mokra bransoleta połyskiwała niczym kawał złota.

— Tally... Zrób to!

Od zimna metal się kurczył, ale od gorąca... Tally zerknęła na dmuchaczkę szkła po drugiej stronie warsztatu, błogą, nieświadomą przerażających rzeczy, które miały się tu wydarzyć.

— Tally — powiedział cicho Fausto.

Od gorąca bransoleta się rozszerza...

Kobieta trzymała w dłoniach rozżarzone do czerwoności szkło, obracając je i oglądając ze wszystkich stron. Jakim cudem mogła trzymać stopione szkło?

— Tally — powtórzył Fausto. — Jeśli chcesz, ja to zro...

— Zaczekajcie — rzuciła, wypuszczając włączniki zgniatarki.

— Co? — zawołał Zane.

— Zostań tutaj!

Nie zważając na protesty chłopaków, wyrwała z czytnika kartę pamięci i pobiegła na drugą stronę warsztatu, mijając wysokie tokarki i piece. Na jej widok kobieta uniosła pogodną twarz i uśmiechnęła się ze spokojem właściwym średnim ślicznym.

— Witaj, moja droga.

— Cześć. To jest piękne — rzekła Tally.

Miły uśmiech stał się jeszcze cieplejszy.

— Dziękuję.

Teraz Tally widziała dłonie kobiety, mieniące się srebrem w czerwonym świetle.

— Masz rękawiczki, prawda?

Kobieta roześmiała się.

— Oczywiście! Ten piec jest dość gorący.

— Ale ty tego nie czujesz?

— Nie w tych rękawicach. Zdaje się, że materiał wynaleziono z przeznaczeniem dla promów wchodzących w atmosferę. Potrafi odbić parę tysięcy stopni.

Tally przytaknęła.

— I są bardzo cienkie, zgadza się? Z drugiego końca sali nie mogłam stwierdzić, czy masz je na rękach.

— Zgadza się — przytaknęła radośnie kobieta. — Można przez nie wyczuć konsystencję szkła.

— Rany! — Tally uśmiechnęła się słicznie. Rękawice da się wcisnąć pod bransoletę. — Skąd mogę wziąć parę takich?

Kobieta skinieniem głowy wskazała szafkę. Tally otworzyła ją i ujrzała stosy rękawiczek. Srebrzysty materiał migotał niczym świeży śnieg. Wyciągnęła dwie.

— Wszystkie są tej samej wielkości?

— Tak, pasują na każdą rękę. Rozciągają się aż za łokieć — wyjaśniła kobieta. — Pamiętaj tylko, by je wyrzucić po pierwszym użyciu. Za drugim razem nie działają zbyt dobrze.

— Nie ma sprawy.

Tally odwróciła się, ściskając w dłoni rękawiczki. Poczowała nagłą ulgę, zrozumiała, że nie będzie musiała nacisnąć włącznika, nie będzie musiała patrzeć, jak zgniatarka opada na rękę Zane'a. W jej głowie rysował się już nowy, doskonały plan. Wiedziała dokładnie, gdzie znaleźć potężny piec i to taki, który można zabrać na sam skraj miasta.

— Zaczekaj chwilkę, Tally! — zawołała kobieta, w jej głosie zadźwięczała nagła troska.

Tally zamarła, myśląc, że kobieta ją poznała. Oczywiście — każdy, kto oglądał wiadomości, znał już teraz twarz Tally Youngblood. Zaczęła gorączkowo szukać niewinnego pretekstu, dla którego potrzebowałyby rękawiczek, lecz wszystko, co przychodziło jej do głowy, brzmiało strasznie przegięcie.

— Uhm, tak?

— Wzięłaś dwie lewe rękawiczki — roześmiała się kobieta. — Niezbyt ci się przydadzą do nowego numeru.

Tally uśmiechnęła się i zachichotała cicho. To ty tak sądzisz. Wróciła jednak do szafy i wyłowiła dwie prawe rękawiczki. W sumie warto ochronić obie dłonie.

— Dziękuję za pomoc — rzekła.

— Nie ma sprawy. — Kobieta uśmiechnęła się przepięknie i znów zapatrzyła w krzywizny szkła. — Tylko bądź ostrożna.

— Proszę się nie martwić — odparła Tally. — Zawsze jestem.

PORWANIE

— Żartujesz sobie? Jak mielibyśmy go zamówić w środku nocy? — spytał Fausto.

— Nie damy rady. Będziemy musieli go porwać. — Tally narzuciła na ramię plecak i pstryknięciem wezwała deskę. — W istocie powinniśmy zorganizować kilka. Im więcej z nas ucieknie tą drogą, tym lepiej.

— Porwać? — Zane zerknął na bransoletę, ponownie opatuloną w szalik. — Chcesz powiedzieć ukraść.

— Nie, po prostu grzecznie poprosimy — uśmiechnęła się szeroko. — Nie zapominaj, Zane, jesteśmy Krimami. Wszyscy nas znają. Chodźcie za mną.

Wyszła z warsztatu, wskoczyła na deskę i skierowała się w stronę serca wyspy. Tamtejsze wieże imprez zawsze były otoczone wianuszkami paralotni, balonów na gorące powietrze i fajerwerkami.

Tally tak pędziła, że Zane i Fausto z trudem dotrzymywali jej kroku.

— Przekaż wiadomość reszcie Krimów! — krzyknęła do Fausta. — Powiedz im o zmianie planów.

Fausto zerknął na Zane'a, szukając potwierdzenia, i skinął głową. Wyraźnie ulżyło mu, że pomysł ze zgniatarką zastąpiło coś mniej niebezpiecznego.

— Ilu z nas chcecie zabrać ze sobą?

— Dziewięciu czy dziesięciu — odparła. — Wszystkich, którzy nie boją się wysokości. Reszta może uciec na deskach, tak jak planowaliśmy. Za dwadzieścia minut będziemy gotowi. Spotkamy się w centrum.

— Będę tam. — Fausto skrzywił się i wyleciał w nocne niebo.

Tally odwróciła się do Zane'a.

— Dobrze się czujesz?

Przytaknął, rozprostowując palce dłoni w rękawiczce.

— Nic mi nie będzie. Potrzebuję tylko chwili, by przywyknąć do tej myśli.

Tally podleciała do Zane'a i ujęła jego gołą dłoń.

— To, co chciałeś zrobić, wymagało wielkiej odwagi.

Pokręcił głową.

— To było głupie.

— No, może, ale gdybyśmy nie poszli do warsztatu, nie wpadłabym na mój pomysł.

Uśmiechnął się.

— Szczerze mówiąc, cieszę się, że tak się stało. — Znow nerwowo poruszył palcami. Nagle wskazał ręką przed siebie. — Tam jest kilka.

Podążyła wzrokiem za jego ręką i ujrzała wyrastającą w centrum wieżę imprez. Dwa balony na gorące powietrze unosiły się nad nią niczym wielkie łyse głowy. W łańcuchach, na których były uwiązane, odbijały się rozmigotane bezpieczne fajerwerki.

— Idealnie — mruknęła Tally.

— Widzę tylko jeden problem — rzekł Zane. — Jak dostaniemy się tak wysoko na deskach?

Tally zastanowiła się przez chwilę.

— Bardzo ostrożnie.

*

* *

Wzniesli się wyżej niż kiedykolwiek wcześniej, wzlatając powoli tuż przy wieży, dość blisko, by wyciągniętą ręką dotknąć betonowego muru. Metal wewnątrz budynku zapewniał minimum oparcia lotkom. Tally czuła pod stopami niepokojące drzenie, zupełnie jak wtedy, gdy jako maluch stała na samym końcu najwyższej trampoliny. Po bardzo długiej chwili dotarli do miejsca, gdzie przywiązano do wieży jeden z balonów. Tally przesunęła gołą ręką i wyczuła śliskie od deszczu ogniwa.

— Nie ma sprawy, to metal.

— Owszem. Ale czy dość metalu? — mruknął Zane.

Wzruszyła ramionami.

— A według ciebie to mój plan był ryzykowny. — Zane przewrócił oczami. — No dobra, biorę ten głupkowaty.

Powoli okrążył wieżę do miejsca, w którym na lekkim wietrze podskakiwał drugi balon. Tally uśmiechnęła się, widząc, że ma kształt olbrzymiej świńskiej głowy ze sterczącymi uszami i dwojgiem wielkich oczu wymalowanych na różowym nylonie powłoki.

Przynajmniej jej balon miał normalny kolor: srebrzysty i lustrzany, z niebieskim paskiem w najszerszym miejscu. Z gondoli dobiegł ją znajomy dźwięk otwieranego szampana, a potem śmiechy. Wisiała niedaleko, lecz niełatwo będzie jej dostać się do balonu.

Przebiegła wzrokiem wzdłuż łańcucha, który opadał lekko, a potem wznosił się stromą krzywą w miejsce, w którym doczepiono go do dna gondoli. Sinusoida skojarzyła się Tally z kolejką górską w Rdzawych Ruinach. Oczywiście kolejka miała w sobie znacznie więcej metalu, jakby zaprojektowano ją do lotów na desce. Ten smukły łańcuch nie zapewni zbyt wielkiego oparcia magnetycznym lotkom deski.

I w odróżnieniu od kolejki łańcuch nieustannie się poruszał. Balon powoli opadał, w miarę jak wypełniające powłokę powietrze stygło, lecz Tally wiedziała, że skoczy nagle

w górę i naciągnie łańcuch, jeśli ktoś uruchomi palnik. Co gorsza, Powietrzniacy mogli się znudzić wiszeniem przy wieży i wyruszyć na nocną przejażdżkę, zwalniając łańcuch; wówczas nic nie oddzielałoby Tally od ziemi.

Zane miał rację: nie był to najłatwiejszy sposób zdobycia balonu, ale nie mieli czasu, by złożyć zamówienie bądź czekać, aż Powietrzniacy w gondoli znudzą się i postanowią wylądować. Jeśli mieli dotrzeć do Rdzawych Ruin przed świtem, musieli wyruszyć wkrótce. Może ktoś znajdzie Shay, nim wcielą w życie nowy plan.

Tally wzniosła się wyżej przy ścianie, aż w końcu pierścień cumowniczy znalazł się dokładnie pod środkiem jej deski. Powoli ruszyła naprzód, oddalając się od wieży, szybując w powietrzu, balansując deską nad łańcuchem jak akrobata na linie.

Wolno przesuwiała się naprzód, lotki dygotały z wysiłku, niewidzialne, magnetyczne palce odpychały deskę od łańcucha. Parę razy opadła tak nisko, że otarła się o ogniwa, aż wstrząsnął nią dreszcz. Zobaczyła, że balon lekko opada — to jej ciężar zakłócił delikatną równowagę między rozgrzanym powietrzem i siłą ciężenia.

Tally opadała, aż w końcu dotarła do najniższego punktu. Potem zaczęła wznosić się w stronę balonu. Jej deska dygotała coraz bardziej, zostawiając za sobą wieżę, aż wreszcie Tally była już pewna, że lotki zaraz zawiodą i runie na odległą o piętnaście metrów ziemię. Przy tej wysokości bransolety bezpieczeństwa byłyby jeszcze gorsze niż kamizelka bungee. Zatrzymując ją gwałtownie, zapewne wywichną jej bark.

Rzecz jasna to nic w porównaniu z tym, co mogłaby zrobić zginiatarka.

Lecz lotki wytrzymały. Deska wciąż się wznosiła w stronę gondoli. Tally usłyszała dobiegające z balkonu za plecami okrzyki i zrozumiała, że imprezowicze zauważyli ją i Zane'a.

— Co to za nowa pyszna zabawa?

Nad krawędzią gondoli pojawiła się twarz, patrząc na nią ze zdumieniem.

— Hej, spójrzcie! Ktoś tu jest.

— Co? Jak?

Pozostała trójka ślicznych stłoczyła się z jednej strony, zerkając na Tally. Przesunięcie środka ciężkości sprawiło, że łańcuch zaczął się kołysać. Tally zaklęła, czując, że deska chybotze jej się niebezpiecznie pod stopami.

— Hej, nie ruszajcie się tam! — zawołała. — I nie włączajcie palnika!

Jej ostrym słowem odpowiedziała zdumiona cisza, ale Po— wietrzniacy przynajmniej przestali się wiercić.

Minutę później dygocząca deska Tally dotarła blisko gondoli. Tally ugięła kolana i skoczyła. Przez moment leciała swobodnie, a potem jej dłonie chwyciły wiklinową krawędź. Czyjeś ręce wtaszczyły ją w górę i po chwili Tally znalazła się wewnątrz.

Patrzyło na nią czworo zszokowanych Powietrzników. Odciążona deska pomknęła za nią i Tally wciągnęła ją do środka.

— Rany, jak to zrobiłaś?

— Nie wiedziałem, że deski mogą wzlecieć tak wysoko!

— Hej, ty jesteś Tally Youngblood!

— A któż by inny? — Uśmiechnęła się szeroko i wychyliła. Ziemia zbliżała się, ciężar Tally i deski ściągał balon w dół. — Mam nadzieję, że zgodzicie się wylądować. Musimy z przyjaciółmi wybrać się na przejażdżkę.

*

* *

Nim balon zdążył osiąść na trawniku przed apartamen— towcem Garbo, na miejscu zjawiła się grupka Krimów na deskach. Prowadził ich Fausto. Tally dostrzegła lądujący w pobliżu różowouchy balon Zane'a.

— Jeszcze nie wsiadajcie — rzuciła Tally do porwanych Powietrzników. — Nie chcemy, żeby balon nagle wystrzelił w powietrze.

Zaczekali, aż Peris i Fausto podlecą bliżej i wsiądą do gondoli.

— Ile osób się tu zmieści, Tally? — spytał Fausto.

Gondolę zrobiono z wikliny. Tally przesunęła dłonią po

splecionej łożynie, wciąż najlepszym materiale na rzeczy mocne, lekkie i giętke.

— Powiedzmy, cztery osoby w każdym.

— Co właściwie chcecie zrobić? — zdobył się w końcu na odwagę jeden z Powietrzników.

— Zaczekajcie, a sami zobaczycie — odparła Tally. — A kiedy przeprowadzą z wami wywiad do wiadomości, będziecie mogli wszystko opowiedzieć.

Czwórka ślicznych przyglądała jej się wielkimi oczami. Nagle pojęli, że wkrótce staną się sławni.

— Ale przez najbliższą godzinę nic nikomu nie mówcie. W przeciwnym razie nasz numer nie wypali i historia nie będzie taka pyszna.

Posłusznie skinęli głowami.

— Jak zwolnić łańcuch?

Tally uświadomiła sobie, że choć wielokrotnie miała na to ochotę, nigdy jeszcze nie leciała balonem.

— Trzeba pociągnąć tę linkę — wyjaśnił jeden z Powietrzników. — A jeśli chcielibyście wezwać lotowóz, naciśnijcie ten guzik.

Tally uśmiechnęła się. Tego akurat nie będą potrzebowali.

Jeden z Powietrzników dostrzegł jej minę.

— Hej, wybieracie się gdzieś naprawdę daleko, prawda?

Tally zastanawiała się przez moment. Wiedziała, że to, co powie, wyląduje w wiadomościach i będzie powtarzane przez całe pokolenia brzydkich i nowych ślicznych. Warto zaryzykować prawdę, uznała. Tych czworo nie zechce zrezygnować z kryminalnej sławy, dlatego nie zawiadomią władz, póki nie będzie za późno.

— Lecimy do Nowego Dymu — oznajmiła wolno i wyraźnie. Tamci gapili się na nią z niedowierzaniem.

„Udław się tym, doktor Cable” — pomyślała radośnie.

Gondola zadrżała. Tally odwróciła się i ujrzała Zane'a, który właśnie wskoczył do środka.

— Mogę do was dołączyć? W moim balonie jest już czworo — rzekł. — A kolejna grupka ściąga następny.

— Reszta wyruszy na nasz sygnał — dodał Fausto.

Tally przytaknęła. Nieważne, którą drogę wybiorą, byle tylko oni z Zane'em uciekli balonem. Uniosła głowę i spojrzała na wiszący w górze palnik, który mruczał cicho jak silnik odrzutowy przed startem, czekając, by znów rozgrzać powietrze w czaszy. Tally miała nadzieję, że wystarczy mu mocy, by rozszerzyć bransolety albo przynajmniej zniszczyć ukryte w nich nadajniki.

Wyciągnęła z kieszeni żaroodporne rękawice i wręczyła parę Zane'owi.

— To znacznie lepszy plan, Tally. — Zerknął na palnik. — Piec, który lata. Gdy się uwolnimy, będziemy już na skraju miasta.

Uśmiechnęła się do niego.

— W porządku — rzuciła do Powietrzników. — Możecie już wsiąść. Dzięki za pomoc i pamiętajcie, żeby nie wspominać o tym nikomu co najmniej przez godzinę.

Przytaknęli i kolejno wyskoczyli z gondoli. Cofnęli się kilka metrów, robiąc im miejsce. Kosz zakołysał się i zaczął niecierpliwie podskakiwać.

— Gotowi? — zawołała Tally do pasażerów świńskiego balonu.

Siedzący w nim Krimowie unieśli kciuki. Nieopodal lądował trzeci balon; oni także wkrótce wystartują. Im więcej, tym lepiej. Jeśli wszyscy przed skokiem zostawią w gondolach obrączki interfejsowe, opiekunów czeka ciężka noc.

— Wszystko gotowe — rzekł cicho Zane. — Ruszajmy.

Tally przebiegła wzrokiem po horyzoncie — po apartamentowcu Garbo, wieżach imprez, światłach Miasta Nowych Ślicznych. Oto świat, za którym tęskniła przez całe brzydkie życie. Zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze ujrzy to miasto.

Jeśli wiadomość o ucieczce nie dotarła do Shay, Tally będzie musiała wrócić. Nacinanie stanowiło tylko rozpaczliwą próbę znalezienia leku. Nie ma mowy, by zostawiła przyjaciółkę na dobre, nawet jeśli Shay naprawdę ją nienawidziła.

— W porządku, ruszajmy — odparła, po czym wyszeptała: — Wybacz, Shay. Wrócę po ciebie.

Sięgnęła w górę i pociągnęła łańcuch startowy. Palnik ożył z rykiem, zalała ich fala gorąca, a czasza w górze zaczęła pęcznieć. Balon wzniósł się w powietrze.

— Rany! — zawołał Peris. — Wynosimy się stąd!

Fausto krzyknął radośnie i szarpnął sznurek zwalniający łańcuch. Gondola podskoczyła, uwolniona od jego ciężaru.

Tally i Zane patrzyli sobie w oczy. Teraz wlatywali szybko, mijali właśnie szczyt wieży imprez. Grupa ślicznych zebranych tam na balkonie pomachała do nich z pijackim entuzjazmem.

— Naprawdę stąd uciekam — mruknął cicho Zane. — Nareszcie.

Tally uśmiechnęła się. Tym razem Zane się nie wycofa. Ona nie pozwoli mu na to.

Balon wkrótce pozostawił w dole wieżę imprez, wznosząc się ponad najwyższe budynki w Mieście Nowych Ślicznych. Tally widziała otaczającą ich srebrną obręcz rzeki, ciemność Brzydalowa i przygaszone światła przedmieść, ciągnące się na wszystkie strony. Wkrótce zobaczą morze.

Wypuściła łańcuch, wyłączając palnik. Nie chcieli lecieć zbyt wysoko — balony nie były na tyle szybkie, by uciec lotowozom opiekunów. Do tego potrzebowali desek. Wkrótce będą musieli skoczyć, lecąc swobodnie, póki desek nie zatrzyma magnetyczna sieć miasta.

Nie było to tak proste jak skok z kamizelką bungee, ale Tally miała nadzieję, że nie okaże się zbyt niebezpieczne. Patrząc w dół, pokręciła głową i westchnęła. Czasami miała wrażenie, jakby całe jej życie stanowiło serię upadków z coraz większej wysokości.

Widziała, że wiatr niesie ich szybko, oddalając od morza, choć, co dziwne, otaczające ich powietrze wydawało się nieruchome. Oczywiście, pomyślała, przecież balon przesunął się wraz z nim. Zupełnie jakby trwała w bezruchu, a świat przemykał pod jej stopami.

Mijali już Rdzawe Ruiny, lecz wokół miasta można znaleźć mnóstwo rzek o korytach pełnych złóż minerałów zdolnych unieść lotodeskę. Krimowie planowali, że skierują się we wszystkie strony — każdy z nich znał drogę do ruin, niezależnie od tego, dokąd poniesie ich wiatr.

Tally zrzuciła na dno kosza zimowy płaszcz, bransolety bezpieczeństwa i rękawice. Z palnika wciąż promieniowało ciepło, na razie więc nie marzła. Nałożyła żaroodporne

rękawiczki, lewą wsunęła pod bransoletę interfejsową, naciągając aż za łokieć, prawie pod pachę. Naprzeciw niej Zane także się szykował.

Teraz musieli znaleźć się w zasięgu ognia.

Uniosła głowę. Palnik z gondolą łączyła ośmioramienna konstrukcja przywodząca na myśl olbrzymiego, metalowego pająka. Tally oparła stopę na olinowaniu i przytrzymując się kurczowo metalowych prętów, podciągnęła się do góry. Przycupnięta jak na grzędzie, zerknęła w dół na przepływające w dole miasto. Miała nadzieję, że nagły podmuch wiatru nie rozkołysze balonu.

Odetchnęła głęboko.

— Fausto, sygnał.

Przytaknął i zapalił rzymską świecę, która zasyczała, bryzgając wokół zielonymi i fioletowymi iskrami.

Tally patrzyła, jak pobliscy Krimowie odpowiadają identycznym sygnałem. Fajerwerki zapłonęły nad wyspą w serii barwnych pióropuszy. Nie mogli się już wycofać.

— W porządku, Zane — rzekła. — Ściągajmy je.

Od czterech dysz palnika twarz Tally dzielił zaledwie metr. Wciąż się jarzyły, gorące w mroźnym, nocnym powietrzu. Tally wyciągnęła rękę i ostrożnie postukała w jedną palcem. Kobieta z warsztatu mówiła prawdę. Przez żaroodporny materiał czuła krawędzie dyszy, drobne nierówności w miejscu spawu, ale żadnej zmiany temperatury. Palnik nie był ani zimny, ani gorący... nic. Było to dziwne uczucie, zupełnie jakby zanurzyła dłoń w wodzie o temperaturze ciała.

Spojrzała na Zane'a, który wspiał się na drugą stronę konstrukcji.

— Zane, te rękawiczki naprawdę działają. Nic nie czuję.

Zane przyjrzał się swojej dłoni. Nie wydawał się za bardzo przekonany.

— Powiadasz dwa tysiące stopni?

— Zgadza się. — Jeśli wierzyć statystykom podanym przez średnią śliczną artystkę wydmuchującą szkło w środku nocy. — Ja pierwsza.

— Nie ma mowy. Zrobimy to razem.

— Po co te dramatyczne gesty? — Tally spojrzała na Fausta, równie bladego jak wtedy, gdy Zane włożył dłoń do zgniatarki. — Na mój sygnał szarpnij łańcuch palnika, jak najkrócej zdołasz.

— Chwileczkę — wtrącił Peris. — Co wy właściwie robicie?

Tally uświadomiła sobie, że nikt nie poinformował Perisa

o ich planach. Przyjaciel wpatrywał się w nią kompletnie oszołomiony. Cóż, nie czas teraz na wyjaśnienia.

— Nie martw się, włożyliśmy rękawiczki — oznajmiła i położyła rękę na palniku.

— Rękawiczki? — powtórzył Peris.

— Tak... specjalne rękawiczki. Odpalaj, Fausto! — zawołała Tally.

Uderzyła ją fala gorąca, z dyszy wystrzelił oślepiająco jasny, przejrzysty, błękitny płomień. Tally zacisnęła powieki. Na skórze twarzy czuła szalejące obok inferno, parzące niczym pustynny wiatr. Błyskawicznie pochyliła głowę poniżej poziomu ramy palnika i usłyszała krzyk Perisa, pełen przerażenia i zdumienia. Pół sekundy później palnik zgasł.

Tally otworzyła oczy, w których wciąż tańczyły żółte plamy powidoków. Zdołała jednak ujrzeć przed sobą poruszające się palce, całe i nietknięte.

— Moja ręka niczego nie poczuła — zawołała.

Zamrugła, przeganiając wirujące, żółte plamy. Bransoleta jarzyła się lekko, nie wyglądała jednak na większą.

— Co ty robisz? — wrzasnął Peris.

Fausto go uciszył.

— No dobra. — Zane uniósł rękę tuż nad palnikiem. — Załatwmy to szybko. Do tej pory połapali się już, że coś kombinujemy.

Tally skinęła głową — bransoleta musiała zarejestrować jprzeraźliwy żar płomienia. Podobnie jak naszyjnik, który dała jej doktor Cable przed wyprawą do Dymu, zapewne zaprojektowano ją tak, by w razie uszkodzenia wysłała sygnał alarmowy. Odetchnęła głęboko zimnym, nocnym powietrzem, ponownie wysunęła dłoń i pochyliła głowę.

— Dobra, Fausto, trzymaj, póki nie powiem „stop”.

Zalała ją kolejna fala morderczego gorąca. Peris wpatrywał się w nią, w blasku rozszalałego ognia jego twarz wyglądała demonicznie i Tally musiała odwrócić wzrok. Nad nimi czasza znów zaczęła pęcznieć; kolejna porcja rozgrzanego powietrza pociągnęła balon w górę. Gondola zakołysała się i Tally miała szansę sprawdzić siłę swojego uchwytu.

Lewe ramię, okryte jedynie cienkim materiałem podkoszulka, znalazło się najbliżej ognistego piekła. Pozbawiona ochronnej rękawicy skóra piekła jak po ostrym poparzeniu słonecznym. Po plecach spływały jej strużki potu.

Co dziwne, najmniej ognisty żar odczuwały jej ręce, nawet lewa, tkwiąca w samym sercu piekła. Tally wyobrażała sobie, jak ukryta przed jej wzrokiem wśród płomieni bransoleta rozgrzewa się do czerwoności, do białości... stopniowo rozszerza.

Gdy uznała, że minęła już co najmniej minuta, krzyknęła:

— W porządku, stop!

Palnik zgasł i natychmiast otoczyło ją chłodne powietrze i ciemność. Tally wyprostowała zgięte nogi, stopami wciąż wsparta na olinowaniu gondoli, i zamrugła, zaskoczona ciszą i spokojem, które zapanowały po zgaszeniu szalejącego płomienia.

Cofnęła rękę znad palnika. Mimo że zakończenia nerwów dawały o sobie znać, spodziewała się ujrzeć poczerniały kikut. Ale zobaczyła komplet pięciu palców. Bransoleta jarzyła się oślepiającą bielą, po jej krawędziach hipnotycznie przeskakiwały błękitne płomyki. Nozdrza Tally wypełniła woń stopionego metalu.

— Szybko, Tally! — huknął Zane, zeskakując do gondoli, i zaczął szarpać własną bransoletę. — Zanim wystygną!

Tally poszła w jego ślady i zaczęła ciągnąć — ciesząc się, że zabrała po dwie rękawiczki. Bransoleta zsunęła się po ręce, lecz zatrzymała się tam gdzie zawsze, dokładnie w tym samym miejscu. Tally, mrużąc oczy, przyjrzała się rozpalonej metalowej obręczy, próbując ocenić, czy urosła. Zdawała się większa, ale być może zaroodporna rękawica była grubsza, niż sądziła, i z nawiązką wyrównywała różnicę.

Tally ścisnęła palce lewej dłoni i znów pociągnęła; bransoleta przesunęła się kolejny centymetr. Z metalu wciąż promieniowało ciepło, lecz stopniowo jego barwa zmieniała się, ciemniała, gasła... Czy stygnąc, bransoleta skurczy się z powrotem, miażdżąc jej przegub? Tally zacisnęła zęby. Szarpnęła raz jeszcze, z całych sił... I bransoleta zsunęła się, lecąc na dno gondoli niczym rozżarzony węgiel.

— Tak! — W końcu była wolna.

Uniosła wzrok i rozejrzała się po swych towarzyszach. Zane wciąż się siłował. Fausto i Peris odskoczyli, by uniknąć kontaktu z rozpalonym metalem bransolety.

— Udało się — powiedziała cicho Tally. — Zeszła.

— Ale moja nie — warknął Zane. Jego bransoleta zaklinowała się w najgrubszym miejscu przegubu, ona także przygasła. Zaklął i z powrotem wspiął się na olinowanie. — Odpal jeszcze raz.

Fausto skinął głową i znów uruchomił palnik.

Tally odwróciła się od gorąca. Patrzyła w dół, na miasto, próbując przegnać latające przed oczami barwne plamy. Minęli już pas zieleni i znaleźli się nad przedmieściami. Widziała zbliżający się pas przemysłowy, pas fabryk jaśniejących pomarańczowymi, przemysłowymi światłami i dalej absolutną, nieprzeniknioną czerń za krańcem miasta.

Wkrótce będą musieli skoczyć. Za parę minut znajdą się poza siecią metalu ukrytą w ziemi pod miastem. Bez niego deski nie polecą, nawet nie powstrzymają upadku, i zamiast normalnie się wymknąć, będą zmuszeni awaryjnie lądować balonem.

Zerknęła na napęczniałą czaszę, zastanawiając się, ile trzeba by czasu, żeby wciąż wznoszący się balon osiadł na ziemi. Może gdyby jakoś rozdarli powłokę, wylądowałby szybciej — ale jak mocno zderzyłby się z ziemią? A poza tym bez działających desek musieliby we czwórkę maszerować pieszo aż do rzeki. To dałoby opiekunom mnóstwo czasu na znalezienie zniszczonego balonu i wytropienie pasażerów.

— Dalej, Zane! — rzuciła. — Musimy się spieszyć!

— Spieszę się. Jasne?

— Co to za zapach? — spytał Fausto.

— Jaki?

Tally cofnęła się do gondoli, wężąc w nieruchomym, gorącym powietrzu. Coś się paliło.

NA SKRAJU MIASTA

— To my! — krzyknął Fausto.

Odskoczył i wypuścił łańcuch palnika, wbijając wzrok w dno gondoli.

I wtedy Tally również to poczuła: woń palącej się wikliny, przypominającą zapach gałęzi wrzuconych do ogniska. Gdzieś pod ich stopami rozpalona do czerwoności bransoleta podpaliła gondolę.

Zerknęła na Zane'a, wciąż przycupniętego w olinowaniu — zignorował paniczne okrzyki pozostałych, gwałtownie szarpiąc rozżarzoną bransoletę. Peris i Fausto podskakiwali wokół, próbując znaleźć źródło zapachu.

— Spokój! — zawołała Tally. — Zawsze możemy skoczyć.

— Ja nie mogę! Jeszcze nie! — odkrzyknął Zane, wciąż zmagając się z bransoletą.

Peris wyglądał, jakby miał ochotę wyskoczyć z balonu bez deski. Roztańczone jasne plamy zniknęły w końcu sprzed oczu Tally i mogła spojrzeć w dół. Leżała tam butelka pozostawiona przez Powietrzników. Sięgnęła po nią. Wciąż była pełna.

— Spokojnie, chłopcy. — Tally wyćwiczonym gestem rozdarła folię i wsunęła oba kciuki pod korek. Podważyła go, patrząc, jak szybuje i znika w mrocznej otchłani. — Wszystko jest pod kontrolą.

Z butelki poląła się piana. Tally zakryła wylot szyjki kciukiem, parę razy potrząsnęła butelką i obryzgała szampanem dno gondoli. Odpowiedział jej gniewny syk gasnących płomieni.

— Mam! — krzyknął nagle Zane.

Jego bransoleta spadła i poturlała się pod nogi Tally, która spokojnie opróżniła na nią resztę zawartości butelki. Otoczył ją obłok woni stopionego metalu zmieszanej z osobliwie słodkim zapachem gotowanego szampana.

Zane przyglądał się ze zdumieniem uwolnionej lewej ręce. Ściągnął zaroodporne rękawice i wyrzucił je z balonu.

— Udało się! — Porwał Tally w objęcia.

Zaśmiała się, upuszczając butelkę, i także ściągnęła rękawiczki.

— Później będziemy mieli więcej czasu. Teraz czym prędzej wynośmy się stąd.

— Dobra. — Ustawił deskę na krawędzi kosza, patrząc w dół. — Cholera, wysoko.

Fausto szarpnął dyndającą linkę.

— Wypuszczę trochę gorącego powietrza, może zdołamy się obniżyć.

— Nie ma czasu! — krzyknęła Tally. — Jesteśmy już prawie na skraju miasta. Jeśli się rozłączymy, spotkajmy się w najwyższym budynku w ruinach. I pamiętajcie: spadając, nie wypuszczajcie desek!

i Wszyscy zaczęli gorączkowo chwycić plecaki, wpadając na siebie w ciasnej gondoli. Zane i Tally naciągnęli z powrotem zimowe płaszcze i bransolety bezpieczeństwa. Fausto zdjął obręczkę interfejsową i cisnął w głąb gondoli. Potem chwycił deskę i z radosnym okrzykiem wyskoczył. Pozbawiony obciążenia balon prysnął w górę.

Gdy Zane był gotów, odwrócił się i pocałował Tally.

— Udało nam się. Jesteśmy wolni!

Spojrzała mu w oczy, oszołomiona świadomością, że są w końcu tu, na skraju miasta, na początku wolności.

— Tak, udało się.

— Do zobaczenia na dole. — Spojrzał przez ramię na odległą ziemię i znów na nią. — Kocham cię.

— Do zobaczenia na do... — zaczęła, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Potrzebowała chwili, by odtworzyć to, co powiedział. W końcu zdołała wykrztusić: — Och. Ja ciebie też.

Zane zaśmiał się, po czym z głośnym okrzykiem wyskoczył. Gondola zakołysała się, szarpiąc pozostałą dwójką pasażerów.

Tally zamrugała, na moment oszołomiły ją niespodziewane słowa Zane'a. Potrząsnęła jednak głową, aby oczyścić umysł. Na ślicznomózgwie oszołomienie będą mieli czas później, teraz musiała skakać.

Zaciągnęła mocno paski plecaka i ustawiła deskę na krawędzi.

— Pospiesz się! — krzyknęła do Perisa.

On jednak stał bez ruchu, patrząc w dół.

— Na co czekasz? — zawołała.

Pokręcił głową.

— Nie mogę.

— Możesz to zrobić. Deska powstrzyma upadek, musisz tylko mocno się trzymać. Skacz, już! Całą resztę załatwi grawitacja.

— Nie chodzi o upadek, Tally. — Peris odwrócił się i spojrzał wprost na nią. — Ja nie chcę odchodzić.

— Co?

— Nie chcę opuszczać miasta.

— Ale przecież na to właśnie czekaliśmy!

— Nie ja — wzruszył ramionami. — Podobali mi się Krimowie i bycie pysznym. Ale nigdy nie sądziłem, że posuniemy się aż tak daleko. No wiesz, mamy na zawsze opuścić dom?

— Peris...

— Wiem, że ty już tam byłaś razem z Shay. A Zane i Fausto stale rozmawiali o ucieczce. Ale ja nie jestem taki jak wy.

— Ale przecież ty i ja... jesteśmy...

Tally zająknęła się. Już miała powiedzieć: „przyjaciółmi na zawsze”, lecz te słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Peris nie był w Dymie, nie miał nawet do czynienia z Wyjątkowymi Okolicznościami, nigdy nie sprawiał kłopotów, jemu zawsze wszystko układało się gładko. Jego życie już od bardzo dawna kompletnie różniło się od jej życia.

— Na pewno chcesz zostać?

Powoli skinął głową.

— Na pewno. Ale wciąż mogę pomóc. Zajmę ich czymś, jak najdłużej zostanę w powietrzu, a potem nacisnę guzik wzywający opiekunów. Będą musieli po mnie przylecieć.

Tally już miała protestować, przypomniała sobie jednak noc, gdy przekradła się przez rzekę tuż po operacji Perisa i odwiedziła go w apartamentowcu Garbo. Tak szybko przywykł do nowej sytuacji. Od początku pokochał Miasto Nowych Ślicznych. Może cała sprawa z Krimami była dla niego jednym wielkim dowcipem?

Ale nie mogła zostawić go samego w mieście.

— Peris, zastanów się. Bez nas nie będziesz już pyszny. Znów staniesz się zwykłym ślicznym.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— To mi nie wadzi, Tally. Nie muszę być pyszny.

— Nie? Ale czy nie czujesz, że to... lepsze?

Wzruszył ramionami.

— Ekscytujące, owszem. Ale nie można wiecznie walczyć z panującym porządkiem. W pewnym momencie trzeba...

— Się poddać?

Peris skinął głową. Wciąż się uśmiechał, jakby poddanie się nie było takie złe, a walka miała sens tylko, dopóki jest zabawna.

— W porządku, w takim razie zostań. — Odwróciła się, nie ufając własnemu głosowi. Kiedy jednak spojrzała w dół, dostrzegła tylko ciemność. — Niech to szlag — rzekła cicho.

Miasto się skończyło. Było za późno na skok.

*

* *

Oboje patrzyli w mrok, wiatr unosił ich coraz dalej i dalej.

To Peris odezwał się pierwszy.

— W końcu gdzieś wylądujemy, prawda?

— Ale niedostatecznie szybko. — Tally westchnęła. — Opiekunowie pewnie już wiedzą, że usmażyliśmy swoje bransolety. Wkrótce się zjawią. Jesteśmy idealnym celem.

— Och, nie chciałem schrzanić ci wszystkiego.

— To nie twoja wina, zbyt długo czekałam.

Tally przełknęła ślinę, zastanawiając się czy Zane dowie się kiedyś, co się stało. Czy pomyśli, że zginęła podczas skoku? A może, że stchórzyła, jak Peris?

Nieważne jednak. Ujrzała ich wspólną przyszłość znikającą, rozplywającą się jak odległe światła miasta. Kto wie, co Wyjątkowe Okoliczności zrobią z jej mózgiem, gdy znów ją złapią.

Spojrzała na Perisa.

— Naprawdę sądziłam, że chcesz pójść z nami.

— Posłuchaj, Tally, dałem się porwać temu wszystkiemu. Należec do Krimów to świetna sprawa, a wy byliście moimi przyjaciółmi, moją ekipą. Co niby miałem zrobić? Protestować przeciwko ucieczce? Protesty są takie przegięte.

Pokręciła głową.

— Myślałam, że jesteś pyszny, Peris.

— Bo jestem, Tally. Ale dzisiejszy poziom pyszności w zupełności mi wystarczy. Lubię łamać przepisy, ale żyć tam? — Machnął ręką, wskazując rozciągającą się w dole głuszę, zimne, niegościnne morze ciemności.

— Czemu nie powiedziałeś mi wcześniej?

— Nie wiem, chyba dopiero gdy znaleźliśmy się tu^{aj}, zrozumiałem, że poważnie myślicie o tym, żeby... już nigdy nie wrócić.

Tally przymknęła oczy, przypominając sobie, jak to jest myśleć jak śliczni — wszystko zamglone, rozmyte, świat jest jedynie źródłem rozrywek, przyszłość niewyraźna i radosna. Parę numerów nie wystarczy, by wszyscy poczuli się pysznie, trzeba chcieć odmienić swój umysł. Może niektórzy ludzie w duchu zawsze byli śliczni? Nawet przed wynalezieniem operacji.

Może niektórzy są dzięki temu szczęśliwsi.

— Ale teraz możesz zostać ze mną. — Objął ją ramieniem. — Wszystko będzie tak jak być powinno. Ty i ja, śliczni, najlepsi przyjaciele. Na zawsze.

Tally pokręciła głową, zrobiło jej się słabo.

— Ja nie zostanę, Peris. Nawet jeśli zabiorą mnie dziś z powrotem, znajdę sposób, by uciec.

— Czemu jesteś tam tak nieszczęśliwa?

Westchnęła, wyglądając w ciemność. Zane i Fausto zmierzali już pewnie w stronę ruin, zakładając, że podąża tuż za nimi. Jak mogła stracić taką szansę? Wydawało się, że

miasto zawsze znajduje jakiś sposób, by ją odzyskać. Czyżby gdzieś w głębi była taka jak Peris?

— Czemu jestem nieszczęśliwa? — powtórzyła miękko. — Bo miasto sprawia, że stajesz się taki, jakim oni chcą cię widzieć. A ja chcę być sobą. Oto dlaczego.

Mocniej uściskał jej ramię i odpowiedział smutnym spojrzeniem.

— Ale teraz ludzie są lepsi niż kiedyś. Może mają dobry powód, by nas zmieniać, Tally?

— Ich powody nic nie znaczą, jeżeli nie mam wyboru. A oni nikomu nie dają wyboru.

Tally strząsnęła z ramienia dłoń Perisa, oglądając się na odległe miasto. W powietrze uniosła się seria mrugających świateł, to zbierała się flota lotowozów. Przypomniała sobie, że wozy Wyjątkowych utrzymują się w górze dzięki wirującym śmigłom, tak jak starożytne helikoptery Rdzawców, i mogą latać poza siecią. Z pewnością zmierzają już w tę stronę, kierując się ostatnim sygnałem z bransolet.

Musiała wydostać się z balonu. Już.

Przed lotem Fausto naciągnął i przywiązał linkę i z każdą chwilą z czaszy ulatywało gorące powietrze. Lecz balon, potężnie rozgrzany po tym, jak zdejmowali bransolety, bardzo wolno tracił wysokość... Ziemia wcale nie wydawała się bliższa.

I wtedy Tally ujrzała rzekę.

Ciągnęła się pod nimi, połyskując w promieniach księżyca niczym srebrny wąż, spływając z bogatych w rudy metali gór do morza. Na jej dnie zalegały zgromadzone przez setki lat osady o dużej zawartości rud metali. Wystarczyło, żeby utrzymać deskę. A może i powstrzymać upadek.

Może jednak zdoła odzyskać przyszłość.

Z powrotem ustawiła deskę na skraju kosza.

— Skaczę.

— Ale Tally, nie możesz...

— Rzeka.

Peris wielkimi oczami spojrzał w dół.

— Wydaje się taka mała. A jeśli chybisz?

— Nie chybię. — Zacisnęła zęby. — Widziałeś skoczków bungee skaczących synchronicznie? Sterują swoim lotem wyłącznie za pomocą rąk i nóg. Ja mam całą deskę, to zupełnie jak skrzydła.

— Oszalałaś!

— Odchodzę. — Szybko ucałowała Perisa i przerzuciła nogę przez krawędź gondoli.

— Tally — złapał ją za rękę — możesz zginąć! Nie chcę cię stracić.

Odrzuciła go gwałtownie i Peris cofnął się z lękiem. Śliczni nie lubili konfliktów, śliczni nie lubili ryzykować, śliczni nigdy nie odmawiali.

Tally nie była już śliczna.

— Już mnie straciłeś — rzekła.

I ściskając kurczowo deskę, rzuciła się w otchłań.

Część III

NA ZEWNĄTRZ

*Miecz piękna tego świata ma dwa ostrza,
radości i bólu, przebijające serce na wylot.*

Virginia Woolf

Tally poleciała w ciemność, obracając się i koziółkując w powietrzu.

Rozpędzone powietrze uderzyło w nią z nieoczekiwaną siłą, o mało nie wyrwijając jej deskolotki z objęć. Przycisnęła ją mocno do piersi, lecz palce wiatru nie ustępowały, gotowe w każdej chwili odebrać jej jedyną nadzieję na przetrwanie. Oplotła deskę rękami, machając nogami i próbując opanować koziółkowanie. Ciemny horyzont powoli nieruchomiał.

Leciała jednak do góry nogami; uwieszona deski widziała gwiazdy. Nad sobą dostrzegła też ciemną kulę balonu. A potem zajaśniał płomień i czasza rozjarzyła się srebrnym blaskiem w mroku, jak wielki przygaszony księżyc. Zapewne Peris postanowił podlecieć wyżej, by zmylić pościg. Przynajmniej próbował pomóc.

Zabolało ją, że Peris zmienił zdanie, ale nie miała czasu się tym martwić. Nie teraz, lecąc ku ziemi.

Rozpaczliwie próbowała się obrócić, lecz deska była szersza od niej — łapała wiatr niczym żagiel, w każdej chwili grożąc wyrwaniem się z uchwytu. Tally przypominało to trochę trzymanie latawca w bardzo wietrzny dzień, tyle że gdyby straciła panowanie nad tym szczególnym latawcem, za jakieś sześćdziesiąt sekund rozbiłaby się o ziemię.

Spróbowała się odprężyć i po prostu wisieć. Nagle uświadomiła sobie, że coś szarpie ją za pas. Tu w górze, w pustce, lotki deski nie nadawały się do latania, ale nadal reagowały na metal w bransoletach bezpieczeństwa.

Poprawiła lewą bransoletę, by wzmocnić połączenie, i pewnie trzymając deskę, wyprostowała prawą rękę, walcząc z pędem powietrza. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie jeździła z rodzicami ziemiowozem, wystawiając rękę przez okno. Rozprostowana dłoń zwiększyła opór i Tally poczuła, że powoli zaczyna się obracać.

Kilka sekund później deska znalazła się pod nią.

Tally przełknęła ślinę na widok rozciągającej się w dole ziemi, bezkresnej, mrocznej i wygłodniałej. Lodowate powietrze zdawało się przenikać przez jej płaszcz.

Miała wrażenie, że spada całe wieki, ale ziemia wcale nie wydawała się bliższa. Nie widziała nic, co dawałoby jej wycucie skali, poza krętą rzeką, wciąż nie szerszą niż kawałek wstążki. Tally na próbę wygięła prawą dłoń i ujrzała, że do jej kształtu dopasowuje się lśniąca w blasku księżyca woda — rzeka skręcała w prawo.

Uśmiechnęła się lekko. Przynajmniej mogła jakoś zapanować nad swym szaleńczym lotem. Gdy tak spadała, srebrzyste pasmo rzeki zaczęło rosnąć, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Ciemny krąg ziemi powiększał się jak olbrzymi dra piezca zbliżający się ku niej, przesłaniający rozgwieżdżone niebo. Tally przywarła do

deski, trzymając się obiema rękami, i odkryła, że może też kierować lotem za pomocą wyprostowanych nóg, tak by rzeka znajdowała się bezpośrednio pod nią.

I wtedy, w ciągu ostatnich dziesięciu sekund, zaczęła sobie uświadamiać, jak wielka jest rzeka, szeroka i wzburzona. Ujrzała poruszające się w niej przedmioty.

Rosła, coraz szybciej i szybciej...

Gdy zadziały lotki, poczuła się tak, jakby zatrzasowane drzwi uderzyły ją prosto w twarz, rozplaszczając nos i rozcinając wargę. W ustach miała smak krwi. Bransolety bezpieczeństwa okrutnie wykręciły jej przeguby, a siła bezwładności przycisnęła do deski, wyciskając powietrze z płuc jak olbrzymie imadło. Z trudem zaczerpnęła powietrza.

Deska zwalniała bardzo szybko, lecz powierzchnia rzeki wciąż rosła, rozciągając się coraz dalej na wszystkie strony, olbrzymie lustro pełne gwiazd. Aż wreszcie...

Plask!

Deska uderzyła w wodę jak ręka olbrzyma i ciałem Tally wstrząsnął kolejny potężny cios. Eksplozja światła i dźwięku wypełniła jej głowę. A potem znalazła się pod wodą. W uszach dźwięczał jej tępy ryk. Wypuściła deskę i zaczęła się szamotać, płynąc w stronę powierzchni. Siła zderzenia pozbawiła ją oddechu. Tally zmusiła się do otwarcia oczu i ujrzała słabiutkie światło przesączające się przez mętną wodę. Zamachała słabo rękami i światło powoli się przybliżyło.

W końcu przebiła się na powierzchnię, głośno kaszłąc i chwytając powietrze.

Rzeka szalała wokół niej, rwący nurt wzbudzał wokół niewielkie, spienione fale. Tally płynęła pieskiem, bojąc się, że ciężar plecaka znów ściągnie ją w dół. Jej płuca chłonęły powietrze. Zaczęła gwałtownie kaszleć, nadal czując smak krwi.

Spojrawszy na boki, Tally odkryła, że wycelowwała aż za dobrze — znalazła się dokładnie pośrodku rzeki, pięćdziesiąt metrów od obu brzegów. Zaklęła, płynąc dalej i czekając na szarpnięcie bransolet bezpieczeństwa.

Gdzie była jej deska? Powinna już ją znaleźć.

Lotki zareagowały stanowczo zbyt późno — Tally sądziła, że zatrzyma się w powietrzu, a nie rąbnie z rozpędem w rzekę. Lecz po kilku chwilach namysłu zrozumiała, co się stało. Rzeka była głębsza, niż przypuszczała, minerały zebrane na dnie znalazły się daleko od jej nóg. Przypomniała sobie, że czasami deski opadały pośrodku miejskiej rzeki — były za daleko od osadów mineralnych, by pracować z pełną mocą.

Miała szczęście, że deska w ogóle spowolniła upadek.

Znów się rozejrzała. Deska, zbyt ciężka, by uniosła ją woda, pewnie opadła na dno, a rwący nurt ją porwał. Podkreśliła zasięg bransolet do całego kilometra, czekając, aż z wody wynurzy się znajomy kształt.

Wokół niej w wodzie podskakiwały ciemne kształty, węź— laste, i yeregularne. Skojarzyły jej się z flotyllą aligatorów. Czym były?

Coś ją szturchnęło...

Obróciła się gwałtownie, był to jednak tylko stary pień drzewa — nie aligator i nie deska. Tally uchwyciła się go z wdzięcznością, wykończona pływaniem. Wszędzie widziała inne drzewa, a także gałęzie, kępy trzcin, masę przegniłych liści. Rzekaniosła najróżniejsze rzeczy.

To deszcz, pomyślała Tally. Trzydniowe ulewy musiały to wszystko zmyć ze wzgórz. Sama rzeka też zapewne wezbrała, a prąd stał się szybszy. Pień, którego się trzymała, był stary i spróchniały, lecz w miejscu złamania dostrzegła kilka zielonych włókien drewna. Czy powódź wyrwała drzewo z ziemi jeszcze żywe?

Zbadała palcami miejsce złamania i przekonała się, że uderzyło w nie coś nienaturalnie prostego. Coś jakby krawędź deski.

Parę metrów dalej unosiła się kolejna kłoda, przecięta pod takim samym ostrym kątem. Tally, lądując, rozłupała stary pień. Po zderzeniu twarz jej krwawiła. Jak mocno zatem ucierpiała deska?

Jeszcze bardziej podkreśliła sygnalizatory w bransoletach, tak by szybciej zużyły się baterie. Z każdą sekundą prąd unosił ją dalej od miejsca lądowania.

Żadna deska nie wyłoniła się z wody, nic nie szarpnęło czujnika przy pępku. Minuty płynęły i Tally musiała pogodzić się z faktem, że deska padła, zamieniła się w zwykły śmieć na dnie rzeki.

Wyłączyła bransolety i wciąż trzymając się pnia, zaczęła manewrować w stronę brzegu.

*

* *

Brzeg był śliski i błotnisty — po deszczach ziemia nad wezbraną rzeką nasiąkła jak gąbka. Tally brodziła w sięgającej do bioder, pełnej gałęzi i trzcin wodzie w niewielkim zakolu. Miała wrażenie, że powódź zgromadziła wszystko, co tylko zdoła unieść się na powierzchni, i wyrzuciła to w jednym miejscu. Łącznie z Tally Youngblood.

Potykając się, wyszła na brzeg. Rozpaczliwie pragnęła poczuć pod stopami twardy grunt. Instynkt nakazywał iść dalej, oddalić się od pędzącej wody. Wyczerpane ciało zdawał się wypełniać ołów i Tally ześliznęła się z powrotem, cała oblepiona błotem. W końcu poddała się i skuliła na mokrym brzegu, dygocząc z zimna. Nie pamiętała, by kiedykolwiek odkąd stała się nową śliczną, czuła tak wielkie znużenie. Zupełnie jakby rzeka wyssała z niej całą żywotność.

Wyjęła z plecaka zapalaczkę i drżącymi palcami zebrała w jednym miejscu stosik wyrzuconych na brzeg gałązek. Lecz po trzech dniach deszczu drewno było tak mokre, że po zetknięciu z płomykiem jedynie głośno syczało.

Przynajmniej płaszcz wciąż działał. Rozkręciła grzejnik do maksimum, nie przejmując się bateriami, i zwinęła się w kłębek.

Czekała, aż nadejdzie sen, lecz jej ciało nie przestawało się trząść. Zupełnie jak w dawnych brzydkich czasach, gdy ogarniała ją gorączka. Ale nowi śliczni niemal w ogóle nie chorowali. Możliwe jednak, że przez ostatni miesiąc wyczerpała wszystkie rezerwy — prawie nic nie jadła, włączyła się, nie zważając na zimno, napędzana adrenaliną i kawą. Przez ostatnią dobę praktycznie nie było chwili, żeby nie ociekała wodą.

A może w końcu pojawiła się u niej ta sama reakcja na lek co u Zane'a? Czy teraz, gdy Tally znalazła się poza zasięgiem wszelkiej pomocy medycznej, pigułka zaczyna uszkadzać jej mózg?

Skronie Tally pulsowały, gorączkowe myśli wirowały jej w głowie. Nie miała deski, nie miała jak dostać się do Rdzawych Ruin. Musiała iść pieszo, nikt nie wie, gdzie jest. Z całego świata pozostała tylko głusza, przenikliwy ziąb i Tally Youngblood. Nawet brak bransolety na przegubie nie dawał jej spokoju, zupełnie jak szczerba po usuniętym zębie.

Najgorsza jednak była nieobecność Zane'a. Przez ostatni miesiąc spędzali razem wszystkie noce, a także większość dni. Mimo iż z konieczności milczeli, przywykła do jego stałej obecności, znajomego dotyku, niemych rozmów. Teraz jednak go zabrakło i Tally miała wrażenie, jakby podczas upadku utraciła jakąś część siebie.

Tysiące razy wyobrażała sobie tę chwilę, gdy w końcu dotrze w głuszę, uwolniona spod władzy miasta. Lecz nigdy nie przypuszczała, że będzie tu bez Zane'a.

A jednak tak właśnie się stało i była całkiem sama.

Długi czas leżała, odtwarzając kilka ostatnich gorączkowych minut w balonie. Gdyby tylko skoczyła wcześniej albo pomyślała, by spojrzeć w dół, nim znalazła się poza miejską siecią.

Po tym, co powiedział Zane, nie powinna się była wahać, wiedząc, że ucieczka to jedyna szansa pozostania razem, na wolności.

Raz jeszcze wszystko się posypało, i to z jej winy.

W końcu zmęczenie pokonało wszystkie troski i Tally zapadła w niespokojny sen.

Była w nim piękna księżniczka.

Siedziała zamknięta w wysokiej wieży o inteligentnych ścianach z dziurami, które mogły dać jej wszystko, czego zapagnęła: jedzenie, ekipy fantastycznych przyjaciół, cudowne stroje. I, co najlepsze, na ścianie wisiało też lustro, księżniczka mogła więc całymi dniami oglądać swe piękne odbicie.

Jedynym problemem był brak wyjścia. Budowniczkowie zapomnieli umieścić w wieży windę czy choćby schody. Księżniczka była uwięziona.

Pewnego dnia zorientowała się, że się nudzi. Widok z wieży — łagodne wzgórza, pola białych kwiatów i ciemna, mroczna puszcza — fascynował ją. Zaczęła spędzać więcej czasu, wyglądając przez okno, niż podziwiając własne odbicie, jak to często bywa z niespokojnymi dziewczętami.

Wydawało się oczywiste, że nie pojawi się żaden książę, a jeżeli — to okropnie spóźniony.

Pozostawało więc tylko jedno wyjście. Skok.

Dziura w ścianie dała jej uroczą parasolkę, która miała powstrzymać upadek, i cudowną nową sukienkę, specjalnie na pola i łąki, a także mosiężny klucz, by w razie potrzeby mogła wrócić do wieży. Ale księżniczka, śmiejąc się wyniośle, cisnęła klucz do kominka, przekonana, że nigdy nie zechce wrócić. Nie oglądając się na swe zwierciadło, wyszła na balkon i przekroczyła barierkę.

Problem w tym, że od ziemi dzieliła księżniczkę długa droga, znacznie dłuższa niż sądziła, a parasolka okazała się zupełnie do niczego. Spadając, księżniczka uświadomiła sobie, że powinna była poprosić o kamizelkę bungee, spadochron, cokolwiek lepszego niż parasolka.

Bardzo mocno uderzyła o ziemię i leżała tam, obolała, oszołomiona i potłuczona, zastanawiając się, czemu tak się stało. W pobliżu nie było księcia, który by ją podniósł, zniszczyła nową sukienkę, a z powodu swojej dumy nie mogła wrócić do wieży.

A co najgorsze, tu, w głuszy, nie było żadnych lusterek, nie mogła więc sprawdzić, czy nadal jest piękna... Czy może upadek także to odmienił.

*

* *

Kiedy Tally obudziła się z tego przegiętego snu, słońce pokonało już połowę dziennej drogi po niebie.

Z trudem dźwignęła się na nogi. Musiała siłą wrywać się z zasysających objęć błota. W którymś momencie nocy w zimowym płaszczu wyczerpała się energia. Bez

baterii stał się zimną szmatą klejącą się do skóry, wciąż wilgotną po kąpieli w rzece i lekko śmierdzącą. Tally odlepiła go od siebie i ułożyła na szerokim kamieniu, z nadzieją że wyschnie na słońcu.

Po raz pierwszy od kilku dni na niebie nie było chmur. Lecz wraz ze słońcem nadszedł mróz — ciepło towarzyszące deszczowi zniknęło. Drzewa błyszcząły od szronu, a błoto pod jej stopami stwardniało. Cieniutka warstwa lodu chrzęściła przy każdym kroku.

Gorączka już minęła, lecz kiedy Tally wstała, zakręciło jej się w głowie. Uklękła zatem obok plecaka, by przejrzeć jego zawartość — cały swój majątek. Fausto zdołał zgromadzić część zwykłego dymiarzkiego zestawu: nóż, filtr do wody, pozycjomierz, zapalacz i bezpieczne zimne flary, a także kilkanaście paczuszek mydła. Pamiętając, jak bardzo Dymiarze cenili sobie liofilizowany prowiant, Tally spakowała trzymiesięczny zapas, na szczęście wciąż owinięty w wodoodporną folię. Lecz na widok dwóch rolek papieru toaletowego jęknęła głośno. Obie nasiąkły wodą, zmieniając się w rozdęte, bezkształtne białe bryły. Położyła je na kamieniach obok kurtki, wątpiła jednak, czy w ogóle warto je suszyć.

Westchnęła. Nawet dawniej, w Dymie, nie mogła przywyknąć do używania liści.

Znalazła swój żaloszny stosik gałązek i przypomniała sobie, jak poprzedniej nocy próbowała je podpalić, zbyt rozgorączkowana i oszołomiona, by uświadomić sobie, jaki to głupi pomysł. Lotowozy Wyjątkowych Okoliczności ścigające balon z łatwością wypatrzyłyby ogień w mroku.

Tego ranka nie dostrzegła na niebie śladów pogoni, lecz na wszelki wypadek postanowiła trochę oddalić się od rzeki.

Grzejnik w płaszczu nie działał wieczorem, więc będzie musiała rozpalić ognisko. Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw musiała się zająć jedzeniem.

Podreptała do rzeki, by napełnić oczyszczacz. Zaschnięte błoto przy każdym kroku osypywało jej się ze skóry i ubrania. Nigdy w życiu nie była taka brudna, ale nie miała ochoty na kąpiel w lodowatej wodzie, zwłaszcza że potem nie mogłaby się ogrzać przy ognisku. Owszem, gorączka zeszłej nocy minęła dzięki nowemu układowi odpornościowemu ślicznych, ale Tally wołała nie narażać zbytnio własnego zdrowia.

Oczywiście wiedziała, że to nie o zdrowie powinna się martwić. Gdzieś tam był też Zane, może równie samotny jak ona. Wraz z Faustem wyskoczyli niemal równocześnie, ale mogli wylądować w odległości kilku kilometrów. Gdyby Zane w czasie drogi do ruin miał atak, bez pomocy...

Tally pospiesznie przegnała te myśli. W tej chwili mogła zrobić dla niego tylko jedno: dotrzeć do ruin. To zaś oznaczało przygotowanie posiłku, a nie zamartwianie się rzeczami, na które nie miała wpływu.

Musiała dwa razy napełnić oczyszczacz, nim zdołał przesączyć tyle mulistej wody, by wystarczyło na posiłek. Wybrała paczuszkę PadThai i nastawiła oczyszczacz na gotowanie. Wkrótce znad bulgoczącej wody uniósł się zapach pęczniejącego makaronu i przypraw.

Kiedy oczyszczacz brzęknął, sygnalizując, że danie jest gotowe, Tally konała z głodu.

Skończywszy PadThai, uświadomiła sobie, że nie musi już się głodzić, i natychmiast ugotowała opakowanie Mak— Curry. Głód pomógł jej pozbyć się bransolety i pozostać pyszną. Teraz jednak bransolety nie było, a Tally miała do dyspozycji całą głuszę, niebezpieczną i zimną, która nie pozwoli powrócić ślicznomózgowiu. Tu raczej nie było takiej możliwości.

Po śniadaniu pozycjomierz podał jej własne złe wieści. Tally musiała dwukrotnie sprawdzić obliczenia, nim uwierzyła, jak wielką odległość pokonała poprzedniej nocy. Wiatry znad oceanu zanosły balon daleko na wschód, w kierunku przeciwnym do Rdzawych Ruin, a potem prąd rzeki porwał ją równie daleko na południe. Od ruin dzielił ją ponad tydzień marszu — gdyby poruszała się w linii prostej. A linia prosta nie wchodziła w grę: będzie musiała okrążyć całe miasto, trzymając się lasu i ukrywając przed pościgiem z powietrza.

Zastanawiała się, jak długo Wyjątkowi będą jej szukać. Na szczęście nie wiedzieli, że jej deska zniknęła w rzece. Założą zatem, że porusza się na niej, a nie drepcze pieszo. Wiedzieli, że Tally będzie musiała trzymać się rzeki bądź innego naturalnego złoza minerałów.

Im szybciej oddali się od brzegu, tym lepiej.

Z nieszczęśliwą miną spakowała swój skromny obóz. W plecaku miała dostatecznie dużo jedzenia na całą podróż, a po długich deszczach bez trudu znajdzie na wzgórzach wodę. Czowała się jednak pokonana. Z tego co mówili Sussy i Dex, Nowodymiarze nie założyli stałego obozowiska w ruinach. Mogą odejść lada moment, a ją dzielił od nich ponad tydzień marszu.

Pozostało jej liczyć na to, że Zane i Fausto zostaną, czekając, aż się zjawi. Chyba że uznali, iż została schwytana, zginęła w wypadku albo po prostu stchórzyła.

Nie, powiedziała sobie, Zane tak by o niej nie pomyślał, na pewno się martwi. Tally wiedziała, że bez względu na wszystko zaczeka na nią.

Westchnęła, obwiązując się w pasie wciąż wilgotnym płaszczem, i narzuciła na ramiona plecak. Nie ma sensu się zastanawiać, gdzie są pozostali. Mogła tylko iść w stronę ruin i wierzyć, że gdy tam dotrze, ktoś będzie na nią czekał.

Nie miała innego wyboru.

*

* *

Droga przez las była ciężka, każdy krok wymagał stoczenia prawdziwej bitwy. Dawniej, w Dymie, Tally najczęściej podróżowała na desce, a jeśli musiała iść, to zawsze ścieżkami wyrąbanymi wśród drzew. Teraz jednak miała do czynienia z naturą w stanie dzikim, wrogą i nieustępliwą. Stopy grzęzły jej w gęstym poszyciu, które próbowało ją przewrócić, rzucając jej pod nogi gęste krzaki, korzenie, na których można skrócić kostkę, i nieprzeniknione gąszcze cierni.

Pomiędzy drzewami wciąż dostrzegała ślady ulewy. Oszronione sosnowe igły migotały w blasku słońca, a gdy wraz ze wzrostem temperatury lód zmieniał się w wodę, zaczęła z nich padać świetlista mżawka. Przypominało to wspaniały lodowy pałac. Między pniami przenikały włócznie słonecznego światła, widoczne we mgle jak lasery w gęstych kłębach dymu. Za każdym razem gdy Tally ośmieliła się poruszyć gałąź, ta zrzucała jej na głowę kaskadę lodowatej wody.

Przypomniała sobie wędrówkę do Dymu przez starożytny las, zniszczony przez chwast, który stworzyli w laboratoriach bioinżynierowie Rdzawców. Jednak tamten marsz był łatwiejszy niż ten, po gęstym poszyciu. Momentami zaczynała rozumieć, dlaczego Rdzawcy tak bardzo się starali zniszczyć przyrodę.

Przyroda bywa wkurzająca.

Czas płynął i walka między lasem i Tally stawała się coraz bardziej osobista. Kolczaste gałęzie, jakby świadome jej obecności, zapędzały Tally tam, gdzie chciały, nie zważając na wskazania kierunkomierza. Gęste poszycie rozstępowało się zachęcająco, podsuwając łatwe ścieżki, które sprowadzały ją z trasy. Wędrówka w linii prostej okazała się niemożliwa. Oto była natura w pełnej krasie, a nie superautostrada Rdzawców, przecinająca góry i pustynie.

Późnym popołudniem Tally nagle dostrzegła, że maszeruje ścieżką, naturalnym szlakiem podobnym do tych, z których tysiąc lat wcześniej korzystali przedrdzawcy.

Przypomniała sobie, co w Dymie opowiadał jej David. Większość szlaków przedrdzawców pierwotnie wydeptały zwierzęta. Nawet jelenie, wilki i dzikie psy nie miały ochoty przebijać się przez dziewicze puszcze. Podobnie jak ludzie, zwierzęta przez pokolenia trzymały się tych samych ścieżek, wyznaczając w lesie szlaki.

Oczywiście Tally zawsze sądziła, że tylko David potrafiłby dostrzec podobną ścieżkę. Dorastał przecież w głuszy i sam właściwie był przedrdzawcem. W miarę jednak jak cienie wokół niej się wydłużały, odkrywała, że idzie jej się coraz łatwiej, zupełnie jakby wrócił jej instynkt wyszukiwania najłatwiejszej drogi.

Powoli coś zaczęło ścisnąć ją w żołądku. Przypadkowe odgłosy kapania wśród drzew oszukiwały umysł, napięte nerwy Tally wibrowały. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Zapewne to tylko idealny wzrok nowej ślicznej pomógł jej odnaleźć subtelne ślady łap przechodzących zwierząt. Podczas pobytu w Dymie nauczyła się więcej niż myślała. To był zwierzęcy szlak. Z pewnością, nie mogli tu żyć żadni ludzie, nie tak blisko miasta. Wyjątkowi wykryliby ich obecność wiele lat temu. Nawet w Dymie nikt nie słyszał o innych wspólnotach żyjących poza miastami. Dwieście lat temu ludzkość postanowiła na zawsze opuścić głuszę.

Sama. Tally co chwila musiała przypominać sobie, że jest sama. W lesie nie było innego człowieka. Ale nie potrafiła się zdecydować, czy przez to czuje się dziwniej, czy może wcale nie.

W końcu, gdy niebo powlekło się różem, Tally postanowiła się zatrzymać. Znalazła polanę. Może po słonecznym dniu zdoła zebrać dość suchego drewna na ognisko. Była spocona po morderczej wędrówce, koszula lepiała jej się do ciała. Ani razu nie musiała wkładać płaszcza — wiedziała jednak, że po zachodzie słońca mróz powróci.

Bez trudu znalazła suche gałązki. Zważyła w dłoniach dwie niewielkie kłody, sprawdzając, która jest lżejsza, czyli zawiera mniej wilgoci. Cała dymiarska wiedza powróciła; po ucieczce ani razu nie ogarnęło jej typowe ślicznomózgo— wie. Teraz, kiedy znalazła się poza miastem, lek zadziałał na dobre.

Zawahała się jednak przed przyłożeniem zapalacza do stosu gałęzi. Powstrzymywała ją paranoiczna obawa. W lesie wciąż rozbrzmiewały dźwięki — kapanie wody, nawoływania ptaków, szelesty drobnych zwierząt pośród mokrych liści — i łatwo było sobie wyobrazić, że coś obserwuje ją z mroku między pniami.

Tally westchnęła. Może nadal była zwykłą śliczną wymyślającą irracjonalne historie na temat pustego lasu. Im dłużej była tu sama, tym lepiej pojmowała, dlaczego Rdzawcy i ich poprzednicy wierzyli w niewidzialne istoty i modlili się, by obłaskawić rozgniewane duchy, jednocześnie niszcząc otaczający ich naturalny świat.

Tally jednak nie wierzyła w duchy. Mogła się obawiać wyłącznie Wyjątkowych, a oni z pewnością szukają jej wzdłuż rzeki, wiele kilometrów stąd. Gdy układała stos drewna, zapadła ciemność, zrobiło się bardzo zimno. Nie mogła ryzykować, że znów dostanie gorączki. Była przecież sama.

Zapalacz ożył w jej dłoni i Tally przytknęła go do gałązek. Po chwili ujrzała płomień. Zaczęła podsycać go coraz większymi gałązkami. W końcu rozpałił się na tyle, by zajęły się najlżejsze kłody. Resztę ułożyła wokół ogniska, aby je osuszyć.

Wkrótce ogień stał się tak gorący, że musiała się cofnąć. Czowała, jak ciepło ogarnia jej ciało, wnika do kości — chyba po raz pierwszy od kilku dni.

Uśmiechnęła się, patrząc w płomień. Natura była surowa, bywała niebezpieczna. Lecz w odróżnieniu od doktor Cable, Shay albo Perisa — i w ogóle ludzi — miała sens. Problemy, jakie stawiała, dawało się rozwiązać racjonalnie. Kiedy zmarzniesz,

rozpalasz ognisko. Kiedy musisz gdzieś dotrzeć, idziesz tam. Tally wiedziała, że uda jej się dojść do ruin, z deską albo bez deski. A gdy się tam znajdzie, odszuka Zane'a i Nowodymiarzy i wszystko będzie dobrze.

Dziś w nocy, pomyślała radośnie, porządnie się wyśpi. Nawet bez Zane'a u boku zdołała przetrwać pierwszy dzień wolności w głuszy, nadal pyszna i w jednym kawałku.

Położyła się, zapatrzona w dogasające ognisko, pulsujące i ciepłe jak stary przyjaciel. Po jakimś czasie powieki jej zatrzepotały i opadły.

Tally leżała pogrążona w przyjemnych snach, gdy obudziły ją wrzaski.

Z początku sądziła, że las się pali.

Między drzewami poruszały się płomienie, które rzucały oszalałe cienie na polanę i przemykały w powietrzu jak spłoszone płonące owady. Ze wszystkich stron dobiegały wrzaski, nieludzkie okrzyki, bezsensowne słowa.

Tally zerwała się na nogi i potykając się, wpadła wprost w resztki ogniska. Poruszony żar ożył i wokół pojawiły się płomyki. Przez podeszwy butów poczuła gorące sosnowe igły i o mało nie upadła w sam środek ogniska. W pobliżu rozbrzmiał kolejny wrzask — piskliwy i gniewny. Ludzka postać mknęła ku niej; w jednej ręce unosiła pochodnię, która syczała i sypała iskrami przy każdym kroku, zupełnie jakby płomień był żywą istotą, wyprzedzającą tego, który go niósł.

Postać wymachiwała czymś przed sobą — długim, wypolerowanym kijem połyskującym w blasku ognia. Tally w porę odskoczyła i broń ze świstem przecięła puste powietrze. Tally przeturlała się po ziemi, poczuła, jak rozsypany żar parzy ją w plecy. Skoczyła na nogi, obróciła się i pomknęła w stronę drzew. Kolejna postać zastąpiła jej drogę, także wymachując pałką.

Twarz intruza przesłaniała broda, lecz nawet w migotliwym świetle pochodni Tally wiedziała, że to brzydki — gruby, z rozdętym nosem i bladym czołem pokrytym chorobliwymi krostami. Refleks też miał jak brzydcey: zamach pałką okazał się powolny i przewidywalny. Tally przetoczyła się pod długim kijem i pchnęła brzydkiego stopami, żeby zwalić go z nóg. Gdy usłyszała łoskot ciała padającego na ziemię, zdążyła już wstać i puścić się biegiem, nie zważając na chłoszczące jej twarz gałęzie. Skierowała się w stronę najciemniejszej części lasu.

Za jej plecami zabrzmiał kolejny chór okrzyków; pochodnie prześladowców rzucały rozedrgane cienie na otaczające ją drzewa. Tally niemal na oślep przebijała się przez poszycie, z trudem utrzymując równowagę. Na twarzy czuła mokre bicze gałęzi. Nagle kostka zaplątała jej się w pnącza; Tally zachwiała się i runęła na ziemię. Wyciągnęła przed siebie obie ręce, by złagodzić upadek, i poczuła, jak przegub dłoni wygina się stanowczo zbyt mocno. Równocześnie przeszył ją nagły ból.

Przez moment obejmowała palcami zranioną rękę, oglądając się na ścigających ją brzydkich. Nie byli tak szybcy jak ona, lecz zręcznie przemykali przez las, nawet w ciemności bez trudu znajdując drogę. Migotliwe płomyki pochodni spływały w miejsce, w którym leżała. Znów otoczył ją pierścień ochrypłych wrzasków.

Ale kim właściwie byli? Wydawali się drobni i krzyczeli do siebie w języku, którego nie rozpoznawała. Zupełnie jak duchy przedrdzawców powstałe z grobu...

Kimkolwiek byli, nie miała czasu na dalsze rozmyślania. Szybko wstała i znów pomknęła w ciemność, celując w przestrzeń między dwiema pochodniami.

Dwaj łowcy skoczyli ku niej. Widziała ich już, brodatych mężczyzn o brzydkich twarzach poznaczonych wrzodami i bliznami. Przebiegła między nimi tak blisko, że poczuła gorąco ich pochodni. Jeden z mężczyzn szaleńczo zamachnął się pałką i trafił ją w ramię, lecz Tally zdołała utrzymać się na nogach i odkryła, że zbiega na oślep w dół stoku.

Tamci dwaj krzyknęli, podążając za nią. Z góry odpowiedziały im wrzaski. Ilu ich tam było? Zdawali się wyrastać jak spod ziemi.

Nagle jej stopy z pluskiem wpadły do zimnej wody, Tally pośliznęła się i wylądowała w płytkim strumieniu. Za jej plecami dwaj prześladowcy pędzili po stoku, z ich pochodni uderzających o drzewa i gałęzie sypały się iskry. Cud, że nie podpalili całego lasu.

Tally szybko się podniosła i pobiegła w dół koryta strumienia, szczęśliwa, że jest tu ścieżka przecinająca poszycie. Choć potykała się na śliskich, mokrych kamieniach, odkryła, że wyprzedza ogniste punkciki pędzące po obu stronach. Wiedziała, że gdyby tylko udało jej się dostać na otwartą przestrzeń, z pewnością zostawiłaby w tyle drobniejszych, powolnych brzydkich.

Z tyłu dobiegł ją głośny plusk, a potem jęk i wiązka przekleństw w nieznanym języku. Jeden z nich upadł. Może jej się uda.

Oczywiście prowiant i oczyszczacz miała w plecaku, który został na polanie pośród wrzeszczących, uzbrojonych w pałki brzydkich. Stracone.

Z trudem przegnała tę myśl i biegła dalej. Przegub dłoni wciąż bolał ją po upadku. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie złamała ręki.

Przed sobą usłyszała donośny ryk, strumień bulgotał jej wokół kostek, ziemia drżała. A potem nagle zniknęła jej spod stóp...

Lecąc w powietrzu, Tally zbyt późno uświadomiła sobie, co oznaczał ryk, który teraz rozbrzmiewał z tyłu — biegnąc, spadła z wodospadu. Lot przez pustkę trwał tylko chwilę, potem uderzyła o wodę i znalazła się w głębokim, spienionym stawie, który uchwycił ją w lodowate objęcia, tłumiąc wszystkie dźwięki. Poczowała, jak opada w dół, w ciszę i ciemność, powoli się obracając.

Gdy jej ramię musnęło dno, Tally odepchnęła się i popłynęła do góry. Wynurzyła się, głośno chwytając powietrze i szamocząc się w wodzie, aż w końcu palce chwyciły skalną krawędź. Przywarłszy do niej, podciągnęła się na płyciznę, pełznąca na czworakach, dygocząc i kaszląc.

Schwytana.

Wokół unosiły się pochodnie odbijające się we wzburzonej wodzie jak roje świetlików. Tally uniosła oczy i ujrzała co najmniej tuzin prześladowców, przyglądających jej się ze stromych brzegów strumienia. W świetle pochodni ich blade, brzydkie twarze wydawały się jeszcze bardziej upiorne.

W strumieniu przed nią stał mężczyzna — po wielkim brzuchu i rozdętym nosie rozpoznała łowcę, którego przewróciła na polanie. Odsłonięte kolano krwawiło w miejscu, gdzie go kopnęła. Ryknął coś głucho, unosząc wysoko prymitywną pałkę.

Tally przyglądała mu się z niedowierzaniem. Naprawdę zamierzał ją uderzyć? Czy ci ludzie mordowali obcych zupełnie bez powodu?

Ale cios nie nadszedł. Mężczyzna przyglądał się jej i na jego twarzy powoli pojawił się strach. Zbliżył pochodnię do Tally, która skuliła się, zakrywając oczy. Mężczyzna ukląkł przed nią i przyjrzał jej się bliżej. Opuściła ręce. Mrużąc mlec — nobiałe oczy oglądał ją, wyraźnie zaskoczony.

Czyżby ją rozpoznał?

Tally czujnie patrzyła, jak na twarzy o karykaturalnych rysach pojawiają się kolejno narastający strach i zwątpienie, a potem nagły błysk zrozumienia, że zdarzyło się coś strasznego.

*

* *

Pochodnia wyleciała mu z ręki i wpadła do strumienia, gdzie zgasła ze zdławionym sykiem w obłoczku cuchnącego dymu. Mężczyzna ryknął raz jeszcze, tym razem tak jakby coś go bolało; raz po raz powtarzał jedno słowo. Zgiął się wpół, nachylając twarz tuż nad wodę.

Pozostali poszli w jego ślady, zginając się i upuszczając pochodnie, które gasły na mokrej ziemi. Wszyscy zaczęli zawodzić chórem, niemal zagłuszając huk wodospadu.

Tally podniosła się na kolana i zakasłała. Zastanawiała się, co się do diabła dzieje.

Patrząc dokoła, po raz pierwszy zauważyła, że wszyscy łowcy to mężczyźni. Ubrania mieli bezkształtne, znacznie bardziej prymitywne niż robione ręcznie stroje Dymiarzy. U wszystkich na twarzach i rękach dostrzegła oznaki chorób, mieli też długie, matowe i splątane brody. Ich włosy wyglądały tak, jakby nie czesali się od urodzenia. Byli bledsi niż średni śliczni, o różowawej, piegowatej skórze, takiej jaką czasami spotyka się u maluchów wyjątkowo wrażliwych na słońce.

Żaden z nich nie patrzył na nią. Ukrywali twarze w dłoniach bądź przyciskali głowy do ziemi.

W końcu jeden z nich podpełzł naprzód. Był chudy i straszliwie pomarszczony, włosy i brodę miał białe. Tally przypomniała sobie z czasów spędzonych w Dymie, że tak właśnie wyglądali starzy brzydcy. Bez operacji ich ciała niszczały niczym pradawne

ruiny porzucone przez budowniczych. Poruszając się, mężczyzna cały się trząsał albo ze strachu, albo też z choroby. Przez niekończącą się chwilę przyglądał jej się uważnie.

W końcu przemówił łamiącym się głosem, ledwie słyszalnym wśród huku wodospadu.

— Znam trochę język bogów.

Tally zamruła.

— Co?

— Zobaczyliśmy ogień i pomyśleliśmy — obcy. Nie bóg.

Pozostali umilkli, czekając w lęku i nie zważając na pochodnie dogasające na ziemi. Tally ujrzała, jak jeden z krzaków zajmuje się ogniem, lecz mężczyzna przycupnięty obok sprawiał wrażenie zbyt sparaliżowanego strachem, by zareagować.

Czyli teraz ich przerażała? Czy ci ludzie powariowali?

— Bogowie nigdy nie palić wcześniej ogień. Proszę, zrozum. — Wzrokiem błagała ją o wybaczenie.

Wstała chwiejnie.

— Uhm, nie szkodzi. Nie ma sprawy.

Stary brzydki podniósł się z ziemi tak nagle, że Tally cofnęła się o krok i o mało znów nie wpadła do wzburzonego stawu. Wykrzyknął jedno słowo, łowcy je powtórzyli. Zdawało się, że ów krzyk uwolnił ich z zaklęcia; podnieśli się i szybko zdeptali niewielkie płomyki, jaśniejące wokół porzuconych pochodni.

Tally znów poczuła się niepewnie.

— Ale, hej — dodała — tylko bardzo proszę już bez... pałek. Dobrze?

Stary człowiek wysłuchał jej, skłonił się i znów wykrzyknął kilka słów w nieznanym języku. Łowcy rzucili się do działania. Niektórzy oparli pałki o drzewa i połamali je kopniakami, inni zaczęli tłuc nimi o ziemię, póki nie pękły, albo odrzucili je w ciemność.

Starzec odwrócił się z powrotem do Tally, rozkładając szeroko ręce — wyraźnie oczekiwał pochwały. Złamana pałka leżała u jego stóp. Pozostali także unieśli puste ręce.

— Tak — rzekła. — Znacznie lepiej.

Stary mężczyzna uśmiechnął się. I wtedy to ujrzała, znajomy błysk w pradawnych, mlecznobiałych oczach. Ten sam wyraz, który widziała u Sussy i Deksa, gdy pierwszy raz ujrzeli jej śliczną twarz. Ten sam podziw i pragnienie akceptacji, tę samą odruchową fascynację — nieodmienny rezultat stulecia inżynierii kosmetycznej i miliona lat ewolucji.

Tally rozejrzała się i zauważyła, że wszyscy cofają się w lęku przed jej wzrokiem. Nie byli w stanie spojrzeć w jej wielkie miedzianocętkowane oczy. Jakby nie mogli znieść jej urody.

Bóg, pomyślała. Stare słowo Rdzawców oznaczające niewidzialnych superbohaterów z nieba.

To był ich świat — surowa, okrutna głusza, pełna chorób, przemocy i zwierzęcej walki o przetrwanie. Podobnie jak ci ludzie, ten świat był brzydki. Jeśli pojawił się tu śliczny, to musiał pochodzić spoza świata.

Tutaj Tally była bogiem.

Po mniej więcej godzinie dotarli do obozowiska. Łowcy zgasili pochodnie i podążali pogrążonymi w ciemności szlakami, brodząc w lodowatych strumieniach i nie odzywając się ani słowem.

Przewodnicy Tally odznaczyli się dziwnym połączeniem prymitywizmu i umiejętności. Byli drobni i powolni, kilku nawet trwale okaleczonych, wlokących za sobą bezwładne nogi. Cuchnęli, jakby nigdy się nie kąpali, i nosili buty tak kiepskie, że ich stopy pokrywały blizny. Ale znali ten las, poruszali się z wdziękiem w splątanym poszyciu, bezbłędnie prowadząc Tally w ciemności. Łowcy nie używali kierunko—mierzy, nie zatrzymywali się, by sprawdzić pozycję gwiazd.

Podejrzenia, które żywiła wcześniej, okazały się słuszne. Tutejsze wzgórza przecinała gęsta sieć wydeptanych przez ludzi ścieżek. Szlaki, które z trudem dostrzegała za dnia, teraz zdawały się magicznie otwierać w ciemności. Starzec, który ją prowadził, bez wahania maszerował przed siebie. Grupa poruszała się gęsiego, nie hałasując bardziej niż wąż wśród liści.

Wyglądało na to, że łowcy mieli wrogów. Po ich ogłuszającym ataku Tally nie przypuszczała, że potrafią poruszać się cicho, ukradkiem. Teraz jednak przesyłali sygnały wzdłuż szeregu, zamiast słów posługując się świergotami i innymi ptasimi odgłosami. Za każdym razem gdy Tally potykała się o niewidoczne pnącze bądź korzeń, reagowali zdumieniem i wzdrygali się nerwowo, gdy klęła pod nosem. Uświadomiła sobie, że nie podoba im się to, iż są bezbroni. Być może żalowali teraz, że tak szybko, widząc jej niezadowolenie, połamali pałki.

Wasz problem, pomyślała Tally. Nieważne, jak przyjaźnie zachowywali się obecnie, cieszyła się, że wyrzucili broń. W końcu mogli zmienić zdanie. Przecież gdyby nie wpadła do wody i nie zmyła ze swojej ślicznej twarzy pokrywającej ją warstwy brudu i błota, pewnie już by nie żyła.

Kimkolwiek byli wrogowie łowców, ich konflikt wyglądał na bardzo poważny.

*

* *

Tally wyczuła zapach wioski, nim jeszcze do niej dotarli. Z niesmakiem zmarszczyła nos.

Przyczyną tego nie była jedynie woń dymu ani też mniej przyjemny, ostry zapach zabijanych zwierząt, który poznała u Dymiarzy. Smród wokół wioski łowców był znacznie gorszy. Skojarzył jej się z latrynami na świeżym powietrzu, z których

korzystali w Dymie, jedynym aspektem życia w głuszy, do którego nie zdołała przywyknąć. Na szczęście tuż przed wioską smród osłabł.

Obóz okazał się niezbyt wielki — kilkanaście chat ulepionych z trzciny i błota, kilka powiązanych ze sobą śpiących kóz, rządki warzyw rzucających w blasku gwiazd strzępiaste cienie. Pośrodku tkwił jeden wielki magazyn. Poza tym Tally nie zauważyła żadnych dużych budynków.

Granice wioski wyznaczały ogniska, przy których czuwali uzbrojeni wartownicy. Dotarwszy do domu, łowcy poczuli się dość bezpiecznie, by znów podnieść głosy, wykrzykując wieści, że przytowardzili ze sobą... gościa.

Ludzie zaczęli wylewać się z chat; stopniowo, w miarę jak wieś się budziła, narastał hałas. Wkrótce Tally znalazła się w sercu rosnącego tłumu zaciekawionych twarzy. Wokół niej utworzył się krąg, lecz dorośli wieśniacy nie podchodzili zbyt blisko, zupełnie jakby powstrzymywało ich pole siłowe jej urody. Z szacunkiem odwracali wzrok.

Maluchy natomiast okazały więcej odwagi, niektóre nawet ośmieliły się jej dotknąć, wypadając naprzód, kładąc rękę na jej srebrnej kurtce i natychmiast odskakując w tłum. Dziwnie było widzieć dzieci tu, w głuszy. W odróżnieniu od starszych maluchy wydały się Tally prawie normalne. Były zbyt młode, by ich skóra zdradzała oznaki złego odżywiania i chorób. No i nawet w mieście nikt nie przechodził operacji przed szesnastymi urodzinami. Przywykła do oglądania u maluchów niesymetrycznych twarzy i zmrużonych oczu. A poza tym były urocze.

Tally uklękła i wyciągnęła rękę, pozwalając najodważniejszemu pogłodzić nerwowo swoją dłoń. W końcu zobaczyła również kobiety. Zważywszy, że niemal wszyscy mężczyźni nosili brody, łatwo było odróżnić płeć. Kobiety trzymały się z tyłu, krzątały się przy najmniejszych dzieciach i ledwie śmiały spojrzeć w stronę Tally. Kilka rozpałiło ognisko w poczeriałym dole pośrodku osady. Tally zauważyła, że żaden z mężczyzn im nie pomógł.

Jak przez mgłę przypominała sobie, że w szkole uczyła się o przedrdzawych zwyczajach, według których mężczyznom i kobietom przypadały różne obowiązki. Z tego co pamiętała, kobiety zwykle wykonywały najgorsze prace. Nawet część Rdzawców z uporem trzymała się starych przesądów. Na tę myśl Tally zrobiło się nieco słabo. Miała nadzieję, że zasady nie obejmują bogów.

Zastanawiała się, skąd dokładnie wziął się pomysł z bogami. Miała ze sobą w plecaku zapalaczkę i resztę sprzętu — łowcy przynieśli go, zanim poprowadzili ją do wioski. Lecz żaden z nich nie oglądał jeszcze tych cudów, wystarczyło im jedno spojrzenie na nią. Z tego co pamiętała z mitologii, boskość zwykle objawiała się czymś więcej niż tylko śliczną twarzą.

Nie była pierwszą śliczną, jaką widzieli. Przynajmniej część z nich znała język Tally, może wiedzieli też coś o nowoczesnej technice.

Ktoś z boku zaczął krzyżeć i tłum rozstąpił się przed nią, milknąc. W krąg wstąpił mężczyzna, mimo chłodu rozebrany do pasa. Otaczała go wyraźna aura władzy. Przymaszerował wprost przez boskie pole siłowe Tally i zatrzymał się na wyciągnięcie ręki. Był prawie jej wzrostu, górując jak olbrzym nad resztą ludzi. Do tego wydawał się silny, umięśniony i żyłasty, choć Tally przypuszczała, że nie dorównuje jej refleksem. W blasku ognia w jego oczach dostrzegła błysk ciekawości, nie strach.

W żaden sposób nie potrafiła określić jego wieku. Na twarzy dostrzegła zmarszczki charakterystyczne dla średnich ślicznych, lecz jego skóra wyglądała lepiej niż u pozostałych. Czy był od nich młodszy? Czy po prostu zdrowszy?

Zauważyła także, że miał przy sobie nóż, pierwsze metalowe narzędzie, jakie tu widziała. Jego rękojeść błysnęła matową czernią plastiku. Tally uniosła brwi. Nóż musiał pochodzić z miasta.

— Witaj — rzekł mężczyzna.

A zatem także znał język bogów.

— Dzięki. Uhm, to znaczy... dziękuję.

— Nie wiedzieliśmy, że przyjdiesz. Od wielu dni.

Czy bogowie zazwyczaj uprzedzali przed złożeniem wizyty?

— Och, przepraszam — wymamrotała, lecz jej odpowiedź tylko zakłopotowała go jeszcze bardziej.

Może bogowie nie powinni przepraszać?

— Pomyliliśmy się — oznajmił. — Ujrzeliśmy twoje ognisko i pomyśleliśmy, że jesteś obca.

— Tak, domyśliłam się. Nic się nie stało.

Próbował się uśmiechnąć, ale potem zmarszczył czoło i pokręcił głową.

— Nadal nie rozumiemy.

Nie tylko wy.

Jego akcent brzmiał nieco dziwnie, jak u kogoś z innego miasta bądź kontynentu, ale nie z zupełnie innej cywilizacji. Z drugiej strony najwyraźniej brakowało mu słów do sformułowania pytań, które pragnął zadać. Zupełnie jakby nie przywykł do pogawędek z bogami. Może szukał sposobu, by powiedzieć: „Co ty tu robisz, do diabła?”.

Tally nie wiedziała, jak ci ludzie rozumieją ideę boskości, ale najwyraźniej niespecjalnie do niej pasowała. Miała też przecucie, że gdyby uznali, iż tak naprawdę nie jest bogiem, natychmiast przypisałiby ją do drugiej znanej im kategorii: obcego.

A obcym rozwalali głowy.

— Wybacz nam — rzekł. — Nie znamy twojego imienia. Ja jestem Andrew Simpson Smith.

„Dziwne imię i dziwna sytuacja” — pomyślała.

— Jestem Tally Youngblood.

— Young Blood. Młoda Krew. — Jego twarz rozpogodziła się lekko. — A zatem jesteś młodym bogiem?

— Och, no... chyba tak. Mam dopiero szesnaście lat.

Andrew Simpson Smith przymknął oczy z wyraźną ulgą.

Tally zastanawiała się, czy przypadkiem sam nie jest dość młody. W chwilach zagubienia opuszczała go aura władzy, poza tym prawie nie miał brody. Jeśli pominąć lekkie zmarszczki i kilka niewielkich blizn, jego twarz mogła właściwie należeć do brzydkiego mniej więcej w wieku Davida, około osiemnastu lat.

— Czy... jesteś tu przywódcą? — spytała.

— Nie, on jest wodzem. — Wskazał ręką grubego łowcę o rozdętym nosie i krwawiącym kolanie, tego, którego Tally przewróciła podczas pościgu. Tego, który chciał jej rozwalić głowę pałką. Super. — Ja jestem świętym mężem — podjął Andrew. — Nauczyłem się języka bogów od mojego ojca.

— Władasz nim bardzo dobrze.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech, ukazując krzywe zęby.

— Ja... dziękuję ci. — Zaśmiał się i spojrział na nią przebiegle. — Spadłaś, prawda?

Tally uniosła zranioną rękę.

— Tak, podczas pościgu.

— Z nieba! — wykrzyknął. Rozejrzał się z udawanym zdumieniem, rozkładając szeroko ręce. — Nie masz lotowozu. Czyli musiałaś spaść!

Lotowozu? Robiło się coraz bardziej interesująco. Tally wzruszyła ramionami.

— Prawdę mówiąc, faktycznie zgadłeś. Spadłam z nieba.

— Ach — odetchnął z ulgą, zupełnie jakby świat znów nabierał sensu, po czym rzucił kilka słów do tłumu, który zamruczał potakująco.

Tally powoli zaczęła się odprężyć. Teraz, gdy znaleźli rozsądne wytłumaczenie jej obecności na ziemi, tutejsi ludzie wydawali się znacznie spokojniejsi. Upadek z nieba, to do nich trafiło. Miała też nadzieję, że młodszym bogom stawiają znacznie niższe wymagania.

Za plecami Andrew Simpsona Smitha z trzaskiem zapłonął ogień. Tally poczuła woń jedzenia i usłyszała znajome gdakanie zarzynanej kury. Najwyraźniej boska wizyta stanowiła dostateczny powód do urzędzenia nocnej uczty.

Święty mąż wyciągnął rękę w stronę ognia i tłum rozstąpił się ponownie.

— Opowiesz nam historię upadku? Zamienię twoje słowa na nasze.

Tally westchnęła. Była wykończona, oszołomiona i ranna — wciąż bolała ją ręka. Chciała jedynie zwinąć się w kłębek i zasnąć, lecz po kąpieli pod wodospadem ogień wyglądał ciepło i zachęcająco. Trudno też było się oprzeć wyrazowi twarzy Andrew.

Nie mogła zawieść całej wioski. Nie mieli tu ekranów ściennych, wiadomości ani relacji satelitarnych i raczej rzadko odwiedzały ich obce drużyny piłkarskie. Zupełnie jak w Dymie, traktowali historie jako coś cennego i pewnie nieczęsto zdarzało się, aby nieznajomy bóg wylądował wśród nich po upadku z nieba.

— Zgoda — rzekła. — Jedną historię. Ale potem idę spać.

*

* *

Wokół ognia zebrała się cała wieś.

Z długich roznów obracających się nad płomieniami unosił się zapach pieczonych kurcząt. Między węgle wsunęli gliniane garnki, w których powoli wyrastało coś białego, pachnącego drożdżami. Mężczyźni zasiedli w pierwszym rzędzie, jedząc głośno i wycierając wytłuszczone palce w brody, które wkrótce zaśniły tłuszczem w blasku ognia. Kobiety krzątały się przy jedzeniu. Maluchy uganiały się pod nogami, starsze dokładały do ognia gałęzie zebrane w ciemności. Lecz la sygnał, że Tally zaczyna mówić, wszyscy znieruchomieli.

Być może sprawił to wspólny posiłek, a może młodszy bogowie nie budzili takiego lęku, bo wielu wieśniaków ośmielało ją teraz zerkać na nią. Niektórzy nawet gapili się bezwstydnie w jej śliczną twarz, czekając na historię. Andrew Simpson Smith siedział obok z dumną miną, gotów tłumaczyć.

Tally odchrząknęła, zastanawiając się, jak wyjaśnić swoje przybycie w sposób, który coś by dla nich znaczył. Najwyraźniej wiedzieli o istnieniu lotowozów i ślicznych. Ale czy słyszeli o Wyjątkowych? A o operacji? Krimach? Dymie? Różnicy między pysznym a przegiętym? Wątpiła, by zdołali zrozumieć jej historię. Ponownie odchrząknęła, wpatrując się w ziemię, by uniknąć pełnych wyczekiwania spojrzeń. Czowała się zmęczona, prawie otępiła z niedospania. Tu, przy ognisku, cała ucieczka z miasta wydawała jej się niemal nierzeczywista. Jak sen.

Sen. Uśmiechnęła się na tę myśl i stopniowo w jej głowie zaczęły układać się słowa opowieści.

— Dawno, dawno temu żyła sobie piękna, młoda bogini — powiedziała i zaczęła, aż Andrew przetłumaczył to na język wieśniaków. Dziwne sylaby ulatujące z jego ust sprawiały, że skąpany w blasku ognia plac wydał się jeszcze bardziej nierealny. Bez trudu podjęła historię. — Żyła w wysokiej podniebnej wieży. Była to bardzo wygodna wieża, ale brakowało jej wyjścia na świat. I któregoś dnia młoda bogini uznała, że istnieją lepsze zajęcia niż przeglądanie się w lustrze...

ZEMSTA

Tally obudziły nieznanne dźwięki i zapachy: pot i poranny oddech, cichy chór pochrapywań i świstów, ciężki, wilgotny zaduch ciasnego, zatłoczonego pomieszczenia.

Poruszyła się w ciemności i wokół niej rozeszła się fala ruchów. Splecione ciała przesuwają się, ustępując swoim sąsiadom. Pod futrzanymi przykryciami panowało przyjemne ciepło usypiające zmysły. Trochę przypominało to sen ślicznych, z wyjątkiem przejmującego smrodu niemytych ludzi i faktu, że Tally bardzo chciało się siku.

Otworzyła oczy. Światło wsączało się do środka przez komin, będący w istocie jedynie dziurą w dachu, przez którą wypływał dym. Sądząc z kąta padania promieni, był późny ranek; wszyscy zaspali. Nic dziwnego — uczta trwała do świtu. Kiedy Tally skończyła, wieśniacy sami zaczęli opowiadać historie, konkurując ze sobą, sprawdzając, czyja opowieść najbardziej przyciągnie uwagę sennej bogini. A Andrew Simpson Smith niestrudzenie tłumaczył.

Kiedy w końcu pozwolili pójść jej do łóżka, Tally odkryła, że tu, we wsi, nie znano pojęcia łóżka. Wylądowała w chacie wraz z dwudziestoma innymi osobami. Najwyraźniej w tej wiosce zachowanie ciepła w zimowe noce oznaczało spanie pokotem pod przykryciem z futer. Było to dziwne, ale nie aż tak dziwne, by nie zdołała zasnąć.

Tego ranka zbudziła się otoczona uspionymi ciałami, mniej lub bardziej rozebranymi, splecionymi ze sobą, owiniętymi futrami. Lecz był to tylko sposób utrzymania ciepła, jak u kociąt w gnieździe.

Tally spróbowała usiąść i odkryła, że obejmuje ją czyjeś ramię. Należało do Andrew Simpsona Smitha, pochrapującego cicho przez półotwarte usta. Odepchnęła go, a on przekreślił się we śnie, obejmując starego mężczyznę śpiącego po drugiej stronie.

Tally ruszyła w stronę wyjścia. Pograżona w mroku chata zdumiała ją. Wiedziała, że ci ludzie nie wynaleźli lotodesek, ekranów ściennych ani splukiwanych toalet, pewnie nawet nie znali metalowych narzędzi. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że mogą istnieć ludzie, którzy nie znają pojęcia prywatności.

Po chwili, przechodząc nad nieprzytomnymi tubylcami, potykając się o ręce, nogi i kto wie co jeszcze, dotarła do drzwi. Schyliła się i z ulgą wyszła na świeże powietrze i jasne słońce.

Na gołych rękach i twarzy natychmiast dostała gęziej skórki, z każdym oddechem w płucach osiadał lód. Tally uświadomiła sobie, że zostawiła płaszcz w chacie, splotła jednak tylko ręce na piersi, uznawszy, że woli zmarznąć, niż ponownie wędrować nad uśpionymi ciałami. Zimno sprawiło, że znów zabolął ją przegub, pamiątka po wczorajszym upadku. Czuła wszystkie mięśnie. Może jednak ludzkie ciepło chaty nie jest takie złe, pomyślała. Ale po kolei.

Aby znaleźć latrynę, musiała posłużyć się nosem. W zasadzie był to zwykły dół, a Tally, czując porażający smród, po raz pierwszy ucieszyła się, że uciekła zimą. Jak ludzie mogli żyć tu latem?

Oczywiście korzystała już wcześniej z zewnętrznych toalet, lecz Dymiarze przerabiali swoje odchody, używając do tego celu prostych, samonamnażających się nano, wypożyczonych z miejskiej przetwórci recyklingowej. Nano rozkładały odchody i wprowadzały je głęboko w ziemię, która rodziła potem najlepsze pomidory, jakich Tally zdarzyło się skosztować. Co ważniejsze, dzięki nano latryny nie cuchnęły. Dymiarze, choć wszyscy kochali przyrodę, niemal bez wyjątku urodzili się w miastach, byli dziećmi cywilizacji technicznej i nie przepadali za brzydkimi zapachami.

To miejsce natomiast wyglądało niemal jak osada mitycznych przedrdzawców, żyjących przed powstaniem zaawansowanych technologii. Jakiej starej kultury byli potomkami? W szkole uczono, że Rdzawcy wciągnęli w orbitę swojej gospodarki wszystkich ludzi, niszcząc inne kultury — a choć nigdy o tym nie wspomiano, Tally wiedziała, iż Wyjątkowi w gruncie rzeczy uczynili to samo. Skąd zatem wzięli się ci ludzie? Czyżby powrócili do dawnych zwyczajów po upadku cywilizacji Rdzawców? A może żyli tu w głuszy jeszcze dłużej? I czemu Wyjątkowi zostawili ich w spokoju?

Niezależnie jednak od tych pytań Tally uświadomiła sobie, że nie jest w stanie skorzystać z dołu — była za bardzo cywilizowana. Ruszyła naprzód, zagłębiając się w las. Choć wiedziała, że w Dymie nie było to mile widziane, miała nadzieję, iż tu młodzi bogowie dostają dispensę.

Gdy pomachała do pary wartowników, pełniących straż na skraju osady, tamci pokiwali nerwowo głowami, odwracając wzrok i niezgrabnie ukrywając za plecami pałki. Łowcy wciąż się jej obawiali, zupełnie jak gdyby zastanawiali się, czemu do tej pory nie zostali ukarani za to, że próbowali rozwalić jej głowę.

Wystarczyło zagłębić się kilka metrów w las, by wioska zniknęła z oczu. Ale Tally nie obawiała się, że się zgubi. Lekki wiatr wciąż niósł za sobą niezwykle intensywny zapach latryny, a gdyby zabłądziła, wystarczyłoby krzykiem wezwać wartowników.

W jasnym słońcu nocny szron topniał, zamieniając się w gęstą mgiełkę. W lesie rozbrzmiewały ciche szумы i trzaski, zupełnie jak w starym domu jej rodziców, gdy w pobliżu nie było nikogo. Cienie liści zacierały sylwetki drzew, sprawiały, że wszystkie

kszały rozmywały się i falowały z każdym powiewem wiatru, przyciągając wzrok Tally. Uczucie, że ktoś ją śledzi, takie samo jak wczoraj, powróciło. Szybko znalazła miejsce i zrobiła siusiu.

Jednak nie od razu wróciła do wioski. Nie było sensu dać się ponieść wyobraźni. Kilka minut prywatności wśród tych ludzi to był prawdziwy luksus. Zastanawiała się, co robią kochankowie, gdy chcą zostać sami, i czy ktokolwiek potrafi tu utrzymać sekret.

Przez ostatni miesiąc przyzwyczała się, że spędza niemal każdą chwilę z Zane'em, nawet teraz boleśnie odczuwała jego nieobecność. Jej ciało tęskniło za znajomym ciepłem obok, jednak dzielenie sypialni z kilkoma tuzinami nieznajomych stanowiło raczej osobliwy i nieoczekiwany substytut.

Nagle Tally poczuła mrowienie i zamarła. Kątem oka dostrzegła ruch, który nie należał do naturalnej sekwencji słońca, liści i wiatru. Przebiegła wzrokiem po drzewach.

Z lasu dobiegł ją śmiech.

Andrew Simpson Smith przycupnął w poszyciu, z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Szpiegowałeś mnie? — spytała.

— Szpiegowałem? — powtórzył, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa, i Tally przyszło do głowy, że w miejscu tak mało dbającym o prywatność zapewne nikt nigdy nie wpadł na pomysł szpiegowania. — Obudziłem się, kiedy nas opuściłaś, Młoda Krwi. Pomyślałem, że może zobaczę, jak...

Uniosła brwi.

— Jak co?

— Latasz — odparł z niemądrą miną.

Tally nie zdołała powstrzymać śmiechu. Andrew Simpson Smith nie umiał ogarnąć koncepcji lotu na desce, choć poprzedniej nocy tłumaczyła to wiele razy. Wyjaśniła, że młodszy bogowie nieczęsto korzystają z lotowozów. Jednak sama myśl, że mogą istnieć inne rodzaje pojazdów latających najwyraźniej go oszołomiła.

Teraz sprawiał wrażenie urażonego jej rozbawieniem. Może sądził, że Tally ukrywa swoje niezwykle zdolności po to, by zrobić mu na złość.

— Przepraszam, Andrew, ale jak powtarzałam ci w nocy, nie potrafię latać.

— Ale mówiłaś, że zamierzasz dołączyć do przyjaciół.

— Zgadza się. Lecz, jak tłumaczyłam, moja deska zdechła i jest gdzieś pod wodą. Niestety, będę musiała iść pieszo.

Przez moment patrzył na nią zaskoczony, może zdumiony informacją, że boskie wynalazki także się psują. Nagle rozpromienił się, ukazując szczerbę po zębie, która upodobniała go do malucha.

— W takim razie pomogę ci, pójdziemy tam razem.

— Uhm, poważnie?

Przytaknął.

— Smithowie to święci mężowie. Jestem sługą bogów jak kiedyś mój ojciec.

Ostatnie słowa zabrzmiały głucho.

Tally ponownie zdumiał fakt, jak łatwo odczytywała wyraz twarzy swojego towarzysza. Zdawało się, że uzewnętrznia on wszystkie emocje, jakby miejscowi nie znali nie tylko prywatności fizycznej, ale też umysłowej. Ciekawe, czy zdarza im się kłamać?

No tak, jacyś śliczni już ich okłamali. Nieźli bogowie.

— Kiedy umarł twój ojciec, Andrew? Niedawno, prawda?

Spojrzał na nią zszokowany, jakby za pomocą magii odczytała jego myśli.

— Zaledwie miesiąc temu, tuż przed najdłuższą nocą.

Tally zastanawiała się, co oznacza najdłuższa noc, ale mu nie przerwała.

— Razem szukaliśmy ruin. Starsi bogowie lubią, gdy znajdujemy dla nich stare rdzawe miejsca do badań. Natknęliśmy się na obcych.

— Obcych? Takich jak ci, do których mnie zaliczyliście?

— Tak, ale wtedy spotkaliśmy nie młodego boga, lecz oddział zbrojnych szukających ofiary. Pierwsi ich wypatrzyliśmy, ale ich psy złapały nasz trop. A mój ojciec był stary, przeżył czterdzieści lat — dodał z dumą.

Tally wolno wypuściła powietrze. Cała ósemka jej prasta— ryków wciąż żyła i wszyscy przekroczyli już setkę.

— Jego kości osłabły. — Głos Andrew opadł do szeptu. — Biegając strumieniem, skręcił nogę. Musiałem go zostawić.

Tally przełknęła ślinę wstrząśnięta myślą, że ktoś miałby zginąć z powodu zwichniętej kostki.

— Och, bardzo mi przykro.

— Zanim go zostawiłem, oddał mi swój nóż. — Andrew wyciągnął go z za pasa i Tally przyjrzała mu się lepiej niż poprzedniej nocy. Był to jednorazowy nóż kuchenny z wyszczerbionym, nierównym ostrzem. — Teraz ja jestem świętym mężem.

Przytaknęła powoli. Widok taniego noża w dłoni Andrew przypominał Tally, jak mogło się skończyć jej pierwsze spotkanie z tymi ludźmi. O mały włos nie skończyła tak samo jak ojciec Andrew.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego, Młoda Krwi? Bo byłem jego synem.

— Nie, nie o to chodzi. Dlaczego obcy chcieli zabić twojego ojca? Czy w ogóle kogokolwiek?

Andrew zmarszczył czoło. Widocznie uważał, że to dziwne pytanie.

— Nadeszła ich kolej.

— Ich co?

Wzruszył ramionami.

— My zabiliśmy latem. Musieli się zemścić.

— Zabiliście... jednego z nich?

— W zemście za zabitego wczesną wiosną — uśmiechnął się zimno. — Byłem wtedy w oddziale.

— A zatem oni wam odpłacili? Ale kiedy to wszystko się zaczęło?

— Zaczęło? — Zapatrzył się w płaskie ostrze noża, jakby próbował odczytać coś w zwierciadle z matowego metalu. — Zawsze tak było. To obcy. — Uśmiechnął się. — Ucieszyłem się, widząc, że to ciebie przyprowadzili, a nie jeńca do zabicia. Dzięki temu wciąż jest nasza kolej i może zdołam pomścić ojca.

Tally odebrało mowę. W ciągu paru sekund Andrew Simpson Smith z pogrążonego w żalobie syna zamienił się w jakiegoś.... dzikusa. Jego palce pobladły — ścisnął nóż tak mocno, że odpłynęła z nich krew.

Oderwała wzrok od broni i pokręciła głową. Nie powinna myśleć o nim jak o człowieku niecywilizowanym, to niesprawiedliwe. To, co opisał, było stare jak sama cywilizacja. W szkole rozmawiali o podobnych krwawych waśniach, a Rdzawcy byli przecież jeszcze gorsi. Wynaleźli broń masowego rażenia, potem kolejne śmiertelne techniki, aż w końcu o mało nie zniszczyli świata.

Tally nie mogła jednak pozwolić sobie na to, żeby zapomnieć, jak bardzo ci ludzie różnią się od wszystkich, których znała. Zmusiła się, by spojrzeć na ponuro wykrzywionego Andrew, dostrzec jego osobliwą radość z powodu ciężaru noża w dłoni.

Nagle przypomniała sobie słowa doktor Cable. Ludzkość to rak, a my jesteśmy lekiem. Przemoc. Po to, aby z nią skończyć, zbudowano miasta. Operacja eliminowała przemoc z umysłów ślicznych. Cały świat, w którym wychowała się Tally, powstał po to, by przerwać ów straszliwy błędny krąg. Tu jednak widziała naturalny stan gatunku ludzkiego. Być może uciekając z miasta, zmierzała wprost do tego.

Chyba że doktor Cable się myliła i istniał inny sposób życia.

Andrew oderwał wzrok od noża i schował go do pochwy, po czym rozłożył puste ręce.

— Ale nie dzisiaj. Dziś pomogę ci odnaleźć przyjaciół — zaśmiał się nagle, uradowany.

Tally odetchnęła. Przez moment chciała odrzucić jego ofertę. Nie miała jednak nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić, a las dzielący ją od Rdzawych Ruin wypełniały ukryte ścieżki i naturalne niebezpieczeństwa. A także całkiem sporo ludzi, którzy mogliby uznać ją za „obcego”, nawet gdy nie ścigał jej złańiony krwi oddział. Nawet zwichnięta kostka w tej mroźnej głuszy mogła okazać się śmiertelna.

Tally potrzebowała Andrew Simpsona Smitha. To takie proste. A on spędził całe życie, ucząc się pomagać ludziom takim jak ona. Bogom.

— Zgoda, Andrew. Ale ruszajmy już dzisiaj, spieszy mi się.

— Oczywiście. Dzisiaj. — Poglądził miejsce, w którym na podbródku zaczynała rysować się broda. — Te ruiny, w których czekają twoi przyjaciele, gdzie są?

Tally zerknęła na słońce wciąż wiszące dość nisko, by wskazywać wschodni horyzont. Po szybkich obliczeniach skinęła ręką na północny-zachód, gdzie leżało miasto, a za nim Rdzawe Ruiny.

— Jakiś tydzień drogi marszu w tamtą stronę.

— Tydzień?

— To znaczy siedem dni.

— Tak, znam kalendarz bogów — rzekł wyniośle. — Ale cały tydzień?

— Owszem, to przecież nie tak daleko. — Wczoraj łowcy po długim biegu wydawali się niestrudzeni.

Pokręcił głową, jego twarz przybrała nabożny wyraz.

— Ale to poza końcem świata.

POKARM BOGÓW

Wyruszyli w południe.

Cała wioska zebrała się, żeby ich pożegnać, przynosząc dary na drogę. Większość okazała się zbyt ciężka, więc Tally i Andrew uprzejmie podziękowali. Andrew nappełnił jednak swój plecak upiornie wyglądającymi paskami suszonego mięsa, które mu wręczono. Kiedy Tally uświadomiła sobie, że miały służyć do jedzenia, próbowała ukryć obrzydzenie, lecz efekt nie był najlepszy. Jedynym darem, jaki sama przyjęła, była proca z drewna i skóry, podsunęta przez jednego ze starszych członków klubu jej młodocianych wielbicieli. Pamiętała, że sama jako maluch całkiem nieźle radziła sobie z procą.

Wódz publicznie pobłogosławił ich na drogę, raz jeszcze przepaszając — Andrew tłumaczył wiernie — że o mało nie roztrzaskał głowy tak młodej i ślicznej bogini. Tally zapewniła, że starsi nigdy nie dowiedzą się o tym nieporozumieniu, i wódz okazał nieśmiałą ulgę. Następnie wręczył Andrew kutą miedzianą bransoletę, w dowód wdzięczności dla młodego świętego męża za to, że pomógł naprawić błąd łowców.

Andrew zarumienił się z dumy na widok daru, a kiedy uniósł go wysoko, tłum zaczął wiwatować. Tally uświadomiła sobie, że wywołała tutaj spore zamieszanie. Podobnie jak półoficjalna sukienka na balu kostiumowym, jej nieoczekiwana wizyta zakłóciła codzienną rutynę i tylko pomoc Andrew uspokoiła wieśniaków. Najwyraźniej zjednywanie sobie łaski bogów stanowiło najważniejsze zadanie świętego męża. Tally zastanawiała się, ilu miejskich ślicznych nawiązało kontakt z wieśniakami.

Gdy przekroczyli granicę osady i otaczająca ich chmara dzieci, posłuszna wezwaniom niespokojnych matek, zawróciła, Tally postanowiła zadać kilka poważnych pytań.

— Powiedz mi, Andrew, ilu bogów znasz, hm... osobiście?

Z namysłem pogładził swoją skąpą brodę.

— Od śmierci mojego ojca nie zjawili się tu żadni bogowie prócz ciebie. Żaden z nich nie poznał mnie jako świętego męża.

Pokręciła głową. Słusznie się domyśliła, że nadal nie czuł się pewnie w tej roli.

— No tak. Ale akcent masz świetny. Nie nauczyłeś się mojego języka tylko od ojca, prawda?

Andrew uśmiechnął się przebiegle.

— Nie powinienem był rozmawiać z bogami, tylko słuchać, gdy ojciec im pomagał. Ale czasami, prowadząc boga do ruin bądź gniazda nowego nieznanego ptaka, mówiłem coś.

— I dobrze. No to... o czym rozmawialiście?

Przez chwilę milczał, jakby starannie dobierał słowa.

— Rozmawialiśmy o zwierzętach. Kiedy się parzą i czym się żywią.

— To ma sens. — Każdy miejski zoolog przyjąłby z zachwytem prywatną armię przedrdzawców, pomagającą mu w pra— Cy# « O czymś jeszcze?

— Niektórzy bogowie chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o ruinach. Zabierałem ich tam.

Podobnie archeolog.

— Jasne.

— No i jest jeszcze Doktor.

— Kto? Doktor? — Tally zamarła. — Powiedz mi, Andrew, czy ten doktor wygląda bardzo... strasznie?

Andrew zmarszczył brwi, potem wybuchnął śmiechem.

— Strasznie? Nie, jest taki jak ty. Piękny. Tak, że niemal trudno na niego patrzeć.

Odetchnęła z ulgą, po czym z uśmiechem zauważyła:

— Tobie jakoś nie jest zbyt trudno na mnie patrzeć.

Natychmiast spuścił wzrok.

— Przepraszam, Młoda Krwi.

— Daj spokój, Andrew, nie chciałam cię speszyć. — Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. — Tylko żartowałam. Patrz na mnie, ile tylko... no wiesz. I mów mi Tally, zgoda?

— Tally — powtórzył, jakby wypróbowywał dźwięk tego imienia. Opuściła rękę, a Andrew spojrział w miejsce, którego dotknęła. — Jesteś inna od reszty bogów.

— Taką mam nadzieję — mruknęła. — A ten Doktor wygląda normalnie, to znaczy ślicznie? No wiesz, bosko?

— Tak, bywa tu częściej niż pozostali. Ale nie obchodzą go zwierzęta ani ruiny, wypytuje o wioskowe zwyczaje. Kto się do kogo zaleca, kto nosi dziecko, który łowca może wyzwąć wodza na pojedynek.

— Jasne. — Tally wysiliła pamięć. — A-antro...

— Antropolog. Tak go nazywają — dokończył Andrew.

Uniosła brwi.

Andrew się uśmiechnął.

— Ojciec zawsze powtarzał, że mam dobry słuch. Pozostali bogowie czasami żartują z Doktora.

— Aha. — Najwyraźniej wieśniacy wiedzieli więcej o swoich boskich gościach, niż tamci przypuszczali. — I nigdy nie spotkałeś bogów, którzy wyglądali naprawdę strasznie?

Oczy Andrew zwężyły się, bez słowa ruszył naprzód. Czasami potrzebował sporo czasu, by odpowiedzieć, zupełnie jakby pośpiech był kolejną rzeczą, której wieśniacy jeszcze nie wynaleźli.

— Nie, nie widziałem. Ale dziadek mojego ojca opowiadał historię o stworach z dziwną bronią i jastrzębimi twarzami, które spełniają wolę bogów. Przyjmują ludzką postać, lecz poruszają się dziwnie.

— Trochę jak owady, szybko i urywanie?

Oczy Andrew rozszerzyły się.

— Oni są prawdziwi? Wyjohowi?

— Wyjohowi? Ach, my nazywamy ich Wyjątkowymi.

— Niszczą każdego, kto rzuci wyzwanie bogom.

— Zgadza się, to oni — skinęła głową Tally.

— A kiedy ludzie znikają, czasami mówią, że to Wyjoho — wi ich zabrali.

Zabrali? Dokąd? — zastanawiała się Tally.

Umilkła, zapatrzona w leśną ścieżkę pod stopami. Jeśli pradziadek Andrew natknął się na Wyjątkowe Okoliczności, oznaczało to, że miasto wiedziało o istnieniu wioski od dziesięcioleci, może jeszcze dłużej. Naukowcy wykorzystujący tych ludzi robili to od bardzo dawna i nie cofali się przed sprowadzeniem Wyjątkowych, by wzmocnić swój autorytet.

Wyglądało na to, że rzucenie wyzwania bogom to bardzo niebezpieczna sprawa.

*

* *

Maszerowali cały dzień, całkiem szybko przecinając pasmo wzgórz. Tally zaczynała już bez pomocy Andrew dostrzegać wydeptane przez wieśniaków ścieżki, zupełnie jakby jej oczy uczyły się lepiej widzieć las.

Gdy zapadła noc, znaleźli jaskinię i rozbili w niej obóz. Tally zaczęła zbierać drwa, zamarła jednak zauważywszy, że Andrew obserwuje ją ze zdziwioną miną.

— O co chodzi?

— Ognisko? Obcy zobaczą!

— A tak, przepraszam. — Westchnęła, zacierając ręce, by wygonić chłód z palców.

— Te wasze zemsty oznaczają chłodne noce na szlaku, co?

— Lepszy chłód niż śmierć, Tally. — Andrew wzruszył ramionami. — A poza tym nasza podróż nie potrwa zbyt długo. Jutro dotrzemy na koniec świata.

No tak, jasne. Choć rozmawiali podczas marszu, Andrew najwyraźniej nie uwierzył w opis świata podany przez Tally: planetę o obwodzie czterdziestu tysięcy kilometrów wiszącą w pozbawionej powietrza próżni i grawitację sprawiającą, że wszystko trzyma się jej powierzchni. Jasne, z jego perspektywy brzmiało to wariacko. W szkole uczono ją, że kiedyś ludzi aresztowano za to, iż wierzyli, że Ziemia jest okrągła — i zwykle tych aresztowań dokonywali święci mężowie.

Tally wybrała dwa opakowania SzwedKlopsów.

— Przynajmniej nie musimy rozpalać ogniska, żeby zjeść gorący posiłek.

Andrew podszedł bliżej, patrzył, jak napelnia oczyszczacz. Cały dzień żuł puszone mięso i zachwyciła go perspektywa skosztowania „pokarmu bogów”. Kiedy oczyszczacz brzęknął i Tally zdjęła pokrywkę, na widok pary unoszącej się nad odgrzanych SzwedKlopsów, Andrew opadła szczęka. Tally podała mu miskę.

— Proszę, ty pierwszy.

Nie musiała nalegać. W wiosce mężczyźni zawsze jedli pierwsi, a kobiety i maluchy dostawali resztki. Oczywiście Tally była bogiem i w pewnym sensie traktowali ją jak honorowego mężczyznę, lecz niektóre nawyki trudno zwalczyć. Andrew odebrał jej oczyszczacz i wsadził rękę do środka, by wyłowić klopsik. Natychmiast cofnęła ją z jękiem.

— Hej, nie poparz się — ostrzegła.

— Ale gdzie jest ogień? — mruknął cicho, wsuwając palce do ust. Uniósł oczyszczacz, szukając płomyka pod spodem.

— Jest elektroniczny... to bardzo mały ogień. Na pewno nie chcesz wypróbować pałeczek?

Przez chwilę niezdarnie próbował, ale gdy SzwedKlopsy wystygły, zjadł je w końcu rękami. I kiedy przeżuwał, na jego twarzy odbił się wyraz zawodu.

— Hm.

— Coś nie tak?

— Sądziłem, że pokarm bogów będzie... jakiś lepszy.

— Hej, to liofilizowany pokarm bogów. Jasne?

Tally zjadła po nim. Lecz po nocnej uczcie jej MakCurry także smakował nieciekawie. Przypomniała sobie, że w czasach spędzonych w Dymie jedzenie w głuszy faktycznie było lepsze. Nawet najświeższe warzywa zgrane w hodowlach hydroponicznych nie smakowały najlepiej. I musiała się zgodzić z Andrew — liofilizowane dania z pewnością trudno nazwać boskimi.

Młody święty mąż zdziwił się, że Tally nie chce zasnąć przytulona do niego — w końcu była zima. Wyjaśniła mu, że preferuje prywatność. On jednak nie zrozumiał i

patrzył rozżalony, jak po przeżuciu pastylki myjącej zęby znajduje własny kącik w jaskini.

W środku nocy Tally obudziła się prawie zamarznięta, żałując swojej nieuprzejmości. Po długich zmaganiach wewnętrznych westchnęła i poczołgała się do Andrew, kuląc się przy jego plecach. Nie był to Zane, lepsze jednak ciepło drugiego człowieka niż samotne leżenie na lodowatym kamieniu.

Gdy obudziła się o świcie, jaskinię wypełniała woń dymu.

KONIEC ŚWIATA

Tally próbowała krzyknąć, lecz czyjaś dłoń gwałtownie zasłoniła jej usta. Już miała zacząć szamotać się w półmroku, ale instynkt podpowiedział jej, by tego nie robić — to Andrew ją trzymał. Uświadomiła sobie, że czuje jego zapach. Po dwóch nocach, które spędzili obok siebie, jej mózg rozpoznał znajomą woń.

Odprężyła się, a Andrew ją puścił.

— Co to? — wyszeptała.

— Obcy, dostatecznie wielu, by rozpalić ogień.

Z początku nie rozumiała, potem kiwnęła głową. Z powodu konfliktu tylko duża grupa zbrojnych odważyłaby się rozpalić ognisko poza własną wioską.

Zaczęła węszyć w zadymionym powietrzu, wyczuwając woń pieczonego mięsa. Jej uszy wychwyciły odgłosy rubasznych rozmów. Obcy musieli rozbić obóz w pobliżu, kiedy Tally i Andrew poszli spać. Teraz szykowali sobie śniadanie.

— Co robimy?

— Ty zostań tutaj. Ja zobaczę, czy jeden z nich nie oddali się od reszty.

— Co takiego? — syknęła.

Andrew dobył noża ojca.

— To moja szansa wyrównania wyniku.

— Wyniku? Co to ma być, jakiś mecz? Oni cię zabiją! Sam mówiłeś, że musi być ich mnóstwo.

Skrzywił się.

— Zaatakuję tylko wtedy, jeśli któryś oddali się od grupy. Nie jestem głupcem.

— Nie ma mowy!

Złapała Andrew, zaciskając palce wokół jego ręki. Próbował się uwolnić, lecz nawet jego siła była niczym w starciu z pooperacyjnymi mięśniami Tally. Na moment zamarł, patrząc na nią gniewnie, po czym powiedział głośno:

— Jeśli będziemy walczyć, usłyszą nas.

— Poważnie? Cii.

— Puść mnie.

Jeszcze bardziej podniósł głos i Tally zrozumiała, że jeśli uzna, że musi, z radością zacznie krzyczeć. Honor nakazywał mu polować na wroga, nawet jeśli miałby narazić

życie ich obojga. Oczywiście, obcy prawdopodobnie nie zrobią krzywdy Tally, gdy ujrzą jej śliczną twarz. Lecz Andrew zginie, jeśli go złapią. A złapią, jeżeli się nie zamknie. Nie miała wyboru, musiała go puścić.

Andrew odwrócił się od niej bez słowa i wyczołgał z jaskini, trzymając w dłoni nóż.

Tally siedziała w ciemności, oszołomiona, odtwarzając w myślach przebieg ich walki. Co jeszcze mogła powiedzieć?

Jakie szeptane argumenty mogły przeważyć dziesięciolecia przelewu krwi? Nie, to beznadziejne.

Może problem sięgał głębiej? Raz jeszcze przypomniała sobie rozmowę z doktor Cable, która twierdziła, że ludzie zawsze na nowo odkrywają wojnę, zawsze w końcu stają się Rdzawcami — że ich gatunek to zaraza niszcząca planetę, nawet jeżeli nie wiedzą, czym jest planeta. Czy istniał na to jakiś lek prócz operacji?

Może Wyjątkowi mieli jednak rację.

Tally kuliła się w jaskini, nieszczęśliwa, głodna i spragniona. Bukłak, który zabrał Andrew, był pusty. Nie miała nic do roboty, musiała czekać, aż jej towarzysz wróci. Chyba że nie wróci.

Jak mógł ją tak zostawić?

Ale musiał też zostawić własnego ojca, leżącego w zimnym strumieniu, rannego, ze świadomością, że czeka go pewna śmierć. Może po takim przeżyciu każdy łaknąłby zemsty. Lecz Andrew nie szukał ludzi, którzy zabili jego ojca. Zamierzał zamordować obcego — jakiegokolwiek. To nie miało sensu.

Po długim czasie woń jedzenia rozplynęła się. Tally pod— kradła się do wylotu jaskini. Nie słyszała już dźwięków dochodzących z obozu, tylko szum liści na wietrze.

A potem ujrzała, jak ktoś wyłania się spomiędzy drzew...

To był Andrew, cały pokryty błotem, jakby czołgał się na brzuchu, lecz nóż, który ścisnął w dłoni, wydawał się czysty. Tally nie dostrzegła też krwi na jego rękach. Gdy się zbliżył, przekonała się z ulgą, że ma zawiedzioną minę.

— Nie poszczęściło ci się?

Pokręcił głową.

— Mój ojciec nie został jeszcze pomszczony.

— Marna sprawa. Ruszajmy.

Zmarszczył brwi.

— Bez śniadania?

Tally skrzywiła się. Jeszcze przed chwilą chciał jedynie złapać w pułapkę i zamordować obcego człowieka, a teraz wyglądał jak maluch, któremu odebrano obiecane lody.

— Za późno na śniadanie — ucięła i narzuciła na ramię plecak. — Którędy do końca świata?

*

* *

Maszerowali w milczeniu. Minęło już południe. W końcu burczący żołądek Tally zmusił ją do postoju. Przygotowała dla obojga WegeRyz — jakoś nie miała ochoty na pseudomięso.

Andrew zachowywał się jak rozentuzjasmowany, przymilny szczeniak. Dziełnie usiłował jeść pałeczkami i zartował ze swojej nieporadności. Tally jednak nie potrafiła się zmusić do uśmiechu. Chłód, który wniknął w jej kości, gdy towarzysz szukał zemsty, jeszcze nie zniknął.

Niesprawiedliwe było mieć pretensje tylko do Andrew. Pewnie i tak nie zrozumiałby awersji, jaką budziła w niej myśl o morderstwie. Wychował się w błędnym kręgu zemsty. Stanowiła ona część jego przedrdzawego życia, podobnie jak spanie razem z innymi albo wycinanie drzew. Nie widział w tym niczego złego, tak jak nie zdołałby pojąć, jak wielkie obrzydzenie wywoływała w niej ich latryna.

Tally różniła się od wieśniaków — tyle przynajmniej zmieniło się w historii ludzkości. Może jednak istniała nadzieja.

Ale nie miała ochoty rozmawiać o tym z Andrew ani nawet uśmiechać się do niego.

— Co jest za końcem świata? — spytała w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Nic.

— Musi coś być.

— Po prostu świat się kończy.

— Byłeś tam?

— Oczywiście. Każdy chłopak tam idzie, rok przed wejściem w wiek męski.

Tally skrzywiła się. Kolejny klub tylko dla chłopców.

— Jak on wygląda? To szeroka rzeka? Urwisko?

Andrew pokręcił głową.

— Nie, wygląda jak las, zupełnie normalny. Ale to koniec. Są tam mali ludzie, którzy pilnują, żebyś nie poszła dalej.

— Mali ludzie?

Tally przypomniała sobie starą mapę wiszącą na ścianie biblioteki w szkole dla brzydkich, ze słowami: „Tu żyją smoki” wypisanymi ozdobnymi literami we wszystkich pustych miejscach. Może ów koniec świata był jedynie granicą umysłowej mapy wieśniaków — podobnie jak pragnienie zemsty ograniczało im wzrok i nie pozwalało spojrzeć dalej.

— Dla mnie to nie będzie koniec.

Andrew znów wzruszył ramionami.

— Jesteś bogiem.

— Zgadza się. Jak daleko jeszcze?

Zerknął na słońce.

— Dotrzemy tam przed zmrokiem.

— Świetnie.

Tally wcale nie miała ochoty spędzać jeszcze jednej zimnej nocy przytulona do Andrew Simpsona Smitha.

*

* *

Przez kilka następnych godzin nie dostrzegli żadnych śladów obcych, lecz milczenie weszło im już w nawyk. Nawet gdy Tally uznała, że nie jest już wściekła na Andrew, odkryła, iż nadal maszeruje bez słowa. Towarzysz szedł obok z ponurą miną, zasmucony tym, jak go traktowała, czy może faktem, że dziś rano nie zdołał zabić człowieka.

Prawdziwie paskudny dzień.

Popołudniowe cienie padały już na ścieżkę przed nimi, gdy Andrew rzekł:

— Jesteśmy blisko.

Tally zatrzymała się i napiła wody, przebiegając wzrokiem horyzont. Miejsce to wyglądało zupełnie tak jak inne części lasu, które widziała, odkąd spadła z nieba. Może tu i ówdzie drzewa rosły trochę rzadziej, polany były większe i niemal pozbawione trawy. W żadnym razie nie przypominało to końca świata.

Andrew zwolnił nieco kroku, jakby szukał znaków między drzewami. Czasami spoglądał na odległe wzgórza, wskazując punkty orientacyjne. W końcu zatrzymał się, patrząc szeroko otwartymi oczami w głąb lasu.

Tally potrzebowała chwili, by się skupić, potem zauważyła coś wiszącego na gałęzi. Wyglądało jak lalka, pęczek gałązek i suchych kwiatów w kształcie człowieka, nie większy od pięści. Kołysała się w powiewach wiatru, jakby tańczyła. W dali Tally dostrzegła kolejne.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

— To są ci mali ludzie?

— Tak.

— I to jest twój koniec świata?

Dla niej wyglądał zupełnie zwyczajnie: gęste poszycie, drzewa pełne rozkrzyczanych ptaków.

— To koniec wszystkich, nie tylko mój. Nikt nigdy nie dotarł dalej.

— Tak, jasne.

Tally pokręciła głową. Lalki pewnie oznaczały jedynie terytorium następnego plemienia. Zauważyła ptaka przycupniętego obok jednej z nich. Przyglądał się lalce uważnie, być może zastanawiając się, czy nadaje się do zjedzenia.

Tally westchnęła i poprawiła plecak, maszerując w stronę najbliższej lalki. Andrew nie ruszył się z miejsca, wiedziała jednak, że kiedy przegna jego przesady, pójdzie za nią. Przypomniła sobie, że wiele stuleci wcześniej żeglarze obawiali się wypływać na głęboki ocean, sądząc, że wcześniej czy później spadną poza krawędź świata. Dopóki ktoś nie spróbował i okazało się, że dalej istnieją nowe kontynenty.

Z drugiej strony może byłoby lepiej, gdyby Andrew za nią nie poszedł. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był towarzysz podróży nade wszystko złacony zemsty. Ludzie poza końcem świata nie mieli nic wspólnego ze śmiercią jego ojca, lecz dla Andrew jeden obcy nie różnił się od drugiego.

Idąc, Tally dostrzegła kolejne lalki. Wisiały co kilka metrów, znakując granicę, jak prymitywne dekoracje imprezy na świeżym powietrzu. Przekonała się, że ich głowy przekrzywiają się pod osobliwym kątem — wszystkie lalki powieszono za szyję na stryczkach ze skręconych pnączy. Natychmiast pojęła, czemu wieśniacy obawiali się małych ludzi. Po plecach przebiegł jej powolny dreszcz...

A potem poczuła mrowienie w palcach.

Z początku sądziła, że zdrętwiała jej ręka. Mrowienie jednak przesunęło się na ramię i dalej. Poprawiła plecak, chcąc przywrócić krążenie, ale nieprzyjemne uczucie nie ustawało.

Po kilku krokach usłyszała dźwięk. Zdawało się, że wypływa z samej ziemi, tak niski, iż czuła go w kościach. Dźwięczał jej na skórze, cały świat wokół dygotał. Oczy zaszyły jej mgłą, jakby wibrowały do wtóru dźwięku. Postąpiła kolejny krok i dźwięk stał się głośniejszy; teraz przypominał rój owadów w głowie.

Cos było bardzo nie tak.

Tally próbowała zawrócić, odkryła jednak, że jej mięśnie zamieniły się w galaretę. Plecak zaciężał nagle jak wypełniony kamieniami, ziemia pod stopami zmięknęła. Zdołała cofnąć się chwiejnie, a gdy się odsunęła, dźwięk nieco przycichł.

Unosząc rękę do oczu, przekonała się, że drży. Może gorączka powróciła?

A może tak działa to miejsce?

Tally wyciągnęła rękę przed siebie i wibracje w koniuszkach jej palców przybrały na sile, ciało zaswędziało jak po ostrym poparzeniu słonecznym. Samo powietrze zdawało się buć coraz mocniej, w miarę jak jej dłoń zbliżała się do lalek. Miała wrażenie, że nie dopuszczają jej do siebie.

Zacisnęła zęby i śmiało postawiła krok naprzód, lecz buczenie eksplodowało jej w głowie, ponownie przesłaniając wzrok. Następny oddech uwiązł w gardle, zupełnie jakby powietrze było zbyt naelektryzowane.

Tally cofnęła się chwiejnie, uciekając od lalek. Kiedy dźwięk umilkł, opadła na kolana. Po skórze wciąż przebiegały jej ciarki, jak stado niewidzialnych mrówek rojących się pod ubraniem. Próbowwała odejść dalej, lecz ciało odmówiło.

I wtedy znów poczuła zapach Andrew. Silne ręce dźwignęły ją z ziemi i powlokły daleko od granicy wyznaczonej przez lalki. Mrowienie powoli ustało.

Potrząsnęła głową, próbując przepędzić bzyzące echa. Miała wrażenie, że wewnątrz wciąż dygocze.

— To buczenie, Andrew... Zupełnie jakbym połknęła ul.

— Tak, buczy całkiem jak pszczoły. — Andrew wbił wzrok w swoje dłonie.

— Czemu mnie nie uprzedziłeś? — krzyknęła.

— Ale przecież uprzedziłem. Powiedziałem ci o małych ludziach, powiedziałem, że nie możesz przejść.

Tally skrzywiła się.

— Mogłeś być dokładniejszy.

Zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami.

— To koniec świata, zawsze tak było. Jak mogłaś nie wiedzieć?

Jęknęła poirytowana i westchnęła. Przyglądając się najbliższej lalce, w końcu dostrzegła coś, co wcześniej przeoczyła. Lalka wyglądała jak zrobiona z gałązek i suchych kwiatów — materiałów naturalnych — nie zdradzała jednak żadnych oznak zniszczenia. Wszystkie lalki były jak nowe. Nie wyglądały na ręcznie robione zabawki, wiszące od wielu dni w deszczu. Jeśli ktoś nie wymienił ich wszystkich po ulewach, musiały być zrobione z czegoś solidniejszego niż gałązki.

Może czegoś takiego jak plastik?

A wewnątrz kryło się coś znacznie bardziej skomplikowanego. System bezpieczeństwa, dość potężny, by unieszkodliwić istoty ludzkie, lecz wystarczająco inteligentny, by nie zrobić krzywdy drzewom i ptakom. Coś, co atakowało ludzki układ nerwowy, kreśląc nieprzeniknioną barierę wokół świata wieśniaków.

I wtedy Tally zrozumiała, dlaczego Wyjątkowi pozwolili wioskom istnieć. Nie była to nieliczna grupka ludzi żyjących w głuszy, tylko czyjś projekt antropologiczny, jakiś skansen czy... jak to nazywali Rdzawcy?

To był rezerwat.

A Tally tkwiła uwięziona w środku.

ŚWIĘTY DZIEŃ

— Nie potrafisz przejść przez granicę? — spytał w końcu Andrew.

Tally westchnęła i pokręciła głową. Wyciągnięte palce mrowiły wszędzie, we wszystkich miejscach, które sprawdziła w ciągu ostatniej godziny. Linia lalek ciągnęła się daleko, jak sięgał wzrok, i wszystkie działały idealnie.

Cofnęła się od krańca świata i mrowienie ustało. Po pierwszym doświadczeniu Tally nie posuwała się dalej niż do etapu mrowienia — jeden raz w zupełności wystarczył — była jednak pewna, że wszystkie lalki dysponują równą mocą jak ta, która powaliła ją na kolana. Miejskie maszyny działały bardzo długo, a tu, między drzewami, miały pod dostatkiem energii słonecznej.

— Nie, nie potrafię przejść.

— Tak też sądziłem — mruknął.

— Wydajesz się zawiedziony.

— Miałem nadzieję, że może pokażesz mi... co jest poza końcem świata.

Zmarszczyła brwi.

— Zdawało mi się, że nie wierzysz, gdy mówiłam, że jest coś więcej.

Andrew gwałtownie pokręcił głową.

— Wierzę ci, Tally. No, może nie w pozbawioną powietrza otchłań i grawitację, ale musi być coś dalej. Miasto, w którym żyjesz, jest przecież prawdziwe.

— Żyłam — poprawiła, znów wyciągając palce.

Poczuła mrowienie, zupełnie jakby przez godzinę siedziała na własnej dłoni. Cofnęła się o krok i roztarła rękę. Nie miała pojęcia, z jakiej technologii korzysta bariera, lecz dalsze próby mogły okazać się szkodliwe. Nie ma sensu ryzykować trwałego uszkodzenia nerwów.

Lalki tańczyły na wietrze, szydząc z Tally. Była uwięziona w świetle Andrew.

Przypomniała sobie wszystkie numery, jakie robiła w brzydkich czasach, gdy nocami wykradała się z domu i przeprowadzała przez rzekę, a nawet zjawiała się na imprezie w apartamen— towcu Perisa, gdy ten stał się śliczny. Lecz tu umiejętności brzydkich na nic się nie zdadzą. Z rozmowy z doktor Cable dowiedziała się, że miejskie maszyny łatwo oszukać. Tamtejsze zabezpieczenia zaprojektowano tak, by pobudzały twórcze myślenie u brzydkich, a nie smażyły ich układ nerwowy.

Tę barierę natomiast stworzono po to, by nie dopuszczała do miasta niebezpiecznych przedrdzawców, chroniła obo— zowiczów i miłośników wędrówek oraz wszystkich innych, którzy mogli zabłąkać się w głuszę. Tally nie zdoła raczej rozkręcić lalki czubkiem noża.

Wspomnienie numerów brzydkich sprawiło, że Tally pomyślała o tkwiącej w tylnej kieszeni procy. Może to nietypowy sposób oszukania krańca świata, ale warto spróbować.

Znalazła płaski, gładki kamień i załadowała. Skóra zaskrzypiała, gdy Tally naciągnęła procę. Wypuściła kamień w stronę najbliższej lalki, lecz chybiła o jakiś metr.

— Chyba trochę wyszłam z wprawy.

— Młoda Krwi! — wykrzyknął Andrew. — Czy to rozsądne?

— Boisz się, że zniszczę świat? — uśmiechnęła się.

— Legendy głoszą, że bogowie umieścili tu małych ludzi, by oznaczyć granicę zagłady.

— No cóż, według mnie te lalki są bardziej jak napis: NIE MA WSTĘPU albo raczej: NIE MA WYJŚCIA, który ma was tutaj utrzymać. Świat ciągnie się znacznie dalej, wierz mi. To tylko sztuczka, która nie pozwala wam przekonać się o tym.

Andrew odwrócił wzrok. Tally sądziła, że dalej będzie protestował. On jednak ukląkł i podniósł kamień wielkości pięści. Cofnął rękę, wycelował i cisnął. Już w momencie gdy kamień wyleciał z jego dłoni, Tally stwierdziła, że wycelował świetnie. Pocisk trafił najbliższą lalkę, która zawirowała, strzykawkę zacisnął jej się na szyi. A potem lalka okręciła się w drugą stronę jak zakrętka na butelce.

— To było bardzo odważne.

Wzruszył ramionami.

— Jak mówiłem, Młoda Krwi, wierzę w to, co mówisz. Może to naprawdę nie koniec świata. A jeśli tak, chcę zobaczyć, co jest za nim.

— I bardzo dobrze. — Tally ruszyła naprzód i wystawiła rękę. Nic się nie zmieniło, w palcach poczuła ukrytą w powietrzu energię, mrówki zaczęły przebiegać po skórze, dopóki się nie cofnęła. System mający przetrwać dziesiątki lat w głuszy, narażony na deszcz, grad, ataki głodnych zwierząt i uderzenia piorunów, z całą pewnością oprze się kilku kamieniom. — Mali ludzie wciąż robią swoje. — Rozmasowała sobie palce. — Nie wiem, jak pokonać tę granicę, Andrew. Ale dobrze, że spróbowaliśmy.

Andrew wpatrywał się we własne puste dłonie, jakby zaskoczony, że odważył się rzucić wyzwanie dziełu bogów.

— To dziwna rzecz, chcieć przejść poza koniec świata, prawda?

Zaśmiała się.

— Witaj w moim życiu. Ale przykro mi, że przyprowadziłam cię tu na próżno.

— Nie, Tally, dobrze było zobaczyć.

Próbowała odczytać wyraz jego twarzy, połączenie zdumienia i napięcia.

— Zobaczyć co? Jak dorabiam się uszkodzenia nerwów?

Pokręcił głową.

— Nie, twoją procę.

— Słucham?

— Kiedy przyszedłem tu jako chłopiec, poczułem, jak mali ludzie roją się wewnątrz mnie, i chciałem uciec do domu. — Patrzył na nią, wciąż zaskoczony. — Ale ty próbowałaś rzucać w nich kamieniami. Nie wiesz wielu rzeczy znanych każdemu dziecku, ale jesteś tak pewna kształtu tej... planety. Zachowujesz się, jakbyś... — Urwał, najwyraźniej zabrakło mu słów z miejskiego języka.

— Jakbym inaczej postrzegała świat?

— Tak — odparł miękko, napięcie na jego twarzy się pogłębiło.

Tally pomyślała, że najprawdopodobniej nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że ludzie mogą postrzegać rzeczywistość na zupełnie różne sposoby. Walka z obcymi, aby przetrwać, i zdobywanie jedzenia, aby przeżyć, nie pozostawiały wieśniakom zbyt wiele czasu na spory filozoficzne.

— Tak to jest — rzekła — kiedy znajdziesz się poza rezerwatem, to znaczy poza końcem świata. A skoro już o tym mówimy. Wiesz na pewno, że niezależnie od tego, dokąd pójdziemy, natkniemy się na tych małych facecików?

Andrew przytaknął.

— Ojciec nauczył mnie, że świat to krąg, szeroki na siedem dni marszu. Ten koniec jest najbliższy wioski. Lecz ojciec obszedł kiedyś cały świat dookoła.

— Ciekawe. Myślisz, że szukał wyjścia?

Andrew zmarszczył brwi.

— Nie powiedział.

— No cóż, pewnie go nie znalazł. Jak zatem mam uciec z tego waszego świata i dostać się do Rdzawych Ruin?

Andrew milczał długą chwilę, lecz Tally widziała, że rozmyśla, z właściwym sobie brakiem pośpiechu rozważa jej pytanie.

— Musisz zaczekać na następny święty dzień.

— Następne co?

— Święty dzień to ten, w którym odwiedzają nas bogowie, przybywają w lotowozach.

— Ach tak. — Tally westchnęła. — Nie wiem, czy już się domyśliłeś, Andrew, ale nie powinno mnie tu być. Jeżeli któryś ze starszych bogów mnie zobaczy, mam przechlapane.

Zaśmiał się.

— Myślisz, że jestem głupcem, Tally Młoda Krwi? Słuchałem twojej historii o wieży. Rozumiem, że zostałaś wygnana.

— Wgnana?

— Tak, Młoda Krwi. Nosisz ten znak. — Musnął palcami jej lewą brew.

— Znak? Aha. — Po raz pierwszy od spotkania z wieśniakami Tally przypomniała sobie swój błyskotatuż. — I uważasz, że to coś znaczy?

Andrew zagryzł wargę i natychmiast opuścił wzrok.

— Oczywiście nie mam pewności, ojciec nigdy nie mówił mi o takich rzeczach. Lecz w mojej wiosce znakujemy tylko tych, którzy kradną.

— Tak, jasne. I myślałeś, że jestem... oznaczona? — Spojrzał na nią niemądrze i Tally przewróciła oczami. Nic dziwnego, że wieśniacy zachowywali się dziwnie; sądzili, że tatuż to jakieś wstydlive piętno. — Posłuchaj, to tylko modna ozdoba. No dobra, ujmijmy to inaczej. To coś, co zrobiliśmy z przyjaciółmi dla zabawy. Zauważyłeś, że czasem się porusza?

— Tak. Kiedy jesteś zła albo się uśmiechasz, albo rozmyślasz.

— Zgadza się. Nazywamy to byciem pysznym. W każdym razie uciekłam, nikt mnie nie wygnał.

— I zechcą cię zabrać z powrotem do domu. Rozumiem. Widzisz, kiedy bogowie przybywają, zostawiają swoje loto— wozy i pieszo zagłębiają się w las...

Tally zamrugła, potem jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— A ty pomożesz mi ich okraść?

Andrew jedynie wzruszył ramionami.

— Nie rozzłoszczą się na ciebie?

Westchnął, gładząc zaczątki brody i rozważając jej słowa.

— Musimy zachować ostrożność. Ale zauważyłem, że bogowie nie są... doskonali. W końcu uciekłaś z ich wieży.

— No, no, niedoskonali bogowie. — Tally pozwoliła sobie na cichy chichot. — Co powiedziała by twój ojciec, Andrew?

Jej towarzysz pokręcił głową.

— Nie wiem, ale jego tu nie ma. Teraz ja jestem świętym mężem.

*

* *

Tej nocy rozbili obóz w pobliżu bariery. Andrew twierdził, że nikt — nawet obcy — nie zbliży się nocą do lalek. Miejsce to otaczała zabobonna groza, poza tym nikt, kto w nocy po omacku pójdzie się załatwić, nie chciałby, żeby bariera usmażyła mu mózg.

Następnego ranka okrężną drogą wyruszyli z powrotem do wioski Andrew. Nie spieszyli się, unikając miejsc odwiedzanych przez obcych. Trwało to trzy dni, podczas których Andrew prezentował swoją znajomość lasu łączącą tradycje wieśniaków z

wiedzą naukową zasłyszana u bogów. Rozumiał, jak działa obieg wody oraz łańcuch pokarmowy. Lecz po całym dniu dyskusji na temat ciężenia, Tally się poddała.

Gdy zbliżyli się do wioski, od najbliższego świętego dnia dzielił ich wciąż prawie tydzień. Tally poleciła Andrew znaleźć jaskinię, w której mogłaby się ukryć, w pobliżu polany, gdzie bogowie parkują swoje lotowozy. Postanowiła się nie pokazywać. Jeśli wieśniacy nie będą wiedzieć, że wróciła, nie zdradzą jej starszym bogom. Nie chciała też, by zostali przez bogów ukarani za pomoc uciekinierce.

Andrew wrócił więc do wioski sam. Zamierzał poinformować wszystkich, że Młoda Krew przekroczyła koniec świata i odeszła. Wyglądało na to, że wieśniacy jednak umieją kłamać — a przynajmniej święci mężowie.

Zresztą jego historia stanie się prawdziwa, gdy tylko Tally dostanie w swoje ręce lotowóz. Może nie była wprawnym kierowcą, jednak przeszła ten sam kurs bezpieczeństwa co wszyscy brzydcy w wieku piętnastu lat. Nauczyła się latać prosto i równo i lądować awaryjnie. Niektórzy brzydcy udawali się na przejażdżki i opowiadali potem, że to bardzo łatwe. Oczywiście kradli wyłącznie idiotoodporne wozy latające nad siecią miejską.

Ale przecież to nie mogło być dużo trudniejsze niż latanie na desce.

I kiedy tak czekała w jaskini na nadejście dnia ucieczki, nie mogła się powstrzymać od rozmyślań o pozostałych Kri— mach. Póki sama walczyła o przetrwanie, łatwo było o nich zapomnieć. Teraz jednak, gdy całymi dniami nie miała nic do roboty i siedziała, wpatrując się w niebo, powoli zaczynała szaleć z niepokoju. Czy Krimowie uciekli ścigającym ich Wyjątkowym? Czy znaleźli już Nowodymiarzy? I najważniejsze, co z Zane'em? Miała nadzieję, że Maddy zdołała naprawić to, co się stało.

Przypomniała sobie ich ostatnie wspólne minuty przed skokiem Zane'a z balonu — ostatnie słowa, które powiedział. Wśród strzępów wspomnień nie znalazła niczego, co równałoby się z tą chwilą. Była więcej niż pyszna, lepsza niż jakikolwiek numer, na zawsze odmieniła świat.

A teraz Tally nie wiedziała nawet, czy Zane jeszcze żyje.

Nastroju wcale nie poprawiła jej myśl, że Zane i pozostali Krimowie podobnie martwią się o nią. Pewnie zastanawiają się, czy została schwytana, czy może zginęła podczas upadku. Oczekiwali jej w Rdzawych Ruinach co najmniej tydzień wcześniej i do tej pory z pewnością wzięli pod uwagę najgorsze.

Ile miała czasu, nim nawet Zane zrezygnuje i uzna, że Tally nie żyje? A jeśli nie uda jej się wydostać z rezerwatu? Żadna wiara nie trwa wiecznie.

Kiedy Tally nie zamartwiała się na śmierć, zastanawiała się także nad istnieniem zamkniętego świata Andrew. Jak powstał? Dlaczego wieśniakom pozwalano tutaj żyć,

choć Dym został bezlitośnie zniszczony? Może dlatego, że tkwili tu uwięzieni, wierząc w stare legendy i oddając się krwawym porachunkom, podczas gdy

Dymiarze znali prawdę o miastach i operacji? Ale po co utrzymywać przy życiu brutalną kulturę, skoro cała cywilizacja ma na celu opanowanie niszczycielskich, gwałtownych skłonności istot ludzkich?

Andrew odwiedzał ją codziennie, przynosząc orzechy i jadalne korzenie, uzupełniające boską liofilizowaną dietę. Z uporem podsuwał jej też paski suszonego mięsa, póki nie spróbowała. Smakowało tak, jak wyglądało — słone jak wodorosty i twardsze niż stara podeszwa — lecz inne dary przyjmowała z wdzięcznością.

W zamian Tally opowiadała mu historie o domu, zwłaszcza te ukazujące, że miasto bogów nie jest wcale niebiańsko doskonałe. Mówiła o brzydkich i operacji, o tym, że piękno bogów to tylko sztuczka techniczna. Andrew co prawda nie dostrzegał różnicy pomiędzy technologią i magią, słuchał jednak uważnie. Po ojcu, którego doświadczenia z bogami, jak się okazało, nie zawsze budziły w świętym mężu szacunek, odziedziczył zdrowy sceptycyzm.

Czasami bywał denerwującym towarzyszem. Zdarzały mu się przebłycki genjuszu, często jednak był tak tępy, jak tylko można spodziewać się po kimś, kto wierzy, że ziemia jest płaska — zwłaszcza jeśli chodziło o pomysł, że chłopcy muszą rządzić wszystkim, który wyjątkowo drażnił Tally. Wiedziała, że powinna okazać większe zrozumienie, no ale bez przesady. Fakt, że urodził się i wychował w kulturze, w której uważano kobiety za służące, nie oznaczał, iż koniecznie musi się temu podporządkować. Ostatecznie Tally odrzuciła wszystko, czego od niej oczekiwano: łatwe życie, idealną urodę, pogodną tępotę ślicznych. Czemu Andrew nie mógł nauczyć się sam przyrządzać sobie kurczaka?

Może bariery otaczające śliczny świat Tally nie były tak oczywiste jak mali ludzie wiszący na drzewach, ale równie trudno się poza nie wydostać. Pamiętała, jak Peris stchórzył, spoglądając w głąbę z balonu, nie chciał już skoczyć, by porzucić wszystko, co znał. Każdego z nich kształtowało miejsce, w którym przyszedł na świat, i wpajane poglądy. Ale należy choć spróbować rozwinąć swój umysł. W przeciwnym razie równie dobrze można zamieszkać w rezerwacie, oddając cześć bandzie przegiętych bogów.

*

* *

Zjawili się o świcie, dokładnie zgodnie z planem. W górze rozległ się ryk dwóch wozów — takich jak te używane przez Wyjątkowych, wyposażonych w cztery wiatraki utrzymujące je w powietrzu. To hałaśliwy sposób podróżowania — wiatr atakował drzewa jak podczas burzy. W wylocie jaskini Tally ujrzała wielką chmurę kurzu wzbijającą się z lądowiska, potem skowyczące rotory ucichły i słyszała już tylko krzyki

spłoszonych ptaków. Po niemal dwóch tygodniach pośród naturalnych dźwięków potężne maszyny brzmiały jakoś dziwnie, zupełnie jakby pochodziły z innego świata.

W blasku poranka, zachowując absolutną ciszę, zaczęła skradać się w stronę polany. Co rano ćwiczyła podejście i dokładnie poznała każde drzewo po drodze. Choć raz starsi bogowie mieli stanąć twarzą w twarz z kimś, kto znał wszystkie ich sztuczki i miał dodatkowo kilka własnych.

Patrzyła z ukrycia na skraju polany. Czterech średnich ślicznych otworzyło przedziały towarowe lotowozów, wyciągając narzędzia do kopania, lotokamery i klatki na okazy. Wszystko załadowali na wózki. Naukowcy wyglądali jak obozowicze, odziani w ciężkie zimowe stroje, na szyjach mieli lornetki, u pasów kołysały im się manierki. Andrew mówił, że nigdy nie zostają tu dłużej niż jeden dzień, lecz wyglądali na gotowych do spędzenia tygodni w głuszy. Tally zastanawiała się, który z nich to Doktor.

Andrew krzątał się pomiędzy czwórką ślicznych, pomagając im przy układaniu sprzętu, jak przystało na pokornego świętego męża. Kiedy wózki zostały już zapakowane, popchnął je wraz z naukowcami w głąb lasu, pozostawiając Tally sam na sam z lotowozami.

Poprawiła plecak na ramionach i ostrożnie wyszła na polanę.

To była najtrudniejsza część planu. Tally mogła tylko zgadywać, w jakie zabezpieczenia wyposażono lotowozy. Liczyła na to, że naukowcom nie przyszło do głowy, by użyć czegoś lepszego niż czujniki chroniące przed dziećmi, proste kody, które nie pozwalały maluchom wybrać się na przejażdżkę. Z pewnością nie podejrzewali wieśniaków o znajomość numerów znanych miejskim dzieciom, takim jak Tally.

Chyba że uprzedzono ich, iż w okolicy mogą kręcić się uciekinierzy...

Oczywiście to bzdura. Nikt nie wiedział, że Tally tkwi tu uwięziona bez deski, a od nocy ucieczki nie widziała żadnego lotowozu. Jeśli nawet Wyjątkowi jej szukali, to z pewnością nie tutaj.

Dotarła do jednego z wozów i zajrzała przez otwarte drzwi towarowe. Dostrzegła jedynie kawałki ochronnej piany turlające się w słabych powiewach wiatru. Kolejnych kilka kroków doprowadziło ją do okna kabiny pasażerskiej, także pustej. Sięgnęła do klamki.

Za jej plecami odezwał się męski głos. Tally zamarła. Po dwóch tygodniach życia w głuszy, w podartym, brudnym ubraniu, z daleka mogła przypominać wieśniaczkę. Kiedy jednak się odwróci, natychmiast zdradzi ją śliczna twarz. Głos zawołał ponownie w języku wieśniaków, dźwięczały w nim jednak władcze tony, charakterystyczne dla

późnych ślicznych. Usłyszała zbliżające się kroki. Czy powinna wskoczyć do lotowozu i spróbować ucieczki?

Słowa ucichły, gdy mężczyzna się zbliżył. Pod warstwą brudu zauważył jej miejski strój.

Tally odwróciła się.

Był wyposażony tak jak pozostali, w lornetkę i manierkę, lecz jego starykowska twarz zdradzała zdumienie. Musiał siedzieć w drugim wozie i poruszać się wolniej niż pozostali — dlatego ją przyłapał.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął zmieniając język. — Co ty tu robisz?

Zamrugła i zawahała się chwilę z tępym wyrazem ślicznej twarzy.

— Lecieliśmy balonem.

— Balonem?

— Zdarzył się jakiś wypadek, ale dokładnie nie pamiętam...

Mężczyzna postąpił krok naprzód, po czym zmarszczył

nos. Tally wyglądała jak śliczna, ale śmierdziała jak dzikuska.

— Chyba widziałem w wiadomościach coś o balonach, ale to było parę tygodni temu. Nie mogłaś przecież tkwić tu tyle... — Spojrzał na jej poszarpane ubranie i znów zmarszczył nos. — Chyba jednak mogłaś.

Tally pokręciła głową.

— Nie wiem, ile czasu minęło.

— Moje biedactwo. — Otrząsnąwszy się ze zdumienia, zamienił się w zatroskanego późnego ślicznego. — Już wszystko dobrze. Jestem doktor Valen.

Uśmiechnęła się, jak przystało na grzeczną śliczną, zrozumiałwszy, że to musi być Doktor. Badacze ptaków raczej nie znali wioskowego języka. To on wszystkim kierował.

— Mam wrażenie, jakbym siedziała tu całe wieki — poskarżyła się. — Wokół roi się od tych wariatów.

— Tak, bywają bardzo niebezpieczni. — Pokręcił głową, jakby wciąż nie wierzył, że młoda miejska śliczna przeżyła tu sama tak długo. — Masz szczęście, że się do nich nie zbliżałaś.

— Kim oni są?

— To... część bardzo ważnych badań.

— Badań? Czego?

Zachichotał.

— Moja droga, to bardzo skomplikowane. Może powinienem kogoś uprzedzić, że cię znaleźliśmy. Z pewnością wszyscy bardzo się martwią i ucieszą się, słysząc, że nic ci się nie stało. Jak się nazywasz?

— Co wy tu badacie?

Zamrugnął, zaskoczony, że nowa śliczna zadaje pytania, zamiast marudzić i domagać się odwiezienia do domu.

— Cóż, sprawdzamy pewne fundamentalne cechy... natury ludzkiej.

— Oczywiście. Takie jak przemoc, zemsta?

Zmarszczył brwi.

— Tak, w pewnym sensie. Ale skąd...?

— Tak też sądziłam. — I nagle zrozumiała. — Badacie przemoc, potrzebujecie więc brutalnej, pełnej przemocy grupy ludzi, prawda? Jesteś antropologiem?

Jego twarz wciąż zdradzała zdumienie.

— Tak, ale też lekarzem, doktorem medycyny. Na pewno nic ci nie jest?

Tally coś sobie uświadomiła.

— Jesteś lekarzem od mózgu.

— Tak naprawdę nazywają nas neurologami. — Doktor Valen odwrócił się ostrożnie i sięgnął do drzwi lotowozu. — Ale może powinienem jednak zadzwonić. Nie dosłyszałem twojego imienia.

— Bo go nie podałam.

Jej ton sprawił, że mężczyzna zamarł.

— Nie dotykaj tych drzwi — rzuciła.

Znow odwrócił się ku niej, całkowicie tracąc opanowanie typowe dla późnych ślicznych.

— Ale przecież jesteś...

— Śliczna? Lepiej to przemysł — uśmiechnęła się. — Jestem Tally Youngblood. Mam bardzo brzydki umysł. I zabieram twój wóz.

*

* *

Okazało się, że doktor Valen bardzo boi się dzikusów — nawet pięknych. Pokornie pozwolił zamknąć się w przedziale bagażowym jednego z lotowozów i podał jej kody startowe drugiego. Tally mogła z łatwością sama oszukać zabezpieczenia, ale to oszczędziło jej czasu, a wyraz twarzy doktora Valena, gdy jej podawał kody, był doprawdy śliczny. Doktor przywykł do kontaktów z wieśniakami lękającymi się jego boskości. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na nóż Tally, by pojął, kto tu wydaje rozkazy.

Mężczyzna odpowiedział jeszcze na kilka pytań Tally, aż w końcu nie miała już wątpliwości, do czego służy rezerwat. W tym właśnie miejscu opracowano metodę operacji, stąd pochodzili pierwsi doświadczalni pacjenci. Skazy na mózgu miały pozbawiać ludzi skłonności do przemocy i konfliktów. Czy istniał zatem lepszy obiekt

doświadczalny niż ludzie pogrążeni w wiecznej, krwawej wojnie? Niczym zaprzysiężeni wrogowie zamknięci razem w pokoju, plemiona uwięzione w kręgu małych ludzi demonstrowały wszystko, czego można się dowiedzieć na temat bardzo ludzkiej genezy przemocy i walki.

Pokręciła głową. Biedny Andrew. Jego cały świat był jednym wielkim eksperymentem, a ojciec zginął w konflikcie, który kompletnie nic nie znaczył.

*

* *

Przed startem Tally przez chwilę siedziała bez ruchu w lo— towozie, zaznajamiając się z przyrządami. Wyglądały tak samo jak w wozach miejskich, musiała jednak pamiętać, że w ten model nie wbudowano zabezpieczeń — jeśli wyda mu polecenie, żeby zderzył się ze stokiem góry, zrobi to. Gdy znajdzie się między zrujnowanymi wieżowcami, będzie musiała zachować ostrożność.

Najpierw jednak kopniakiem rozwalila system łączności; nie chciała, by wóz poinformował władze miejskie, gdzie się znajduje.

— Tally!

Wzdrygnęła się, słysząc okrzyk, i wyjrzała przez przednie okna. To był tylko Andrew, i to sam. Ześliznęła się z fotela pilota, gestem nakazując mu milczenie i wskazując drugi wóz.

— Zamknęłam tam Doktora — syknęła. — Nie pozwól, żeby usłyszał twój głos. Co tu robisz?

Andrew spojrział na drugi lotowóz, jego oczy rozszerzyły się na myśl o uwięzionym wewnątrz bogu.

— Przysłali mnie, żebym sprawdził, gdzie podział się Doktor — wyszeptał. — Mówił, że zaraz nas dogoni.

— Ale się nie zjawi, a ja zaraz odleczę.

Pokiwał głową.

— Oczywiście. Zegnaj, Młoda Krwi.

— Żegnaj — uśmiechnęła się. — Nie zapomnę, że mi pomogłeś.

Andrew patrzył jej w oczy, na jego twarzy znów pojawił się znajomy, nabożny podziw.

— Ja też cię nie zapomnę.

— Nie patrz tak na mnie.

— Jak, Tally?

— Jak na... boga. Jesteśmy tylko ludźmi, Andrew.

Spuścił wzrok i powoli przytaknął.

— Wiem.

— I to niezbyt doskonałymi. Niektórzy z nas są gorsi, niż możesz sobie wyobrazić. Od bardzo dawna wyrządzamy wam straszną krzywdę. Wykorzystujemy was.

Wzruszył ramionami.

— Co możemy zrobić? Jesteście tacy potężni.

— Owszem, jesteśmy. — Ujęła jego dłoń. — Ale próbuj przedostać się poza krąg małych ludzi. Prawdziwy świat jest wielki, może zdołasz oddalić się na tyle, by Wyjątkowi przestali cię szukać. A ja spróbuję... — Nie dokończyła obietnicy. Co niby miała spróbować?

Twarz Andrew rozpromieniła się w uśmiechu. Wyciągnął rękę i dotknął jej tatuażu.

— Jesteś teraz pyszna.

Przytaknęła i przełknęła ślinę.

— Będziemy na ciebie czekać, Młoda Krwi.

Tally zamrugała, po czym uściśnęła go bez słowa. Wśliznęła się z powrotem do kabiny i uruchomiła rotory. Gdy rozpędzały się z wyciem, patrzyła na ptaki umykające z polany, przerażone hałasem czynionym przez maszynę bogów.

Andrew się cofnął.

Wystarczyło dotknięcie przyrządów, żeby wóz wystartował, poczuła jego moc w kościach. Wierzchołki okolicznych iirzew kołysały się szaleńczo, lecz lotowóz podnosił się spokojnie, posłuszny poleceniom.

Tally spojrzała w dół i zobaczyła, że Andrew macha do niej, wciąż odsłaniając w uśmiechu nadziei szczerbate zęby. Wiedziała, że będzie musiała wrócić, tak jak powiedział. Nie miała wyboru. Ktoś musiał pomóc tym ludziom uciec z rezerwatu i nie mieli nikogo prócz niej.

Westchnęła. Przynajmniej na jedno mogła liczyć w swoim życiu: z każdą chwilą robiło się coraz bardziej skomplikowane.

Gdy Tally dotarła do morza, słońce wciąż podnosiło się na niebie. Przenikając przez wiszące na horyzoncie chmury, zabarwiało wodę na różowo.

Spokojnie skręciła na północ. Tak jak przypuszczała, przeznaczony do lotów poza miasto wóz wykazywał przerażającą tendencję do robienia wszystkiego, czego od niego zażądała. Za pierwszym razem skręcił tak ostro, że uderzyła głową w boczne okno. Teraz kierowała znacznie ostrożniej.

Wóz wznosił się powoli i wkrótce dostrzegła przedmieścia Rdzawych Ruin. Droga, którą pieszo pokonywałyby ponad tydzień, przemknęła pod nią w niecałą godzinę. Kiedy Tally ujrzała falisty tor starożytnej kolejki górskiej, zaczęła skręcać w głąb lądu.

Łądowanie okazało się zdumiewająco łatwe. Pociągnęła dźwignię bezpieczeństwa, tę, której kazali używać maluchom w razie ataku serca bądź omdlenia kierowcy. Wóz zatrzymał się i zaczął opadać. Tally wybrała płaskie miejsce, jedno z tych wielu ogromnych betonowych pól, na których Rdzawcy parkowali swoje ziemne wozy.

Pojazd osiadł na porośniętej chaszczami ziemi. Gdy tylko się zatrzymał, otworzyła drzwi. Jeśli pozostali naukowcy znaleźli Doktora i wszczęli alarm, Wyjątkowi z pewnością już jej szukają. Im bardziej oddali się od skradzionego lotowozu, tym lepiej.

Przed sobą widziała iglice ruin. Od najwyższej dzieliła ją jakaś godzina marszu. Zjawiała się tu niemal dwa tygodnie po tamtych, ale miała nadzieję, że jeszcze nie odeszli albo przynajmniej zostawili jakąś wiadomość.

Z pewnością Zane nadal tu jest i czeka w najwyższym budynku, nie zgadzając się odejść, póki wciąż istnieje szansa, że Tally się zjawi.

Chyba że uciekli zbyt późno, by mu pomóc.

Tally narzuciła na ramiona plecak i ruszyła naprzód.

*

* *

Na zrujnowanych ulicach roilo się od duchów.

Wcześniej nigdy nie chodziła pieszo po mieście, zawsze krążyła na deskolotce — co najmniej dziesięć metrów nad ziemią — unikając spalonych wozów. W ostatnich dniach cywilizacji Rdzawców cały świat ogarnęła sztucznie wywołana zaraza. Nie atakowała ludzi ani zwierząt, tylko ropę naftową, rozmnażając się w kanistrach ziemnych wozów i odrzutowców. Powoli zmieniała skład ropy, czyniąc ją niestabilną. Zakażona ropa po zetknięciu z tlenem stawała w płomieniach, a tłusty dym pożarów roznosił zarodniki bakterii do kolejnych kanistrów, kolejnych szybów, aż w końcu dotarł do wszystkich machin Rdzawców na całym świecie.

Okazało się, że Rdzawcy naprawdę nie lubili chodzić pieszo. Nawet kiedy już odkryli, jak działa zaraza, obywatele w panice wciąż wskakiwali do swoich dziwnych ziemnych wozów na gumowych kołach, sądząc, że zdołają uciec w głąb. Kiedy Tally wyteżyła wzrok, przez brudne szyby wozów zalegających ulice ruin widziała rozsypujące się szkielety. Tylko nieliczni w tamtych czasach okazali się na tyle mądrzy, by uciec pieszo, i na tyle silni, żeby przetrwać śmierć swojego świata. Ktokolwiek stworzył zarazę, z całą pewnością znał słabości Rdzawców.

— Rany, ale byliście głupi — wymamrotała Tally pod adresem mijanych wozów.

Lecz przezwiska wcale nie sprawiły, że martwi Rdzawcy wyglądali mniej upiornie. Kilka nietkniętych czaszek patrzyło na nią pustymi oczodołami.

Nieco dalej w martwym mieście budynki wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Ich stalowe konstrukcje przywodziły na myśl szkielety olbrzymich wymarłych istot. Tally maszerowała krętą ścieżką przez wąskie ulice, szukając najwyższego budynku w ruinach. Z deski z łatwością wypatrzyłaby wieżowiec, lecz z ziemi miasto przypominało oszalały labirynt.

A potem skręciła i zobaczyła go; bloki starego betonu uczonej matrycy ze stalowych belek, puste okna spoglądające z góry, widoczne przez nie kawałki błękitnego nieba. To było to miejsce — Tally przypomniała sobie noc, gdy Shay zabrała ją na dach. Wówczas po raz pierwszy odwiedziła Rdzawe Ruiny. Był tylko jeden problem.

Jak miała się dostać na górę?

Wnętrza budynku już dawno rozpadły się w proch, nie było w nim schodów ani w ogóle pięt. Stalowa konstrukcja dawała idealne oparcie magnetycznym lotkom desek, lecz zwykły człowiek w żaden sposób nie zdołałby się na nią wspiąć bez porządnego sprzętu alpinistycznego. Jeśli nawet Zane bądź Nowodymiarze zostawili Tally wiadomość, z pewnością czekała na górze. Ale ona nie miała jak do niej dotrzeć.

Tally usiadła, nagle wykończona. Przypominało to wieżę z jej snu, pozbawioną schodów i windy, a ona zgubiła klucz. Czyli w tym przypadku deskolotkę. Jedyne co przyszło jej do głowy, to marsz z powrotem do skradzionego wozu i lot tutaj. Może zdoła dotrzeć dostatecznie blisko budynku... Ale kto utrzyma wóz w powietrzu, gdy ona będzie chciała się przedostać na starożytną stalową budowlę?

Po raz tysięczny Tally pożałowała straconej deski.

Spojrzała w górę. A jeśli nikogo tam nie ma? Co, jeśli po tak długiej podróży Tally Youngblood wciąż jest sama?

Wstała z ziemi i wrzasnęła jak najgłośniej.

— Heej! — Dźwięk odbił się echem wśród ruin, z dachu wzbiło się stadko spłoszonych ptaków. — Hej! To ja.

Gdy echo ucichło, zapadła cisza, nikt nie odpowiedział. Od krzyków Tally rozboleło gardło. Uklękała, grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu zimnej flary. Tu, w cieniu potężnych skorup budynków, ogień natychmiast rzuci się w oczy.

Przełamała flarę, unosząc syczący płomień z dala od twarzy, i znów zaczęła krzyczeć.

— To ja... Tally Youngblood.

Coś poruszyło się na niebie.

Tally zamrugała, przeganiając roztańczone plamki, które pozostawił jej w oczach rozbłysk flary, i wbiła wzrok w jasnoblękitne niebo. Jakiś kształt oderwał się od wyniosłego budynku, maleńki, powoli rosnący owal...

Spodnia strona deskolotki. Ktoś do niej leciał!

Tally cisnęła flarę na stos kamieni, serce waliło jej w piersi. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, kto leci jej na spotkanie. Jak mogła być taką kretynką? To mógł być każdy. A jeśli Wyjątkowe Okoliczności schwytały kogoś z Krimów i zmusiły go, by zdradził, gdzie zaplanowali spotkanie? Ostatnia ucieczka Tally zaraz się zakończy, szybko i gwałtownie.

Tally nakazała sobie spokój. W końcu to była deska, i to tylko jedna. Gdyby wokół budynku zaczęli się Wyjątkowi, wypadliby ze wszystkich stron w lotowozach.

A zresztą panika nie miała sensu, skoro teraz i tak nie zdoła już uciec pieszo. Pozostawało jej tylko czekać. Flara zaczęła konać z sykiem. Tymczasem deska obniżała się powoli, trzymając się blisko metalowego szkieletu budynku. Raz czy dwa Tally wydało się, że dostrzega twarz ponad krawędzią, lecz na tle jasnego nieba nie było widać, do kogo należy.

Kiedy przybysza dzieliło od ziemi zaledwie dziesięć metrów, Tally zebrała się na odwagę.

— Halo? — zawołała i miała wrażenie, że głos jej drży.

— Tally... — odkrzyknął ktoś znajomym głosem.

Deska osiadła obok i Tally spojrzała w całkowicie brzydkią twarz: za wysokie czoło, krzywy uśmiech, mała blizna przecinająca jedną z brwi białą kreską. Mrugając, wpatrywała się w nią w półmroku zniszczonego miasta.

— David? — rzekła cicho.

Oczywiście gapił się na nią.

Nawet gdyby nie wykrzyczała swojego imienia, David poznałby jej głos, a poza tym czekał przecież na nią. Od pierwszego krzyku musiał więc wiedzieć, kim jest. Lecz teraz, zapatrzony, wyglądał, jakby zobaczył kogoś innego.

— David — powtórzyła Tally. — To ja.

Skinął tylko głową, wciąż nie mogąc wykrztusić słowa. Tally zorientowała się natychmiast, że to nie podziw dla ślicznych odebrał mu mowę. Szukał wzrokiem czegoś, próbował rozpoznać to, co po operacji zostało z jej dawnej twarzy. Lecz jego mina zdradzała niepewność... i lekki smutek.

David był brzydszy, niż go zapamiętała. W snach o brzydkim księciu jego nieharmonijne rysy nigdy nie wydawały się tak niedopasowane, naturalne zęby aż tak krzywe i odbarwione. Oczywiście cerę miał lepszą niż Andrew. Nie wyglądał gorzej od Sussy albo Deksa, miejskich dzieciaków dorastających z pigułkami do zębów i plastrami z filtrem przeciwsłonecznym.

Ale to przecież był David.

Mimo że spędziła tyle czasu wśród wieśniaków pokrytych bliznami, pozbawionych zębów, widok jego twarzy wstrząsnął Tally. Nie dlatego, że był ohydny — bo nie był — ale dlatego, że wyglądał po prostu... nieciekawie.

Nie jak brzydki książę. Po prostu był brzydki.

A co najdziwniejsze, mimo natłoku myśli, do Tally powróciły też od dawna tłumione wspomnienia. To był David, który nauczył ją rozpalać ogień, patroszyć i przyrządzać ryby, rozpoznawać położenie za pomocą gwiazd. Razem pracowali, razem podróżowali całymi tygodniami i Tally porzuciła życie w mieście, by zostać z nim w Dymie — na zawsze.

Wszystkie te wspomnienia przetrwały operację, ukryte gdzieś głęboko w jej mózgu. Lecz życie wśród ślicznych musiało zmienić coś jeszcze głębszego: to, jak go postrzegała, jakby nie był już tym samym, dawnym Davidem.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

W końcu David odchrząknął.

— Chyba powinniśmy już ruszać. Czasami o tej porze przysyłają tu patrole.

Spuściła wzrok.

— Dobrze,

— Ale najpierw muszę coś zrobić.

Wyciągnął z kieszeni urządzenie przypominające różdżkę i przesunął nim nad nią. Nie odezwało się.

— Nie mam pluskiew? — spytała.

Wzruszył ramionami.

— Nigdy za dużo ostrożności. Nie masz deski?

Tally pokręciła głową.

— Zniszczyła się podczas ucieczki.

— Rany, sporo trzeba, by rozwalić deskę.

— To był długi upadek.

— Ta sama dawna Tally — uśmiechnął się. — Wiedziałem, że się zjawisz. Mama mówiła, że pewnie... — nie skończył.

— Nic mi nie jest. — Spojrzała na niego niepewna, jak wiele może mu powiedzieć. — Dzięki, że zaczekałeś.

*

* *

Lecieli razem na jego desce. Teraz Tally przewyższała Davida wzrostem, dlatego stanęła za nim, obejmując go w pasie. Jeszcze przed długą wędrówką z Andrew Simpsonem Smithem wyrzuciła ciężkie bransolety bezpieczeństwa, ale nadal miała czujnik przypięty do kolczyka w pępku, deska mogła więc wyczuć jej środek ciężkości i przestawić się na większe obciążenie. Mimo to z początku poruszali się dość wolno.

Dotyk ciała Davida, to, jak się pochylał, pokonując zakręty — wszystko było takie znajome. Nawet jego zapach pobudzał wspomnienia Tally (wolała nie myśleć o tym, jak sama pachnie, ale Davidowi to nie przeszkadzało). Zdumiało ją, jak wiele obrazów powróciło. Miała wrażenie, że wspomnienia dotyczące Davida czekały gdzieś gotowe, i teraz zalewały ją niczym fala, gdy tak stał obok niej. Tu, na desce, kiedy patrzyła na niego z tyłu, ciało Tally niemal krzyczało, domagając się, by objęła go mocniej. Chciała cofnąć wszystkie głupie, ślicznomózgie myśli, które nawiedziły ją, gdy pierwszy raz ujrzała jego brzydką twarz.

Ale czy chodziło tylko o to, że był brzydki? Wszystko inne też się zmieniło.

Wiedziała, że powinna spytać o pozostałych, zwłaszcza o Zane'a, ale nie mogła się zmusić do wypowiedzenia jego imienia. Przerastało ją nawet to, że stała na desce obok Davi— da. Wciąż się zastanawiała, czemu to Croy dostarczył jej lek. W liście do siebie była taka pewna, że to David ją uratuje. Ostatecznie to on był księciem z jej snów.

Czyżby nadal miał do niej pretensje, że zdradziła Dym? Czy obwiniął ją o śmierć ojca? Tej samej nocy, gdy wyznała wszystko Davidowi, Tally wróciła do miasta, by się poddać, zostać śliczną i móc wypróbować lek. Nie miała okazji wyjaśnić, jak bardzo żałuje wszystkiego, co się stało. Nawet się nie pożegnali.

Ale jeśli David jej nienawidził, dlaczego to on czekał w ruinach? Nie Croy, nie Zane — tylko David. Kręciło jej się w głowie, czuła się niemal jak wtedy, kiedy była zwykłą śliczną, tyle że teraz była znacznie mniej szczęśliwa.

— To niedaleko — oznajmił David. — Może trzy godziny przy podwójnym obciążeniu. — Nie odpowiedziała. — Nie przyszło mi do głowy, by zabrać drugą deskę. Powinienem się domyślić, że nie masz własnej i dlatego trwa to tak długo.

— Przepraszam.

— Nic się nie stało. Po prostu będziemy musieli lecieć nieco wolniej.

— Nie, przepraszam za to, co zrobiłam. — Umilkła, słowa ją wyczerpały.

David pozwolił, żeby deska zatrzymała się między dwiema wysokimi budowlami z betonu i metalu. Długą chwilę stali bez ruchu, David wciąż patrzył gdzieś w dal. Oparła mu policzek na ramieniu. Zapiekły ją oczy.

— Sądziłem, że będę wiedział, co powiedzieć, kiedy już cię zobaczę — rzekł wreszcie.

— Zapomniałeś o nowej twarzy, prawda?

— Nie do końca zapomniałem, ale nie sądziłem, że będziesz taka... inna.

— Ja też — szepnęła Tally i nagle uświadomiła sobie, że dla niego jej słowa nie mają sensu. Przecież jego twarz się nie zmieniła.

Obrócił się ostrożnie na desce i dotknął jej brwi. Tally próbowała na niego spojrzeć, lecz nie mogła. Poczowała, jak tatuaż pulsuje pod jego palcami.

Uśmiechnęła się.

— To cię rusza? — spytała z uśmiechem. — To tylko zabawa Krimów pokazująca, kto jest pyszny.

— Tak, tatuaż reagujący na bicie serca. Mówili mi. Ale nie wyobrażałem sobie, że też taki masz. To wszystko jest takie... dziwne.

— Wewnątrz jednak wciąż jestem sobą.

— Czuję to, kiedy lecimy razem. — Odwrócił się i nacisnął przód deski, zmuszając ją do lotu.

Teraz Tally trzymała się mocniej. Nie chciała, by znów się odwracał. I tak było jej wystarczająco ciężko bez dziwnych uczuć, które wzbierały w niej za każdym razem, gdy na niego patrzyła. Zapewne on także nie chciał patrzeć na jej miejską twarz o wielkich oczach i ruchomym tatuażu. Wszystko w swoim czasie.

— Powiedz mi, Davidzie, dlaczego to Croy dostarczył mi lek, a nie ty?

— Wszystko się pokręciło. Zamierzałem cię odwiedzić po powrocie.

— Powrocie? Skąd?

— Wybrałem się w okolice innego miasta, szukając kolejnych brzydkich, którzy chcieliby do nas dołączyć, gdy pojawił się oddział Wyjątkowych. Zaczęli przeczesywać

ruiny. Szukali nas. — Ujął jej dłoń i przycisnął sobie do piersi. — Moja mama postanowiła na jakiś czas oddalić się z miasta. Zaszliśmy się w głuszy.

— I zostawiliście mnie uwięzioną w mieście. — Tally westchnęła. — Zapewne Maddy to nie przeszkadzało.

Tally nie wątpiła, że matka Davida wciąż wini ją za wszystko: koniec Dymu, śmierć Aza.

— Nie miała wyboru — zaprotestował David. — Nigdy wcześniej nie zjawilo się tylu Wyjątkowych. Pozostanie tutaj było zbyt niebezpieczne.

Tally odetchnęła głęboko, przypominając sobie pogawędkę z doktor Cable.

— Najwyraźniej Wyjątkowe Okoliczności zaczęły ostatnio rekrutację.

— Ale nie zapomniałem o tobie, Tally. Kazałem Croyowi obiecać, że jeśli coś mi się stanie, dostarczy ci pigułki i twój list. Chciałem mieć pewność, że będziesz mogła uciec. Kiedy zaczęli zwijać Nowy Dym, Croy uznał, że być może przez jakiś czas nie wrócimy, zakradł się więc do miasta.

— Kazałeś mu?

— Oczywiście, był moim wsparciem. Nigdy nie zostawiłbym cię tam samej, Tally.

— Och!

Znów zakręciło jej się w głowie, jakby deska zamieniła się w piórko wirujące w powietrzu. Zamknęła oczy i mocniej objęła Davida, w końcu czując, jaki jest niewzruszony, rzeczywisty. Coś zniknęło z jej umysłu, niepokój, którego obecności sama sobie nie uświadamiała. Obawy, którymi zadreżczała się w snach, strach, że David ją porzucił, stanowiły jedynie wynik zamieszania, nagłej zmiany planów. Jak w starych historiach, w których oczekiwany list przychodził zbyt późno albo trafiał do niewłaściwej osoby — chodziło o to, by nie załamywać się z tego powodu.

Okazało się, że David chciał po nią przyjść.

— Ale oczywiście nie byłaś sama — dodał cicho.

Tally zeszywniała. Jasne, że do tej pory dowiedział się już o Zanie. Jak miała wyjaśnić, że po prostu o nim zapomniała? Większości ludzi nie przekonałoby to, lecz David wiedział wszystko o skazach — rodzice wychowali go ze świadomością, co dzieje się z umysłami ślicznych. Musiał zrozumieć.

W rzeczywistości nie było to takie proste. Przecież o Zanie Tally nie zapomniała. Wciąż widziała jego piękną twarz, szczupłą i wrażliwą, błysk jego złotych oczu przed skokiem z balonu. Jego pocałunek dał jej dość sił, by znalazła pigułki. Razem zażyli lek. Co zatem miała powiedzieć?

Może najłatwiejsze.

— Jak on się czuje?

David wzruszył ramionami.

— Nie najlepiej, ale nie aż tak źle, biorąc pod uwagę okoliczności. Masz szczęście, że to nie spotkało ciebie, Tally.

— Lek jest niebezpieczny, prawda? U niektórych nie działa.

— Działa idealnie. Wasi koledzy już go zażyli i nic im nie jest.

— Ale migreny Zane'a...

— To coś więcej niż migreny — westchnął. — Pozwól, że moja matka ci to wyjaśni.

— Ale co... — Tally umilkła.

Nie mogła mieć pretensji do Davida za to, że nie chce rozmawiać o Zanie. Przynajmniej jednak odpowiedział na pytania, których nie zdążyła zadać. Pozostali Krimowie także tu dotarli i dołączyli do Dymiarzy; Maddy zdołała pomóc Zane'owi; ucieczka się udała. A teraz, gdy także Tally dotarła do ruin, wszystko będzie świetnie.

— Dziękuję, że na mnie zaczekałeś — powtórzyła miękko.

Nie odpowiedział.

Resztę drogi pokonali, nie patrząc na siebie.

PRÓBY POMOCY

Droga do kryjówki Nowodymiarzy wiła się między strumieniami i starożytnymi torami kolejowymi, nad miejscami gdzie znalazło się tyle metalu, by utrzymać deskolotkę w powietrzu. W końcu wzniesli się na szczyt niewielkiej góry, daleko poza Rdzawymi Ruinami, wykorzystując zawałone nośniki i liny starej kolejki, i ujrzeni przed sobą wielką betonową kopułę spoglądającą w niebo. Wypukły dach pękł po upływie stuleci.

— Co to było? — spytała Tally. Jej głos zabrzmiał ochryple po trzech godzinach milczenia.

— Obserwatorium. Kiedyś w kopule mieścił się wielki teleskop, lecz Rdzawcy wymontowali go, gdy zanieczyszczenia miejskie ograniczyły widoczność.

Tally oglądała zdjęcia nieba pełnego brudu i dymu — pokazywali ich mnóstwo w szkole — lecz trudno jej było sobie wyobrazić, by Rdzawcy zdołali zmienić nawet kolor powietrza. Pokręciła głową. Wszystko, co nauczyciele mówili o Rdzawcach, a ona uważała za przesadę, nieodmiennie okazywało się prawdą. W miarę jak się wznosili, temperatura spadała, a popołudniowe niebo wydało jej się krystalicznie czyste.

— Kiedy naukowcy nie mogli już oglądać gwiazd, kopułę przeznaczono dla turystów — ciągnął David. — Do tego właśnie służyły wagoniki na linach. To daje mnóstwo możliwych tras deskarskich, gdybyśmy kiedyś musieli uciekać stąd w pośpiechu. A poza tym widać wszystko w promieniu wielu mil.

— Dymiarska twierdza, co?

— Chyba tak. Jeśli Wyjątkowi znów nas znajdą, przynajmniej będziemy mieli szansę.

Wartownik ewidentnie wypatrzył ich w czasie lotu — gdy deska siadała na ziemi, ze zniszczonego obserwatorium zaczęli wysypywać się ludzie. Tally zauważyła Nowodymiarzy — Croya, Ryde'a i Maddy, a także kilkoro brzydkich, których nie poznała, oraz około dwóch tuzinów Krimów, biorących udział w ucieczce. Wzrokiem szukała w tłumie twarzy Żaneta, ale jej nie znalazła.

Zeskoczyła z deski i pobiegła uścisnąć Fausta. Uśmiechnął się do niej szeroko. Bystre spojrzenie świadczyło o tym, że zażył pigułki. Nie był już po prostu pyszny, tylko wyleczony.

— Tally, ty śmierdzisz — rzekł, wciąż się uśmiechając.

— A, tak. Długa podróż. Długa historia.

— Wiedziałem, że ci się uda. Ale gdzie jest Peris?

Odetchnęła głęboko zimnym, górskim powietrzem.

— Stchórzył, co? — spytał Fausto, nim zdołała odpowiedzieć. Kiedy przytaknęła, dodał: — Zawsze podejrzewałem, że tak będzie.

— Zaprowadź mnie do Zane'a.

Fausto odwrócił się, gestem wskazując obserwatorium. Pozostali trzymali się blisko, lecz wydawali się nieco zaskoczeni jej obdartym strojem i ostrym zapachem. Krimowie pozdrawiali ją, widziała też brzydkich reagujących na nową śliczną twarz — patrzyli na nią wielkimi oczami. To działało zawsze, nawet jeśli nie brali jej za boga.

Przystanęła, skinieniem głowy pozdrawiając Croya.

— Nie miałam jeszcze okazji ci podziękować.

Uniósł brwi.

— Nie dziękuj mi. Sama to zrobiłaś.

Zmarszczyła brwi i zauważyła, że Maddy przygląda jej się dziwnie. Tally zignorowała ją. Nie była zainteresowana tym, co myśli matka Davida. Ruszyła za Faustem do strzaskanej kopuły.

*

* *

W środku było ciemno, na obrzeżach wielkiej, otwartej półkuli wisiało kilka lamp, a przez pęknięcie w dachu do środka wlewała się smuga oślepiająco jasnego słonecznego światła. Rozpalone na podłodze ognisko rzucało wokół rozedrgane cienie, dym leniwie sączył się na zewnątrz przez wyrwę.

Zane leżał na stosie koców przy ognisku, oczy miał zamknięte. Wydawał się jeszcze chudszy niż wtedy, gdy próbowali schudnąć po to, by pozbyć się bransolet. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Koc wznosił się i opadał lekko z każdym oddechem.

— Ale David mówił, że czuje się dobrze.

— Jego stan jest stabilny — odparł Fausto. — To i tak dobrze, biorąc pod uwagę...

— Biorąc pod uwagę co?

Fausto bezradnie rozłożył ręce.

— Jego mózg.

Tally poczuła dreszcz, otaczające ją cienie przez moment zafalowały.

— Co z jego mózgiem? — spytała cicho.

— Musiałaś eksperymentować, prawda, Tally? — odezwał się głos z ciemności.

Maddy wkroczyła w krąg światła, obok niej szedł David.

Tally wytrzymała stalowe spojrzenie kobiety.

— O czym ty mówisz?

— Pigułki, które ci posłałam, należało zażyć razem.

— Wiem, ale było nas dwoje...

Widząc minę Davida, Tally umilkła. „I za bardzo się bałam zrobić to sama” — dodała w myślach, przypominając sobie panikę owych chwil w Valentino 317.

— Chyba powinnam to przewidzieć. — Maddy pokręciła głową. — To zawsze ryzykowne pozwolić ślicznym, by sami zażyli leki.

— Ale co?

— Nigdy ci nie wyjaśniłam, jak działa lek, prawda? — spytała Maddy. — Jak nano usuwają skazy z mózgu? Rozpuszczają je kwasem, tak jak pigułki leczące raka.

— I co poszło nie tak?

— Nano nie przestały działać. Mnożyły się, niszcząc mózg Zane'a.

Tally odwróciła się i spojrzała na postać przy ogniu. Oddychał bardzo płytko, jego pierś poruszała się niemal niedostrzegalnie.

Przeniosła wzrok na Davida.

— Ale mówiłeś, że lek działa doskonale.

Skinął głową.

— Bo działa. Twoim pozostałym przyjaciółom nic nie jest. Ale te dwie pigułki różnią się od siebie. Druga, ta, którą zażyłaś, to lekarstwo na lek, każe nano dokonać samozniszczenia, gdy zlikwidują skazy. Bez niej nano Zane'a mnożyły się i nadal atakowały. Mama mówi, że w pewnym momencie przestały, ale wcześniej poczyniły... spore szkody.

Żołądek Tally ścisnął się jeszcze mocniej, gdy zrozumiała: to była jej wina. To ona połknęła pigułkę, która uchroniłaby Zane'a przed tym wszystkim. Lekarstwo na lek.

— Jak wielkie szkody?

— Jeszcze nie wiemy — oznajmiła Maddy. — Miałam dość tkanki macierzystej, by odtworzyć zniszczone partie mózgu, ale połączenia nerwowe, które Zane wytworzył wcześniej, już nie istnieją. Połączenia te kryją w sobie wspomnienia i zdolności motoryczne oraz kognicyjne. Niektóre części jego mózgu są praktycznie puste.

— Puste? To znaczy że... odszedł?

— Nie, uszkodzenia dotknęły tylko kilku miejsc — odezwał się Fausto. — A jego mózg potrafi się odnowić, Tally. Neurony tworzą nowe połączenia. To właśnie robią teraz. Zane robił to od początku. Sam przyleciał tu na desce, zanim padł.

— Zdumiewające, że wytrzymał tak długo. — Maddy powoli pokręciła głową. — Mam wrażenie, że uratowało go nieje— dzenie. Głodząc się, zagłodził też nano. Nie ma po nich śladu.

— Wciąż może mówić i tak dalej — dodał Fausto i spojrzał na Zane'a. — Jest tylko trochę... zmęczony.

— Równie dobrze ty mogłaś tu leżeć, Tally — powiedziała Maddy. — Pięćdziesiąt procent szans. Miałaś szczęście.

— To cała ja, panna szczęściara — mruknęła cicho Tally.

Oczywiście w duchu musiała przyznać, że to prawda.

Podzielili się pigułkami, zakładając, że są takie same. Nano mogły uszkodzić jej mózg, nie Zane'a. Szczęściara.

Przymknęła oczy. W końcu zrozumiała, jak bardzo Zane musiał się starać, by ukryć to, co się z nim dzieje. Długie okresy milczenia, gdy nosił bransolety, a on cały czas walczył, starał się zachować jasny umysł. Nie wiedział, co dokładnie się z nim dzieje, lecz gotów był zaryzykować wszystko, byle tylko uniknąć powrotu do ślicznomózgowia.

Patrząc na niego, Tally przez chwilę pożałowała, że to nie ją spotkało. Wszystko byłoby lepsze, niż patrzeć na niego w takim stanie. Gdyby tylko zażyła pigułkę z nano, a on tę drugą, która... Co właściwie zrobiła?

— Chwileczkę. Skoro Zane dostał nano, jakim cudem moja pigułka mnie wyleczyła?

— Nie wyleczyła — odparła Maddy. — Bez pierwszej pigułki antynano, które zażyłaś, w ogóle nie zadziałały.

— Ale...

— To byłaś ty, Tally — odezwał się cichy głos z łóżka. Powieki Zane'a uniosły się odrobinę, słońce odbiło się w jego oczach jak w dwóch złotych monetach. Posłał jej zmęczony uśmiech. — Sama stałaś się pyszna.

— Ale czułam się zupełnie inaczej po tym, jak my...

Umilkła, przypominając sobie ten dzień — ich pocałunek,

ich wyprawę do apartamentowca Valentino, wspinaczkę na maszt. Ale przecież to działało się, zanim połknęli pigułki. Bycie z Zane'em zmieniło ją już na początku, od pierwszego pocałunku.

Przypomniała sobie, jak efekty jej „leku” nieustannie zdawały się pojawiać i znikać. Musiała bardzo się starać, by pozostać pyszna, raczej jak pozostali Krimowie niż jak Zane.

— On ma rację, Tally — oświadczyła Maddy. — W jakiś sposób sama się wyleczyłaś.

Tally została przy łóżku Zane'a. Teraz, gdy się obudził i zaczął mówić, było to łatwiejsze niż myślenie o tym, co jeszcze muszą ustalić z Davidem. Pozostali Dymiarze zostawili ich samych.

— Wiedziałeś, co się z tobą dzieje?

Zane nie od razu odpowiedział. Teraz podczas rozmowy co chwilę robił długie przerwy, prawie jak Andrew.

— Wiedziałem, że wszystko staje się trudniejsze. Czasami musiałem się skupić tylko po to, żeby iść naprzód. Ale odkąd stałem się śliczny, nie czułem się taki żywy. Warto było być z tobą pysznym. Uznałem, że kiedy dotrzemy do Nowego Dymu, pomogą mi.

— I pomagają. Maddy mówiła, że wszczepiła ci nową... — Tally przełknęła ślinę.

— Tkankę mózgową? — podsunął i uśmiechnął się. — Jasne, nowiutkie, puste neurony, prosto z pieca. Teraz muszę je tylko zapełnić.

— Zrobimy to. Będziemy robić różne dopyszniające rzeczy — obiecała Tally, lecz słowa te zabrzmiały dziwnie w jej uszach. „My” oznaczało ją i Zane'a, zupełnie jakby David nie istniał.

— Jeśli zostało mnie dosyć, bym mógł być pyszny — odparł ze znużeniem. — Nie straciłem większości wspomnień, uszkodzeniom uległy głównie ośrodki kognicyjne i zdolności motoryczne.

— Kognicyjne? Te od myślenia?

— Tak. I zdolności motoryczne, na przykład chodzenie. — Wzruszył ramionami. — Ale mózg potrafi znieść większe uszkodzenia, Tally. Został stworzony tak, by przechowywać wszystko wszędzie. Kiedy jakaś część zostaje zniszczona, niczego nie tracisz, po prostu się rozmywa, jak podczas kaca — zaśmiał się. — Naprawdę ciężkiego kaca. Dodatkowo wszystko mnie łamie od leżenia całymi dniami, a od dymiarskiego żarcia rozboleł mnie ząb. Maddy twierdzi, że to bóle fanto— mowe, wywołane uszkodzeniami mózgu. — Krzywiąc się, potarł policzek.

Tally ujęła jego dłoń.

— Nie mogę uwierzyć, że tak odważnie do tego podchodzisz. To niesamowite.

— I ty to mówisz? — Podniósł się z trudem, chwiejnie, słabo. — Ty zdołałaś się wyleczyć bez uszkodzenia mózgu. To dopiero niesamowite osiągnięcie.

Tally spojrzała na ich złączone dłonie. Nie czuła się bardzo niesamowicie. Była brudna, cuchnąca i okropnie nieszczęśliwa. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że zabrakło jej odwagi, by zażyć obie pigułki. Wtedy nie doszłoby do tego wszystkiego. Nie miała

nawet tyle odwagi, by porozmawiać z Zane'em o Davidzie i z Davidem o Zanie. Żalodne.

— Dziwnie się czujesz, widząc go? — spytał.

Spojrzała na Zane'a, a on zachichotał, dostrzegając jej zaskoczenie.

— Daj spokój, Tally, nie czytam przecież w twoich myślach. To nie spadło na mnie zniecka. Przecież wspominałaś mi o nim za pierwszym razem, gdy się pocałowaliśmy, pamiętasz?

— A, tak. — Zatem Zane od początku się tego spodziewał. Tally też powinna. Może po prostu nie chciała myśleć o rzeczach oczywistych. — Tak, to dziwne znów go widzieć. Z całą pewnością nie przypuszczałam, że zastanę go w ruinach i że będziemy tam sami.

Zane skinął głową.

— Czekanie na ciebie okazało się bardzo ciekawe. Jego matka twierdziła, że w ogóle się nie zjawisz, że musiałaś stchórzyć, bo tak naprawdę nie zostałaś wyleczona. Mówiła, że grałaś przede mną, naśladowałaś moją pyszność.

Tally wywróciła oczami.

— Nie przepada za mną.

— Poważnie? — uśmiechnął się szeroko. — Ale my z Davi— dem wierzyliśmy, że się pojawisz, wcześniej czy później. Uznaliśmy, że...

Tally jęknęła.

— Chcesz powiedzieć, że się zaprzyjaźniliście?

Zane milczał przeraźliwie długo.

— Chyba tak. Kiedy się tu zjawiliśmy, wypytywał mnie o ciebie. Chyba chciał się dowiedzieć, jak bardzo operacja cię zmieniła.

— Naprawdę?

— Naprawdę. To on wyszedł nam na spotkanie, gdy zjawiliśmy się w ruinach. On i Croy. Czekali tam, wypatrując flar. Okazuje się, że to oni zostawili pisma, które znaleźli miejscy brzydca. Żebyśmy wiedzieli, że znów odwiedzają ruiny. — Głos Zane'a zaczął cichnąć, zupełnie jakby jego właściciel zasypiał. — Przynajmniej w końcu go zobaczyłem, po tym jak parę lat temu stchórzyłem. — Spojrzał na nią. — Da— vid naprawdę za tobą tęsknił, wiesz?

— Zrujnowałam mu życie — odparła cicho Tally.

— Nie zrobiłaś niczego specjalnie, już to rozumie. Wyjaśniłem mu, że zdecydowałaś się zdradzić Dym dlatego, że Wyjątkowi zagrozili ci, iż do końca życia pozostaniesz brzydka.

— Powiedziałaś mu to? — Tally powoli wypuściła powietrze z płuc. — Dzięki. Nie miałam szansy wyjaśnić, dlaczego przybyłam do Dymu, w jaki sposób mnie zmusili. Maddy kazała mi odejść tej samej nocy, gdy wszystko wyznałam.

— Tak. David nie był z tego zadowolony. Chciał znów z tobą porozmawiać.

— Och — mruknęła. Tylu rzeczy nie wyjaśnili sobie z Da— videm. Oczywiście myśl o tym, że rozmawiali z Zane'em o ich wspólnej przeszłości niespecjalnie ją zachwycała, ale przynajmniej David poznał już całą historię. Westchnęła. — Dzięki, że mi to powiedziałeś. To musiało być dziwne.

— Odrobinę. Ale nie powinnaś się zadręczać z powodu tego, co się stało.

— Czemu nie? Zniszczyłam Dym. Przeze mnie zginął ojciec Davida.

— Tally, wszyscy w mieście są manipulowani. Wszystko, czego nas uczono, służy jednemu celowi. Ma nam wpoić strach przed zmianą. Próbowałem wytłumaczyć Davidowi, że od dnia naszych narodzin całe nasze otoczenie ma tylko jedno zadanie: kontrolować nas.

Pokręciła głową.

— To nie znaczy, że możemy zdradzać przyjaciół.

— No cóż, ja też to zrobiłem, na długo przed tym, nim poznałaś Shay. Jeśli chodzi o Dym, jestem równie winny jak ty.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Ty? Jak?

— Mówiłem ci kiedyś, jak poznałem doktor Cable?

Tally spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że akurat tej rozmowy nigdy nie dokończyli.

— Nie, nie mówiłeś.

— Po tamtej nocy, gdy razem z Shay stchórzyliśmy, większość moich przyjaciół odeszła z Dymu. Opiekunowie domu wiedzieli, że byłem przywódcą, dlatego spytali mnie, dokąd uciekli. Odgrywałem twardziela i nie odezwałem się ani słowem, przybyły więc po mnie Wyjątkowe Okoliczności. — Zniżył głos, jakby wciąż nosił na ręce bransoletę. — Zabrali mnie do swojej kwatery głównej w paśmie fabryk, tak samo jak ciebie. Próbowałem być silny, ale zaczęli mi grozić. Powiedzieli, że zrobią mnie jednym z nich.

— Jednym z nich? Wyjątkowym? — Tally przełknęła ślinę.

— Po czymś takim zostanie ślicznym nie wydawało mi się takie złe i powtórzyłem im wszystko. Powiedziałem, że Shay planowała ucieczkę, ale także stchórzyła. Właśnie stąd o niej wiedzieli i pewnie dlatego zaczęli śledzić... — umilkł.

Tally zamrugnęła.

— Śledzić mnie, kiedy się zaprzyjaźniłyśmy?

Przytaknął ze znużeniem.

— Rozumiesz? To ja wszystko zacząłem, bo nie odszedłem wtedy, kiedy zamierzałem. Nigdy nie będę cię osądzać za to, co się stało z Dymem, Tally. To w równym stopniu moja wina, jak i twoja.

Znów ujęła jego rękę i pokręciła głową. Nie mógł wziąć na siebie winy, nie po tym, przez co przeszedł.

— Zane, nie. To nie twoja wina. To było bardzo dawno temu — westchnęła. — Może żadne z nas nie jest winne.

Jakiś czas milczeli oboje. Wciąż brzmiało jej w głowie echo własnych słów. Zane leżał tu z uszkodzonym mózgiem — po co jeszcze zadreć się dawnymi wyrzutami sumienia, własnymi, jego, czyimikolwiek? Może zła krew pomiędzy nią i Maddy znaczy równie mało jak konflikt pomiędzy wioską Andrew i obcymi? Jeśli mają żyć razem, tu, w Nowym Dymie, będą musieli zostawić za sobą przeszłość.

Sytuacja nadal jednak pozostawała skomplikowana.

Tally odetchnęła głęboko.

— I co myślisz o Davidzie?

Zane z senną miną uniósł wzrok.

— Jest bardzo skupiony. Bardzo poważny. Nie taki pyszny jak my. Wiesz?

Tally uśmiechnęła się i mocniej ścisnęła jego rękę.

— Tak, wiem.

— I trochę, no... brzydki.

Przytaknęła. Przypomniała sobie, że w Dymie David zawsze patrzył na nią, jakby była śliczna, i czasami, gdy spoglądała w jego twarz, czuła się tak, jakby oglądała twarz ślicznego. Może kiedy zażyje prawdziwy lek, te uczucia powrócą. A może odeszły na dobre. Nie z powodu operacji, lecz dlatego, że minęło dużo czasu i że coś łączyło ją z Zane'em.

*

* *

Gdy Zane w końcu zasnął, Tally postanowiła wziąć kąpiel. Fausto opisał jej, jak trafić do źródła po drugiej stronie góry, o tej porze roku częściowo zamrożonego, lecz dość głębokiego, by zanurzyć całe ciało.

— Weź tylko grzejącą kurtkę — uprzedził. — Bo inaczej zamarzniesz na śmierć, nim zdążysz wrócić.

Tally uznała jednak, że lepsza śmierć niż taki brud i że nie pozbędzie się go, przecierając ciało mokrą szmatką. Chciała też przez chwilę pobyc sama. Może wstrząs towarzyszący zanurzeniu w lodowatej wodzie pozwoli jej zdobyć się na odwagę i porozmawiać z Davidem.

Lecąc na desce w dół stoku w rześkim popołudniowym powietrzu, ze zdumieniem stwierdziła, jak wyraźnie i jasno wygląda świat wokół. Wciąż nie mogła uwierzyć, że tak naprawdę nie zażyła leku. Czowała się równie pyszna jak zawsze. Maddy wymamrotała coś o efekcie placebo, jakby wiara w to, że jest się uleczonym, mogła wystarczyć do naprawienia mózgu. Lecz Tally wiedziała, że to coś więcej.

To Zane ją odmienił. Od pierwszego pocałunku, zanim sam połknął pigułkę. Bycie z nim sprawiło, że poczuła się pysznie. Zastanawiała się, czy teraz w ogóle potrzebuje jeszcze leku, czy też zdoła już sama pozostać pyszna. Myśl o połknięciu pigułki, takiej jaka uszkodziła mózg Zane'a, nie zachwycała jej, nawet jeśli uwzględnić antynano. Może zrezygnować z leku i polegać wyłącznie na magii Zane'a? Teraz mogli pomóc sobie wzajemnie — odtworzyć jego umysł i jednocześnie kontynuować walkę Tally ze śliczno— mózgowiem.

Zaszli razem tak daleko, odmienili się nawzajem przed zażyciem pigułek.

Oczywiście David także zmienił Tally. W Dymie to on ją przekonał, żeby nie odchodziła z głuszy, żeby pozostała brzydka i zrezygnowała z przyszłości w mieście. Dwa tygodnie pobytu w Dymie odmieniły jej świat, a zaczęło się... Kiedy? Gdy David pocałował ją po raz pierwszy.

— To ci dopiero szczęście — wymamrotała do siebie. — . Śpiąca księżniczka i dwaj książęta.

Co powinna teraz zrobić? Wybrać pomiędzy Davidem i Zane'em, teraz, gdy mieszkali we troje w dymiarskiej twierdzy? To nie fair, że znalazła się w takim położeniu. Kiedy poznała Zane'a, ledwie pamiętała Davida — ale nie chciała też, by operacja wymazała jej wspomnienia.

— Dzięki raz jeszcze, doktor Cable — mruknęła.

Woda wyglądała na bardzo zimną. Tally bez trudu strzaskała nogą pokrywającą ją warstwę lodu. Teraz ze zgrozą wpatrywała się w bulgoczące źródło. Może smród to jednak nie najgorsza rzecz na świecie, od wiosny dzielą ich zaledwie trzy, cztery miesiące...

Zadrzała. Włączyła ogrzewanie w pożyczonej kurtce, po czym z westchnieniem zaczęła się rozbierać. Przynajmniej po krótkiej kąpieli poczuje się naprawdę pysznie.

Przed wskoczeniem do wody rozsmarowała na skórze całe opakowanie mydła, część wtarła we włosy. Oceniała, że w marznącym źródle wytrzyma najwyżej dziesięć sekund. Wiedziała, że będzie musiała wskoczyć — nie ma mowy, by opuściła się powoli czy najpierw zanurzyła tylko stopy. Gdy nagie ciało zetknie się z wodą, jedynie prawo ciężenia zmusi ją do zanurzenia się.

Wciągnęła głęboko powietrze, następnie wstrzymała oddech... i wskoczyła do źródła.

Lodowata woda ścisnęła ją niczym imadło, wypierając powietrze z płuc, blokując wszystkie mięśnie. Tally zwinęła się w kłębek w płytkim źródle, lecz zimno zdawało się przecinać jej ciało i przenikać do samych kości.

Walczyła o każdy oddech, zdołała jednak tylko płytko chwycić powietrze. Dygotała na całym ciele, jakby miało rozpaść się na kawałki. Tytanicznym wysiłkiem woli zanurzyła głowę. Pomruk wzburzonej wody zagłuszył wszelkie inne dźwięki: jej własny ochrypty oddech i bulgot źródła. Drżącymi rękami gorączkowo pocierała włosy. Kiedy jej głowa znów wychynęła nad powierzchnię, Tally odetchnęła głęboko i odkryła, że się śmieje — wszystko stało się niezwykle czyste i jasne, świat wyglądał pyszniej niż po kubku kawy albo kieliszku szampana. Odczuwała wszystko jeszcze mocniej niż wtedy, gdy spadała z balonu na desce. Przez chwilę leżała w wodzie, zadziwiona jasnością nieba, doskonałością pobliskiego bezlistnego drzewa.

Przypomniała sobie pierwszą kąpiel w zimnym strumieniu, w drodze do Dymu, wiele miesięcy temu, i to, jak odmieniła jej spojrzenie na świat — jeszcze nim operacja pozostawiła w jej mózgu skazy, nim poznała Davida, nie mówiąc już o Zanie. Już wtedy jej umysł zaczął się zmieniać, pojmować, że natura nie potrzebuje operacji, by stać się piękna. Po prostu taka jest. Może Tally nie potrzebowała przystojnego księcia, by znów nie zasnąć — ani brzydkiego. Wyleczyła się bez pigułki i sama tu dotarła. Nie słyszała o nikim innym, kto dwa razy uciekłby z miasta.

Może gdzieś wewnątrz zawsze była pyszna, musiała tylko kogoś pokochać — albo znaleźć się w głuszy, albo po prostu zanurzyć w lodowatej wodzie, by to odkryć.

*

* *

Wciąż siedziała w wodzie, gdy usłyszała krzyk: ochrypty, dobiegający z powietrza.

Pospiesznie wyskoczyła ze źródła, a uderzenie wiatru o skórę wydało jej się zimniejsze niż woda. Ręczniki, które ze sobą przyniosła, zeszytniały na mroźnym powietrzu. Wciąż się wycierała, kiedy ujrzała deskolotkę zatrzymującą się parę metrów dalej.

David prawie nie zarejestrował faktu, że jest naga. Zeskoczył z deski i pobiegł ku Tally, ściskając coś w ręce. Zatrzymał się w poślizgu obok jej plecaka i pomachał urządzeniem. Uświadomiła sobie, że szuka nadajników.

— To nie ty — rzucił. — Wiedziałem, że to nie ty.

Tally naciągała już ubranie.

— Ale przecież już...

— Przed chwilą znikąd pojawił się sygnał informujący o naszym położeniu. Odebraliśmy go w radiu, ale jeszcze nie zlokalizowaliśmy. — Wbił wzrok w jej plecak, na jego twarzy wciąż malowała się ulga. — Ale ty go nie przyniosłaś.

— Oczywiście, że nie. — Tally usiadła, zakładając buty. Walące serce zaczynało już przeganiać chłód z ciała. — Nie skanujecie wszystkich, którzy do was dołączają?

— Tak, ale nadajnik musiał być uspioy — zaczął wysyłać dopiero, gdy ktoś go uruchomił, albo może ustawiono go z wyprzedzeniem. — Przebiegł wzrokiem horyzont. — Wyjątkowi wkrótce tu będą.

Tally wstała.

— A zatem uciekamy.

Pokręcił głową.

— Nie możemy, póki go nie znajdziemy.

— Czemu nie? — Założyła bransolety bezpieczeństwa.

— Potrzebowaliśmy miesięcy, by zgromadzić zapasy, Tally. Nie możemy ich tu zostawić, zwłaszcza odkąd dołączyli do nas Krimowie. Ale nie wiemy, co można bezpiecznie zabrać, póki nie ustalimy, skąd pochodzi sygnał. Nie umiemy znaleźć źródła.

Tally podniosła plecak i pstryknięciem wezwała deskę. Wchodząc na nią, z umysłem wciąż działającym na najwyższych obrotach, coś sobie przypomniała.

— Ból zęba — rzekła.

— Co?

— Dwa tygodnie temu Zane był w szpitalu. Nadajnik jest wewnątrz niego.

Pomknęli z powrotem na szczyt góry, ostro pokonując kolejne zakręty. Tally prowadziła, pewna, że ma rację.

W szpitalu lekarze na kilka minut uspili Zane'a, naprawiając połamane kości. To wtedy musieli ukryć nadajnik w jego zębach. Oczywiście zwykli miejscy lekarze nie zrobiliby sami czegoś takiego — to musiało być dzieło Wyjątkowych Okoliczności.

Gdy dotarli na miejsce, w obozie panował chaos.

Nowodymiarze i Krimowie biegali tam i z powrotem, wynosząc z obserwatorium sprzęt, ubrania i prowiant, układając wszystko w stosy obok Croya i Maddy, którzy gorączkowo wymachiwali skanerami. Pozostali w pośpiechu ponownie pakowali zapasy, by uciec, gdy tylko znajdą nadajnik.

Tally nacisnęła koniec deski, zmuszając ją do gwałtownego wzlotu i przeskakując ponad ośrodkiem chaosu, wprost nad strzaskaną kopułę. Kiedy deska osiągnęła maksymalną wysokość, lotki zadrżały, po czym ustabilizowały się, gdy magnesy odnalazły stalową konstrukcję obserwatorium. Pęknięcie w kopule było wystarczająco szerokie, by przez nie przelecieć, i Tally opadła w ślad za kolumną dymu, zeskakując obok posłania Zane'a.

Spojrzał na nią z czułym uśmiechem.

— Ładne wejście, Tally.

Uklękła obok niego.

— Który ząb cię boli?

— Co się dzieje? Wszyscy wariują.

— Który ząb boli, Zane? Musisz mi pokazać.

Zmarszczył brwi, ale wsunął do ust drżący palec, delikatnie naciskając prawą stronę. Tally odciągnęła jego rękę i szerzej otworzyła mu usta. Jęknął w proteście.

— Ciii, za chwilę wyjaśnię.

Nawet w słabym świetle dostrzegła go: jeden ząb wyróżniał się innym odcieniem bieli. Dentysta musiał się spieszyć.

Sygnal pochodził z wnętrza Zane'a.

Przy uchu usłyszała pisk włączanego skanera, to David podążył za nią przez dziurę w kopule. Machnął skanerem nad twarzą Zane'a. Urządzenie gniewnie zabuczało.

— Jest w jego ustach? — spytał David.

— W jego zębie. Sprowadź matkę!

— Ale Tally...

— Zawołaj ją! Nie damy rady sami wyrwać zęba.

Położył jej dłoń na ramieniu.

— Ona też nie, nie w ciągu paru minut.

Tally wstała, patrząc wprost w jego brzydką twarz.

— Co ty mówisz, Davidzie?

— Będziemy musieli go zostawić. Wkrótce się zjawia.

— Nie! — krzyknęła. — Idź po nią.

David zaklął i odwrócił się, biegnąc w stronę drzwi obserwatorium. Tally znów spojrzała na Zane'a.

— Co się dzieje? — spytał.

— Umieścili w tobie nadajnik, Zane. W szpitalu.

— Och. — Potarł twarz. — Nie wiedziałem, Tally, naprawdę. Myślałem, że ząb mnie boli po tym dziwacznym jedzeniu.

— Oczywiście, że nie wiedziałeś. W szpitalu przez kilka minut byłeś nieprzytomny, pamiętasz?

— Naprawdę chcą mnie zostawić?

— Nie pozwolę im, obiecuję.

— Nie mogę wrócić — rzekł słabo. — Nie chcę znów być ślicznomózgi.

Tally przełknęła ślinę. Gdyby Zane wrócił teraz do miasta, lekarze z powrotem wprowadziliby skazy na nową tkankę mózgową. Jego mózg odtworzyłby połączenia wokół nich... Jakie są szanse, że zdołałby pozostać pyszny?

Nie mogła na to pozwolić.

— Zawiozę cię na mojej desce, Zane. Jeśli będzie trzeba, uciekniemy sami

Myślała gorączkowo. I tak będzie musiała jakoś pozbyć się nadajnika. Nie mogła po prostu rozwalić go kamieniem.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, lecz Nowodymiarze wszystko, co mogło się przydać, wynieśli na zewnątrz, do skanowania. Nagle w ciemności zabrzmiały głosy; to byli Maddy, David i Croy. Tally ujrzała kleszcze w dłoni Maddy i serce zabiło jej mocniej.

Kobieta uklękła obok Zane'a i siłą otworzyła mu usta. Ponownie jęknął z bólu, gdy metalowe narzędzie dotknęło zęba.

— Ostrożnie — poprosiła cicho Tally.

— Przytrzymaj. — Maddy wręczyła jej latarkę. Kiedy Tally wycelowała promień światła w głąb ust Zane'a, obie wyraźnie ujrzały odbarwiony ząb. — Niedobrze.

Maddy puściła głowę Zane'a, który opadł z jękiem na koce. Przymknął oczy.

— Po prostu go wyrwij.

— Jest połączony z kością. — Odwróciła się do Croya. — Dokończcie pakowanie. Musimy uciekać.

— Pomóż mu jakoś! — krzyknęła Tally.

Maddy zabrała jej latarkę.

— Tally, ząb jest połączony z kością. Musiałabym strzaskać mu szczękę, żeby go usunąć.

— No to nie usuwaj. Po prostu zrób tak, żeby przestał nadawać. Rozwal ząb. Zane to wytrzyma.

Maddy pokręciła głową.

— Zęby ślicznych są zrobione z tego samego materiału, którego używa się do produkcji skrzydeł samolotów. Nie da się ich tak po prostu rozbić, potrzebne są specjalne nano dentystyczne. — Oświetliła latarką Tally i sięgnęła do jej ust.

Tally cofnęła się.

— Co robisz?

— Chcę się upewnić.

— Ale ja nie byłam w szpi... — zaczęła Tally, lecz Maddy siłą otworzyła jej usta. Tally warknęła, pozwoliła jednak kobiecie grzebać w nich przez moment. To było szybsze niż kłótnia. W końcu Maddy mruknęła i wypuściła ją. — Zadowolona? — spytała Tally.

— Na razie, ale musimy zostawić Zane'a.

— Nie ma mowy! — krzyknęła Tally.

— Za dziesięć minut tu będą — oznajmił David.

— Wcześniej. — Maddy wstała.

Przed oczami Tally, oślepionej blaskiem latarki, tańczyły plamki. W blasku ognia niemal nie widziała ich twarzy. Czy nie rozumieli, przez co musiał przejść Zane, żeby się tu dostać, co poświęcił dla leku?

— Nie zostawię go.

— Tally... — zaczął David.

— To nie ma znaczenia — wtrąciła Maddy. — Technicznie rzecz biorąc, ona wciąż jest ślicznomózga.

— Nie jestem!

— Nie zażyłaś prawdziwego leku. — Maddy położyła dłoń na ramieniu Davida. — Tally wciąż ma skazy. Kiedy przeska— nują jej mózg, nie pójdzie pod nóż. Uznają, że po prostu zabrała się ze wszystkimi dla towarzystwa.

— Mamo! — krzyknął David. — Nie zostawimy jej!

— A ja nie pójdę — zawołała Tally.

Maddy pokręciła głową.

— Może skazy nie są tak ważne, jak przypuszczaliśmy. Twój ojciec zawsze podejrzewał, że ślicznomózgowie to naturalny stan większości umysłów. Ludzie chcą być próżni, puści i leniwi. — Maddy zerknęła na Tally. — I samolubni.

Wystarczy tylko niewielki zabieg, by utrwalić tę część ich osobowości. Az uważał, że niektórzy sami potrafią się z tego uwolnić.

— Miał rację — powiedziała cicho Tally. — Jestem już wyleczona.

David warknął boleśnie.

— Wyleczona czy nie, nie możesz tu zostać. Nie chcę znów cię stracić, Tally. Mamo! Zrób coś.

— Chcesz się z nią kłócić? Proszę bardzo. — Maddy obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę wyjścia. — Ruszamy za dwie minuty — oznajmiła, nie odwracając głowy. — Z tobą bądź bez ciebie.

Przez chwilę David i Tally milczeli, zupełnie jak rankiem w ruinach, gdy zobaczyli się po raz pierwszy i nie wiedzieli, co powiedzieć. Tally uświadomiła sobie, że twarz Davida już jej nie szokuje. Może panika bądź lodowata kąpiel przegoniła resztę miejskich myśli. A może po prostu potrzebowała kilku godzin, żeby dostosować wspomnienia i sny do rzeczywistości...

David nie był księciem — pięknym ani brzydkim. Był pierwszym chłopakiem, w którym się zakochała, lecz nie ostatnim. Czas i doświadczenie zmieniły to, co ich łączyło.

Co ważniejsze, ona sama miała już kogoś innego. Owszem, to niesprawiedliwe, że pozbawiono ją wspomnień o Davidzie, ale sama zdobyła nowe wspomnienia i nie mogła po prostu wymienić ich na stare. Pomagali sobie z Zane'em, razem pozostawali pyszni, razem nosili bransolety i razem uciekli z miasta. Nie mogła go teraz porzucić tylko dlatego, że stracił część swojego umysłu.

Zbyt dobrze wiedziała, jak to jest, gdy samotnie trafia się do miasta.

Zane był jedyną osobą w jej życiu, której nie zdradziła, i nie zamierzała robić tego teraz. Ujęła jego dłoń.

— Nie zostawię go.

— Myśl logicznie, Tally — powiedział powoli David, zwracając się do niej jak do malucha. — Nie zdołasz pomóc Za— ne'owi, jeśli tu zostaniesz. Złapią was oboje.

— Twoja matka ma rację. Nie zrobią nic więcej z moim mózgiem, a ja mogę pomóc Zane'owi w mieście.

— Możemy przemyścić Zane'owi lek, tak jak zrobiliśmy to dla ciebie.

— Ja nie potrzebowałam leku, Davidzie. Może Zane też nie będzie potrzebował. Pomogę mu zostać pysznym, pomogę odnowić mózg. Ale beze mnie nie ma szans.

David zaczął coś mówić, lecz zamarł na moment. Potem jego głos się zmienił, oczy się zwięziły.

— Zostajesz z nim tylko dlatego, że jest śliczny.

Tally spojrzała na niego wstrząśnięta.

— Co takiego?

— Nie rozumiesz? Tak jak zawsze mówiłaś: to ewolucja. Odkąd trafili tu twoi koledzy Krimowie, mama wyjaśniała mi, jak działa bycie ślicznym. — Wskazał Zane'a. — Ma wielkie, bezbronne oczy, cerę doskonałą jak dziecko. W twoich oczach wygląda jak dziecko, dziecko w potrzebie, i chcesz mu pomóc. Nie myślisz rozsądnie. Poddajesz się tylko dlatego, że jest śliczny!

Tally z niedowierzaniem wpatrywała się w Davida. Jak śmiał mówić coś takiego? Sam fakt, że tu stała, dowodził, iż potrafiła myśleć samodzielnie.

A potem zrozumiała, co się dzieje. David powtarzał jedynie słowa Maddy. Musiała go ostrzec, aby nie ufał swoim uczuciom do nowej Tally. Maddy nie chciała, żeby jej syn zamienił się w ogłupiałego brzydkiego, wielbiącego ziemię pod stopami ślicznej. Dlatego teraz sądził, że Tally widzi wyłącznie śliczną twarz Zane'a.

Nadal brał ją za dzieciaka z miasta. Może tak naprawdę nie wierzył, że się wyleczyła. Może tak naprawdę nigdy jej nie wybaczył.

— Nie chodzi o wygląd Zane'a, Davidzie — powiedziała głosem drżącym z gniewu. — Chodzi o to, że przy nim czuję się pysznie, i o to, że wiele razem ryzykowaliśmy. Równie dobrze to ja mogłam tu leżeć, a on zostałby wtedy ze mną.

— To zwykle programowanie!

— Nie. To dlatego, że go kocham.

David znów zaczął coś mówić, lecz słowa uwięzły mu w gardle.

Westchnęła.

— Idź już, Davidzie. Niezależnie do tego, co powiedziała twoja matka, nie odejdziesz bez ciebie. Jeśli stąd nie ruszysz, wszyscy zostaną schwytani.

— Tally...

— Idź! — krzyknęła.

David musiał uciekać, inaczej Nowy Dym zginie i znów będzie to wyłącznie jej wina.

— Ale ty nie możesz...

— Zabieraj stąd swoją brzydką gębę! — krzyknęła Tally.

Przez moment uszy wypełnił jej chór rozedrganych ech,

które odbijały się od ścian obserwatorium. Tally oderwała wzrok od Davida. Jedną ręką uniosła twarz Zane'a i pocałowała go. Wykrzywane wyzwisko odniosło

zamierzony skutek, lecz nie mogła się zmusić, by unieść wzrok na dźwięk oddalających się kroków Davida. Najpierw szedł, a potem puścił się biegiem.

Dostrzegła kształty pulsujące w kącikach własnych oczu. Nie były to cienie rzucane przez migoczący ogień, tylko jej serce, walące tak mocno, że widziała krew pulsującą w oczach.

Nazwała Davida brzydkim. On nigdy tego nie zapomni. I ona także. Ale musiała użyć tego słowa, usprawiedliwiała się w duchu. Liczyła się każda sekunda, a nic innego by nie podziało na niego tak bardzo. Dokonała wyboru.

— Zaopiekuję się tobą, Zane — rzekła.

Zane uniósł lekko powieki i uśmiechnął się słabo.

— Uhm, mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale uznałem, że lepiej udać nieprzytomnego.

Tally zaśmiała się głucho.

— Dobry pomysł.

— Naprawdę nie możemy uciec? Chyba dam radę wstać.

— Nie. I tak nas znajdą.

Pomacał ząb językiem.

— A, tak. Co to za świństwo. I przeze mnie o mało nie wpadli inni.

Wzruszyła ramionami.

— Już to przerabiałam.

— Na pewno chcesz zostać ze mną?

— Mogę uciec z miasta, kiedy tylko zapragnę. Uratuję cię, Zane. Ciebie, Shay i wszystkich, których zostawiliśmy. Jestem wyleczona. — Tally spojrzała w stronę wyjścia i ujrzała startujące deskolotki. Uciekali, wszyscy. Znów wzruszyła ramionami. — Poza tym klamka już zapadła. Gdybym teraz pobiegła za Davidem, zepsułabym efekt błyskotliwego zerwania.

— Tak, chyba faktycznie. — Zane zaśmiał się cicho. — Zrób coś dla mnie, Tally. Jeśli kiedykolwiek ze mną zerwiesz, po prostu napisz list.

Uśmiechnęła się do niego.

— Zgoda. Jeśli ty obiecasz, że nigdy już nie wsadzisz ręki do zgniatarki.

— Dobra. — Zane spuścił wzrok. Przyjrzał się swoim palcom i zacisnął dłoń w pięść. — Boję się. Chcę zostać pyszny.

— Będziesz pyszny jak dawniej. Pomogę ci.

Przytaknął, ściskając jej rękę. Gdy znów się odezwał, usłyszała, że drży mu głos.

— Myślisz, że David miał rację? Wybrałaś mnie z powodu moich pięknych wielkich oczu?

— Nie, myślę, że sprawiło to... to, co powiedziałam. I to, co powiedziałeś, nim wyskoczyłeś z balonu. — Przełknęła ślinę. — A ty jak uważasz?

Zane'owi opadła głowa. Zamknął oczy i myślał tak długo, że Tally sądziła, iż znowu zasnął. W końcu jednak powiedział cicho:

— Możliwe, że oboje z Davidem macie rację. Może istoty ludzkie są zaprogramowane, by sobie pomagać, a nawet się zakochiwać, ale sam fakt, że leży to w naturze ludzkiej, nie oznacza, iż to jest złe, Tally. Poza tym mieliśmy do wyboru całe miasto ślicznych, a jednak wybraliśmy siebie.

Ujęła jego dłoń.

— Cieszę się, że to zrobiłam — szepnęła.

Zane uśmiechnął się i znów zamknął oczy. Po chwili dostrzegła, że jego oddech zwalnia, i zrozumiała, że ponownie stracił przytomność. Wyglądało na to, że uszkodzenie mózgu ma pewne zalety.

Tally poczuła, jak z jej ciała ulatują ostatnie resztki energii. Pożałowała, że sama nie może zasnąć, że nie może spędzić następnych kilku godzin bez świadomości i obudzić się w mieście — uwięziona księżniczka, jakby wszystko to było snem. Położyła głowę na piersi Zane'a i zamknęła oczy.

Pięć minut później przybyły Wyjątkowe Okoliczności.

Ryk lotowozów wypełnił obserwatorium, odbijając się echem od ścian, niczym krzyki drapieżnych ptaków. Wiry powietrza poruszanego przez rotory wpadały do środka przez szczelinę w kopule, podsycając płomienie. Wszędzie unosił się kurz. Do środka wpadły szare sylwetki, zajmując stanowiska wśród cieni.

— Potrzebuję lekarza — oznajmiła Tally. — Mój przyjaciel źle się czuje.

Obok niej z mroku wyłonił się Wyjątkowy. W dłoni trzymał broń.

— Nie ruszaj się. Nie chcemy cię skrzywdzić, ale zrobimy to, jeśli będziemy musieli.

— Pomóżcie tylko mojemu przyjacielowi — rzekła. — Jest bardzo chory.

Im wcześniej miejscy lekarze obejrzą Zane'a, tym lepiej. Może zdołają zdziałać więcej niż Maddy.

Wyjątkowy powiedział coś do telefonu. Tally zerknęła na Zane'a, w jego zwężonych oczach dostrzegła strach.

— Wszystko będzie dobrze — szepnęła. — Pomogą ci.

Zane przełknął ślinę i Tally zobaczyła, że drżą mu ręce. Teraz, gdy zjawili się prześladowcy, nie miał siły, by dłużej odgrywać bohatera.

— Dopilnuję, żebyś się wyleczył — powiedziała. — W taki czy inny sposób.

— Zespół medyczny już tu jedzie — oznajmił Wyjątkowy i Tally uśmiechnęła się do niego ślicznie.

Miejscy lekarze mogą uznać stan Zane'a za oznakę choroby mózgu, może nawet domyśla się, że ktoś próbował zaleczyć skazy. Ale nigdy nie zauważą, że Tally odmieniła się sama. Mogła udawać, że przybyła tylko dla zabawy, załapała się z innymi, jak to ujęła Maddy. To uchroni Tally przed operacją.

Może Zane'a znów da się wyleczyć, tym razem bez pigułek. Może uda się zmienić wszystkich mieszkańców miasta. W końcu po ucieczce balonem i kolejnym „uratowaniu” przez Wyjątkowych Tally i Zane staną się jeszcze słynniejsi. Będą mogli stworzyć coś wielkiego, coś, czego nawet Wyjątkowi nie powstrzymają.

W mroku zabrzmiał ostry jak brzytwa głos. Wzdrygnęła się.

— Tak sądziłam, że cię tu znajdę, Tally. — Doktor Cable przekroczyła granicę kręgu światła. Wyciągnęła palce w stronę ognia, jakby chciała się ogrzać.

— Cześć, doktor Cable. Pomożecie mojemu przyjacielowi?

Wilczy uśmiech kobiety rozbłysnął w mroku.

— Ból zęba?

— Coś gorszego. — Tally pokręciła głową. — Nie może się ruszyć, ledwie mówi. Zdecydowanie coś mu jest.

Do obserwatorium wpadali kolejni Wyjątkowi. Trzech z nich, ubranych w błękitny jedwab zamiast szarego, dźwigało nosze. Odepchnęli Tally na bok i złożyli nosze obok Zane'a, który zamknął oczy.

— Nie martw się — odparła doktor Cable — nic mu nie będzie. Wiem wszystko o jego stanie od czasu waszej krótkiej wizyty w szpitalu. Wygląda na to, że ktoś podrzucił Za— ne'owi mózgowe nano. To bardzo szkodzi ślicznym.

— Wiedzieliście, że jest chory? — Tally wstała. — Dlaczego go nie wyleczyliście? Doktor Cable poklepała ją po ramieniu.

— Zatrzymaliśmy działanie nano. Lecz implant w zębie zaprojektowano tak, by wywoływał migreny. Fałszywe objawy miały was zmotywować.

— Wykorzystaliście nas! — Tally patrzyła, jak Wyjątkowi zabierają Zane'a.

Doktor Cable rozglądała się po obserwatorium.

— Chciałam sprawdzić, co kombinujesz i dokąd się udacie. Liczyłam na to, że może doprowadzisz nas do ludzi odpowiedzialnych za chorobę młodego Zane'a. — Zmarszczyła brwi. — Zamierzałam zaczekać nieco dłużej z włączeniem nadajnika, ale po tym, jak nieuprzejmie potraktowałaś dziś rano mojego dobrego przyjaciela, doktora Valena, uznałam, że powinniśmy się zjawić i sprowadzić cię do domu. Trzeba ci przyznać, potrafisz napsocić.

Tally milczała, rozmyślając gorączkowo. Nadajnik w zębie Zane'a został włączony zdalnie, ale dopiero gdy inni naukowcy odkryli doktora Valena. Raz jeszcze Tally sprowadziła ze sobą Wyjątkowych.

— Potrzebowaliśmy wozu, by uciec. — Próbowaliśmy przemawiać z lekkością właściwą ślicznym. — Ale zabłądziliśmy.

— Tak, znaleźliśmy go w ruinach. Ale nie przypuszczam, żebyś przeżyła taki kawał pieszko. Kto ci pomógł, Tally?

Pokręciła głową.

— Nikt.

Wyjątkowy w szarych jedwabkach zmaterializował się u boku Cable i złożył szybki raport. Tally czuła dreszcze, słysząc jego ostry jak brzytwa głos, nie rozumiała jednak cichych, niewyraźnych słów.

— Poślijcie za nimi młodziaków — poleciła doktor Cable, po czym odwróciła się do Tally. — Nikt, powiadasz? A te ogniska, wnyki i latryny? Obozowało tu całkiem sporo ludzi, którzy odeszli niezbyt dawno. — Pokręciła głową. — Szkoda, że nie zjawiliśmy się szybciej.

— Nie złapiecie ich. — Tally uśmiechnęła się promiennie.

— Nie? — Zęby doktor Cable zaśniły czerwienią w blasku ognia. — My też mamy w zanadru parę nowych sztuczek.

Kobieta odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Gdy Tally spróbowała pójść za nią, jeden z Wyjątkowych chwycił jej rękę w żelazny uścisk i posadził ją przy ognisku. Przez kopułę do środka wnikały wykrzykiwane rozkazy i odgłosy kolejnych lądujących lotowozów. Lecz Tally zrezygnowała już z prób odkrycia, co się dzieje na zewnątrz. Nieszczęśliwa wpatrywała się w płomienie.

Teraz, kiedy zabrali Zane'a, czuła się pokonana. Doktor Cable znów zagrała ją idealnie, zmusiła do znalezienia Nowego Dymu. Tally o mały włos raz jeszcze nie zdradziła wszystkich. A po jej ostatnich słowach David zapewne szczerze ją znienawidził.

Przynajmniej Fausto i inni Krimowie uciekli z miasta, być może na dobre. Mieli z Nowodymiarzami kilka minut przewagi. Nie mogli prześcignąć lotowozów Wyjątkowych w linii prostej, lecz ich deski były dużo bardziej zwrotne i bez nadajnika Zane'a mogli po prostu zniknąć w otaczającym ich lesie. Dzięki buntowi Tally i Zane'a szeregi Nowodymia— rzy powiększyły się o kilkanaście osób.

A teraz, po wypróbowaniu leku, będą mogli sprowadzić go do Miasta Nowych Ślicznych i innych miast, i w końcu wszyscy będą wolni.

Może miasto nie wygrało, nie tym razem.

A to, że złapali Zane'a, mogło okazać się dla niego najlepszym wyjściem. Miejscy lekarze mają lepszy sprzęt, prędzej zdołają go wyleczyć niż uciekający banici.

Tally skupiła się na tym, jak mu pomoże; jeśli trzeba, dopilnuje, by znów był pyszny.

Może zacznie od pocałunku...

Jakąś godzinę po przybyciu Wyjątkowych ognisko zaczęło przygasać i Tally znów poczuła chłód. Podkręciła ogrzewanie kurtki. W czerwonych promieniach słońca wpadających ukośnie przez drzwi kopuły pojawił się cień.

Spojrzała zaskoczona. Ktoś przyleciał na desce. Czyżby to David wracał ją uratować? Pokręciła głową, Maddy w życiu by mu na to nie pozwoliła.

— Dopadliśmy kilku — zawołał z deski szorstki głos.

Szary jedwab uniformu Wyjątkowych falował w półmroku. Kolejne dwie postacie podchodziły do lądowania przez pęknięcie w kopule. Ich deski były dłuższe niż zwykle, wyposażone w śmigła z przodu i z tyłu. Podmuch z rotorów rozniecał dogasające ognisko.

A zatem to jest ich nowy numer, pomyślała Tally. Wyjątkowi na deskolotkach, idealnie nadający się do tropienia Nowodymiarzy. Zastanawiała się, kogo złapali.

— Brzydkich czy ślicznych? — zawołała doktor Cable.

Tally uniosła wzrok i przekonała się, że doktor dołączyła do niej przy ognisku.

— Tylko paru Krimów. Wszyscy brzydcy pouciekali — padła odpowiedź.

Nagle Tally uświadomiła sobie, że mimo nowego, ostrego brzmienia rozpoznaje głos Wyjątkowej.

— O nie — rzekła cicho.

— O tak, Tally-wa. — Jedna z postaci zeskoczyła z deski i weszła w krąg światła. — Nowa opka! Podoba ci się?

To była Shay. Była Wyjątkowa.

— Doktor C. pozwoliła mi sprawić sobie więcej tatuaży. Czy nie są totalnie niesamowite?

Tally wpatrywała się w swoją starą przyjaciółkę, oszołomiona jej przemianą. Pokrywały ją wirujące linie błyskotatuaży, zupełnie jakby na skórę Shay narzucono pulsującą czarną sieć. Twarz miała wąską i okrutną, górne zęby spiłowane w ostre trójkąty. Była wyższa, nagie ramiona pęczniały od nowych mięśni. Szereg blizn w miejscach, gdzie się cięła, pozostał, podkreślały go jeszcze wirujące tatuaże. Oczy Shay błysnęły w blasku ognia jak u drapieżnika, odbijając fioletem i czerwienią tańczące płomienie.

Oczywiście wciąż była śliczna, lecz jej okrutny, nieludzki wdzięk wywołał w Tally dreszcz. Jakby oglądała kolorowego pająka w jego sieci.

Za nią wylądowały kolejne deski. Ho i Tachs, towarzysze Shay z Nacinaczy, wieźli ze sobą ogłuszonych jeńców. Tally skrzywiła się, widząc, że złapali Fausta, który kilka dni temu pierwszy raz w życiu wsiadł na deskolotkę. Przynajmniej jednak większość uciekła... I David także.

Nowy Dym wciąż istniał.

— Uważasz, że moja nowa opka mnie doślicznia, Tally— -wa? — spytała Shay. — Nie jest zbyt przesadzona?

Tally ze znużeniem pokręciła głową.

— Nie, jest pyszna, Shay-la.

Usta Shay wygięły się w szerokim, okrutnym uśmiechu.

— Jakiś zywilon milihelen, co?

— Co najmniej.

Tally odwróciła się od dawnej przyjaciółki i zapatrzyła w ogień. Shay usiadła obok niej.

— Bycie Wyjątkowym jest pyszniejsze, niż potrafisz sobie wyobrazić, Tally-wa. Każda sekunda to totalny odlot. Na przykład słyszę bicie twojego serca, czuję elektryczny szum kurtki próbującej cię ogrzać i zapach twojego strachu.

— Nie boję się ciebie, Shay.

— Troszeczkę się boisz, Tally-wa, już nie możesz mnie okłamać. — Shay objęła Tally ramieniem. — Hej, pamiętasz te wariackie twarze, które projektowałam, kiedy byliśmy brzydkie? Teraz doktor C. pozwala mi je sobie sprawić. Na— cinacze mogą się opkować, jak tylko zechcą. Nawet Rada Urody nie może nam narzucać, jak mamy wyglądać.

— To musi być naprawdę świetne, Shay-la.

— Ja i moi Nacinacze jesteśmy pyszną nowością w Wyjątkowych Okolicznościach, wyjątkowymi Wyjątkowymi. Totalnie doszczęśliwiający, co?

Tally odwróciła się do niej, próbując przeniknąć wzrokiem błyszczące, fioletowo-czerwone oczy. Mimo slangu ślicznych słyszała w głosie Shay zimną inteligencję, uniesienie, bezlitosną radość z powodu schwytania dawnej zdrajczynie.

Shay była czymś nowym wśród okrutnych ślicznych, czymś jeszcze gorszym od doktor Cable. Mniej ludzkim.

— Naprawdę jesteś szczęśliwa, Shay?

Wargi jej dawnej przyjaciółki zadrżały, na moment odsłaniając ostre zęby. Po chwili skinęła głową.

— Owszem, jestem, zwłaszcza teraz, kiedy mam ciebie, Tally-wa. To nie było miłe. Uciekliście sobie beze mnie, strasznie dosmucające.

— Chcieliśmy, żebyś z nami poszła, Shay, przysięgam. Zostawiłam ci mnóstwo pingów.

— Byłam zajęta. — Shay kopnęła dogasające ognisko. — Nacinałam się. Szukałam leku — parsknęła. — Poza tym mam już dosyć kampingów. A zresztą teraz jesteśmy razem, ty i ja.

— Jesteśmy przeciwniczkami — wyszeptała słabo Tally.

— Nie ma mowy, Tally-wa. — Shay brutalnie ścisnęła jej ramię. — Mam już potąd zamieszania i złej krwi między nami. Od tej pory będziemy przyjaciółkami na zawsze.

Tally przymknęła oczy.

A zatem tak wyglądała zemsta Shay.

— Potrzebuję cię w Nacinaczach, Tally, tu jest pysznie!

— Nie możesz mi tego zrobić — wyszeptała Tally, próbując się cofnąć.

Shay nie zwolniła uścisku.

— W tym rzecz, Tally-wa. Mogę.

— Nie! — Tally szarpnęła się do tyłu.

Ręka Shay wystrzeliła naprzód szybko jak błyskawica i Tally poczuła ostre ukłucie w szyję. Parę sekund później spowiła ją gęsta mgła. Zdołała się cofnąć i postąpić kilka

chwiejnych kroków, lecz miała wrażenie, że nogi wypełnia jej płynny ołów, i upadła na ziemię. Ognisko przesłonił szary całun, świat pociemniał.

Z otchłani wypłynęły ku niej słowa wypowiedziane ostrym jak brzytwa głosem.

— Pogódź się z tym, Tally-wa, jesteś...

PRZEGIĘTE SNY

Przez następnych kilka tygodni Tally właściwie się nie budziła. Od czasu do czasu ocknęła się na moment i czując pościel i poduszki, pojmowała, że leży w łóżku, lecz najczęściej jej umysł wędrował swobodnie, raz po raz powracając do kolejnych wersji tego samego snu...

*

* *

Była w nim piękna księżniczka zamknięta w wysokiej wieży, w komnacie o lustrzanych ścianach, które nieustannie gadały. Nie było tam windy ani żadnej drogi na dół i kiedy księżniczkę znudziło oglądanie w lustrach własnej przepięknej twarzy, postanowiła skoczyć.

Wezwała wszystkich swoich przyjaciół, którzy poszli w jej ślady — oprócz najlepszej przyjaciółki, bowiem zaproszenie dla niej zaginęło.

Wieży strzegł szary smok o oczach z klejnotów i wiecznie głodnej paszczy. Miał wiele oczu i choć poruszał się zbyt szybko, by można było go dostrzec, udał, że śpi, i pozwolił księżniczce wraz z przyjaciółmi przekraść się obok.

I oczywiście taki sen nie mógł się obyć bez księcia.

Był jednocześnie piękny i brzydki, poważny i pyszny, ostrożny i śmiały. Z początku mieszkał z księżniczką w wieży, lecz później we śnie okazywało się, że cały czas czekał na nią na zewnątrz. A specyficzna senna logika sprawiała, że często był dwoma książętami jednocześnie, ona zaś musiała wybierać. Czasami wybierała pięknego księcia, a czasami brzydkiego. Ale tak czy owak pękało jej serce.

Lecz niezależnie od tego, kogo wybrała, sen zawsze kończył się tak samo. Najlepsza przyjaciółka, ta, której zaproszenie zaginęło, próbowała pójść za księżniczką. Ale szary smok zbudził się i ją połknął, i tak bardzo mu zasmakowała, że pragnąc więcej, zaczął ścigać pozostałych. Najlepsza przyjaciółka, tkwiąca w smoczym żołądku, wyglądała na świat smoczymi oczami i przemawiała smoczą paszczą, przysięgając, że znajdzie księżniczkę i ukarze ją za to, że porzuciła przyjaciółkę.

I przez wszystkie senne tygodnie sen zawsze kończył się identycznie. Smok przybywał po księżniczkę, za każdym razem wypowiadając kilka tych samych słów...

— Pogódź się z tym, Tally-wa. Jesteś Wyjątkowa.